

DOBRE, ŚLĄSKIE DRZEWO

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20.
ROK
ZE ŚLĄSKIEM

ŚLĄSK



Nr 12 (229) • ROK XX • GRUDZIEŃ 2014

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)

„Rozmowa na 20-lecie” – abp senior **DAMIAN ZIMOŃ**
MARCIN GACEK – Skazone wybory
DAGMARA DRZAZGA – Adam Sikora. Mikołów – Drohobycz
BOGDAN WIDERA – Pouczający spacer po Katowicach
Poezja i proza: **MARIAN L. BEDNAREK, ANGELUS SILESIUS**
w przekładzie **TERESY KOWALSKIEJ, JACEK DURSKI**
„Kolekcja jubileuszowa”: **ANTONI CYGAN**



15 listopada zakończył się XVI Ogólnopolski Festiwal Sztuki Reżyserskiej Interpretacje. Laur Konrada otrzymał Remigiusz Brzyk za reżyserię spektaklu „Koń, kobieta i kanarek” Tomasza Śpiwaka, zrealizowanego w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu. Nagroda dziennikarzy trafiła do Radosława Rychcika za przedstawienie „Dziady” (Teatr Nowy w Poznaniu). Publiczność wyróżniła (nagrada ufundowana przez Marszałka Województwa Śląskiego) Ewelinę Marciniak („Skąpiec”, Teatr Polski w Bydgoszczy). Tytuł najlepszego aktora (nagrada specjalna redakcji Dziennika Teatralnego) przyznano Mariuszowi Zaniewskiemu („Dziady”, Teatr Nowy w Poznaniu). Statuetkę *Stanisława* 2014 dyrektor Teatru im. S. Wyspiańskiego Robert Talarczyk wręczył Radosławowi Rychcikowi, jest to równocześnie zaproszenie do wyreżyserowania spektaklu w Teatrze Śląskim. Na zdjęciu Remigiusz Brzyk.



Fot. BP Tomasz Żak

Fot. BP Tomasz Żak



Marta Fox – powieściopisarska, felietonistka (także autorka cyklu felietonów „Spod kapelusza” na łamach naszego miesięcznika), laureatka licznych nagród literackich, członkini Gómośląskiego Towarzystwa Literackiego, została laureatką Nagrody Artystycznej Marszałka Województwa Śląskiego 2014.

W gronie laureatów Nagrody Artystycznej znaleźli się również prof. Eugeniusz Knapik – kompozytor, b. rektor Akademii Muzycznej w Katowicach oraz rzeźbiarz Bronisław Krzysztof.

(Więcej o laureatach Nagrody Marszałka na str 70).

Świąt
Bożego Narodzenia
pełnych radości
i wszelkiego dobra,
spędzonych
w gronie bliskich osób

życzy

Zespół redakcji
„Śląska”



W szacownym Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza przy Rynku Starego Miasta w Warszawie odbyło się 23 października spotkanie poświęcone prezentacji dwu ostatnich tomów wierszy śląskiego poety – obszernego wyboru poezji pt. „Czas, miejsca i słowa”, który ukazał się nakładem Wydawnictwa „Śląsk” i zawiera około 300 utworów oraz „44 sonetów brynowskich” wydanych przez katowickie Wydawnictwo Soni Dragi – książki uznanej za wydarzenie literackie sezonu. Spotkanie prowadził i poprzedził słowem wstępnym redaktor miesięcznika literackiego „Twórczość” – znany poeta i krytyk Janusz Drzewucki. Wiersze czytał sam autor, który w rozmowie wyjawiał również wiele okoliczności dotyczących jego twórczości poetyckiej oraz działalności społeczno-kulturalnej obejmującej rozległe m.in. związki z rodzinnym Śląskiem. Spotkanie wywołało spore zainteresowanie, głównie w stołecznym środowisku literackim, zaś wśród gości zwracała uwagę obecność wybitnego mistrza batuty profesora Antoniego Wita z małżonką, przez wiele lat dyrektora Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach.

Dyrektor Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza Jarosław Klejnocki zaprasza na **spotkanie autorskie z Tadeuszem Kijonką** z okazji ukazania się tomów poezji **Czas, miejsca i słowa** oraz **44 sonetów brynowskich z obrazami Jerzego Dudy-Gracza**



23 października o godzinie 18.00
w Muzeum Literatury
przy Rynku Starego Miasta 20
Spotkanie poprowadzi Janusz Drzewucki

Imprezę zakończyła część towarzyska spotkania, podczas której Tadeusz Kijonka wpiśwał dedykacje do zbioru swoich sonetów, które były do nabycia na miejscu.

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

MARIAN LECH BEDNAREK

lot

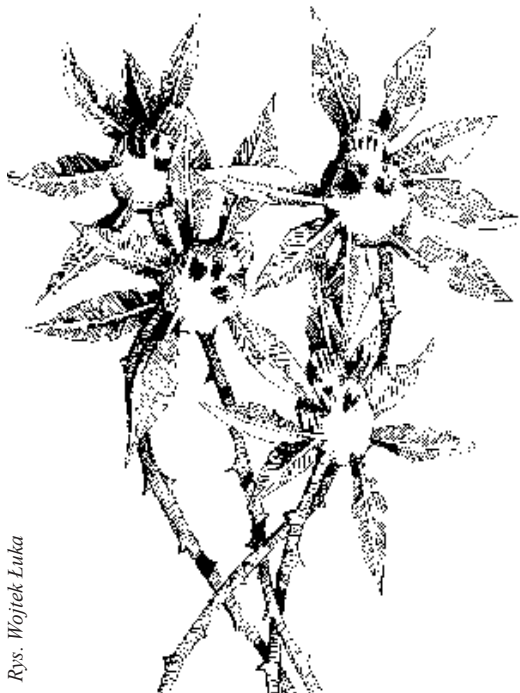
gęstość krwi
Wszechświata rozdającego gwiazdy
i tego co można pod nimi zmajstrować

a jest co zmajstrować
cel wypatrując jasny
zwykle pocerowanie ciucha
to jakby niebo zszywał
po wielkim wybuchu naszej małości

i kiedy zakładasz taki ciuch
pocerowany wybucha wiosna
zmartwychwstania klekoczą drogi
od pomagania
bo wszyscyśmy wyciągniętymi rękami

z lotu ptaka
wyglądamy jak na łące kwiaty
ale schodząc niżej...
o Boże
zmiłuj się nad nami

12.2013



Rys. Wojtek Łuka

Marian Lech Bednarek – poeta, malarz, scenograf, autor tomów wierszy: *Kawalek Życiorysu* (1991), *Notatki z prowincji* (1998), *Granice Graniczki* (2004), *Kim jestem?*. Twórca i reżyser plastycznego teatru (od 1992 roku) – obecnie Teatr Sztuki, realizator 15 spektakli (w tym 11 autorskich), organizator licznych akcji teatralnych i happenin-gów. Marian Bednarek, prowadził także liczne warsztaty teatralne, między innymi podczas Europejskiego Festiwalu Sztuki „Zbliżenia” w Płocku oraz na Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym we Francji (z udziałem zespołów z Francji, Hiszpanii, Włoch i Polski).

Nr 12 (229). Rok XX. GRUDZIEŃ 2014 r.

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNYprezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel. 32 253-62-21

e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

gtl@gtl.home.pl

www.gtl.org.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
Tel. centr. 32 20 83 700

informacja: info@bs.katowice.pl

sekretariat: bsl@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

DARIUSZ ROTT

Redaktor naczelny

WIESŁAWA KONOPELSKA
Zastępca redaktora naczelnego,
Sekretarz redakcjiKATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

FELIKS NETZ

Dział poezji i prozy

MARIA SZTUKA

Dział kulturalny

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA

Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
KorektaADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
Tel./fax 32 206-82-71

e-mail: redakcjask@onet.pl, msk.slask@gmail.com

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja
zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian ty-
tułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji.Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatu-
ry „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio –
w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych.
Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja mie-
sięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92
102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł,
półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane
pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ
pod adresem:<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

7. *Marcin Gacek* SKAŻONE WYBORY
8. *Maria Szuka* Rozmowa z abp. seniorem Damianem Zimoniem. DOBRE ŚLĄSKIE DRZEWO
10. *Bogdan Widera* POUCAJĄCY SPACER PO KATOWICACH
14. *Grzegorz Sztoler* LISO, WRÓĆ DO KRAINY KWIATÓW! (2)
18. *Dagmara Drzazga* Rozmowa z Adamem Sikorą. ADAM SIKORA.
MIKOŁÓW – DROHOBYCZ
22. *Teresa Kowalska* ANGELUS SILESIVS
27. *Katarzyna Bereta* PSZCZYŃSKI JUBILEUSZ
28. *Agnieszka Urbańska* PATRICK MODIANO – LITERACKA NAGRODA NOBLA A.D. 2014
30. *Wiesława Konopelska* FOTOGRAFOWAŁ: STANISŁAW JAKUBOWSKI
40. *Henryk Szczepański* TRYUMF APOLLINA
44. *Maria Balaga* UMIARKOWANE ZACHMURZENIE NA LIDO
58. *Barbara Janas-Dudek* WIERSZ NIE PYTA O POGODĘ
75. MAGIA NIKISZA

FELIETONY

13. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański KOLEJNA POCHWAŁA MNIEJSZEGO NIEBA
39. Z MOICH GÓREK
Witold Turant ŚCIEŻKAMI DZIECIŃSTWA, CHWAŁY I MIŁOŚCI
(PEWNEGO MONARCHY)
47. KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO
Wojciech Grabowski JAN WACŁAW ZAWADOWSKI
55. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas JAK JEST POPRAWNIE: BIESZCZADÓW CZY BIESZCZAD?
59. *Magdalena Dziadek* MIĘDZY NUTAMI. ROCZNICA ADOLFA DYGAČZA.
FESTIWAL MŁODYCH LAUREATÓW. XVI ŚLĄSKIE DNI MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ
65. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzczyzna
Jan Miodek DO ŻAROWA PRZEZ OSIEK
76. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY

PLASTYKA

48. *Witold Kociński* NICZYM SZLACHETNY TRUNEK...
49. ROCZNIK '70. W katowickiej Galerii ZPAP
50. TERESA STROJNIAK. Malarstwo
51. *Wiesława Konopelska* JEJ PEJZAŻ WEWNĘTRZNY
52. POGWARKI ARTYSTYCZNE HENRYKA BZDOKA. Rozmowa z Zygmuntem Stuchlikiem.
ZARAŻONY POGODĄ DUCHA I NADZIEJĄ
76. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”. Antoni Cygan

TEATR

56. *Joanna Warońska* BYŁ NIE TYLKO JANOSIKIEM
57. *Maria Szuka* JUBILEUSZ NAD RAWĄ

KSIĄŻKI

60. *Ewa Wylęzek* PO UPADKU MURU – NIEMIECKO-POLSKIE PROBLEMY Z TOŻSAMOŚCIĄ
61. *Katarzyna Tatuć* NOWE WYDANIE *WIEŻY SPADOCHRONOWEJ* KAZIMIERZA GOŁBY
62. *Janusz Nowak* GODZINY ADORACJI PRZED *ZMYCIEM SIĘ Z ZIEMI*
63. *Bogdan Widera* ARYSTOKRACI, ZAKONNICY, MIESZCZANIE
64. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE
Marian Bednarek LOT
17. *Marian Bednarek* WIERSZE
24. *Jacek Durski* ŚWIAT

EKOLOGIA

42. *Jolanta Karmańska* DRZEWA RUSZYŁY W DROGĘ

STAŁE RUBRYKI

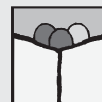
6. ŚLĄSKI MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Beata Marcinkowska ATRAKCYJNA STULATKA
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. „URODA POLSzczyzny”
W PAŁACU MŁODZIEŻY
68. OPOLSKIE

NOTATNIKI KULTURALNE

69. *Janusz Wójcik* OPOLE
70. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
72. *Maria Szuka* ZAGŁĘBIE
73. *Jan Picheta* BIELSKO
74. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA

NA OKŁADCE:

Kadr z filmu „Angelus”, reżyseria Lech Majewski, zdjęcia Adam Sikora



20.

ROK
ZE „ŚLĄSKIEM”

Drodzy Czytelnicy!
Dwudziesty rok istnienia miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk” naszym Czytelnikom proponujemy rozpocząć od zamówienia prenumeraty na 2015 rok!

Zatem:

Prenumerata roczna wynosi 84 zł
Prenumerata półroczna wynosi 42 zł
Prenumerata kwartalna wynosi 21 zł

Cena 1 egzemplarza od stycznia 2015 roku wynosić będzie 7 złotych!

*

Załączony obok blankiet należy wyciąć, i wysłać pod adres redakcji.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje terminowe dostarczenie pisma!

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku!

*

Zachęcamy także do odwiedzania strony internetowej „Śląska” oraz wydawcy – Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego!
www.slaskgtl.com

*

**POLEĆ „ŚLĄSK”
SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOŁOM
– WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE
ŚLĄSK!**



odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	M I E S I Ę C Z N I K „ Ś L ą S K ”
nazwa odbiorcy od.	
4 0 - 0 1 2	K A T O W I C E , D W O R C O W A 1 3
l.k.	nr rachunku odbiorcy
9 2 1 0 2 0 2 3 1 3 0 0 0 3 3 0 2 0 0 2 0 2 1 7 6	
	kwota
	W P P L N
	nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)
	nazwa zleceniodawcy
	nazwa zleceniodawcy od.
	tytułem
	P R E N U M E R A T A M I E S I Ę C Z N I K A
	tytułem od.
	” Ś L ą S K ”

Polećcie przelew / wpłatę gotówkową

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Oplata:

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	M I E S I Ę C Z N I K „ Ś L ą S K ”
nazwa odbiorcy od.	
4 0 - 0 1 2	K A T O W I C E , D W O R C O W A 1 3
l.k.	nr rachunku odbiorcy
9 2 1 0 2 0 2 3 1 3 0 0 0 3 3 0 2 0 0 2 0 2 1 7 6	
	kwota
	W P P L N
	nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)
	nazwa zleceniodawcy
	nazwa zleceniodawcy od.
	tytułem
	P R E N U M E R A T A M I E S I Ę C Z N I K A
	tytułem od.
	” Ś L ą S K ”

Polećcie przelew / wpłatę gotówkową

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

Oplata:

SLASK

SLASK

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20. ROK ZE „ŚLĄSKIEM”

W 75 ROCZNICĘ POWROTU ŚLĄSKA DO POLSKI

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CENA 4 zł

Nr 6/201 ROK II • CZERWIEC 1997

DOROTA SIMONIDES – Górnośląska samowiedza
E. DELUGAJCZYK – Wstąpienie w Polskę
J. F. LEWANDOWSKI – Tragedia Korfańtego
T. KŁONKA – Gdy przebrzmiał Dzwon Zygmunta
JACEK LYSZCZYŃA – Misja Józefa Lompy
Dzieje autonomii Śląskiej
GRAŻYNA SZEWCZYK – Utracona ojezyczna Niemców

PO PROCESIE „WUJKA”

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CENA 4 zł

Nr 1/271 ROK IV • STYCZEŃ 1998

ŚLĄSKA MATA HARI — Sprawa Matyjaszki
Listy JANA CYRBA
KOSSAK-SZCZUŁKA: Z Wołynia na Śląsk
Jubileusz Polskiego Radia w Katowicach
1 telewizji śląskiej
Świat wielomedialny
SPIS TREŚCI za rok 1997

PIERWSZA BITWA III WOJNY ŚWIATOWEJ

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CENA 4 zł

Nr 11 (75) • ROK VI • LISTOPAD 2001

„Gdyby
Jasowirka”
JERZEJ
BUDY GRACJA
MACIEJ
KRZANOWSKI
Raport
o „śląskim zrywaniu”
AGNIESZKA
GRISZKA
Kombinat
ERYSTYNA
JANKOWIAK
Soślat teatru
w Żywiecu
Rozmowa
z prof. TROMBESKI
ŻWA KUŚOWSKA
O grupach teatralnej
kultury
Praca BOGDANA
WIDERY
Rozmowa z MARKIEM
PEREPCZAKĄ

80. ROCZNICA ZWIĄZKU POLAKÓW W NIEMCZECH

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CENA 4 zł

Nr 1 (87) • ROK IX • STYCZEŃ 2003

TABUŚ BOŻEWICZ - Wiersze
MARK S. SZCZEPAŃSKI - Śląsk w zapiskach
J. SKWIRDEK: „Różowy stampan”
GRZEGOŹ SZTOLER: „Wios sprywatyzować”
Rozmowa z reżyserem US - JANUSZEM JANECZKIEM
Wystawa MAKOWSKIEGO w Muzeum Śląskim
75 rocznica teatru w Częstochowie
SPIS TREŚCI za rok 2002

DYREKTOR Z KONKURSU

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CENA 4 zł

Nr 11 (216) • ROK XXII • LISTOPAD 2007

Nekropolisz czterech wymiarów
Dziś i jutro
rachunek sumienia
Rozmowa z nowym dyrektorem Muzeum Śląskiego Danutkiem Ablawiczem
Demokracja wygrała z... rządem - o festiwalu „Kawowce dzieciom”
Prozje i prózki
Jan Paweł Krasnowiecki
Janusz Sroczek
Maciej M. Szczawiński

PIERWSZE, CZĘŚCIOWO WOLNE...

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CENA 4 zł

Nr 6 (223) • ROK XXIII • CZERWIEC 2008

MARCIN GACEK
koncertuje w teatrze
do Parlamentu Europejskiego
Rece engage de zła
- rozmowa z prof. MARIANEM ZEMBAŁĄ
HENRYK SZCZEPAŃSKI
- Cyklid i Kanonik
JOZEF SWIDLER
o wyprawach do
JULIANA GEMBAJSKIEGO
FELIKS NETZ
Gdy wyśle BOŻEWICZ
Początek
BARBARA
GRISZKA-ZYCH
PIOTR TONCZAK



Drodzy Czytelnicy

Przed nami ostatni miesiąc tego roku. Nie będziemy jednak ulegać gorączce przedświątecznych porządków i zachęcamy do chwili relaksu ze „Śląskiem”, a przygotowaliśmy wiele ciekawych propozycji nie tylko do czytania, ale także i do oglądania. Polecam „spotkanie” z ks. arcybiskupem seniorem Damianem Zimoniem, które otwiera zapowiadany już wcześniej nasz nowy cykl jubileuszowy – „Rozmowy na 20-lecie”. Tytuł ten jest pretekstem do dyskusji o sprawach ważnych i najważniejszych z ludźmi, których autorytet, mądrość i doświadczenie życiowe nie tylko wzbogacą naszą wiedzę, pozwolą także odpowiedzieć na wiele dręczących pytań. Ksiądz Arcybiskup jest z naszym miesięcznikiem od początku, od 20 lat. Czyta nasze artykuły, czasem pisze sam, chętnie udziela wywiadów, o Śląsku i Ślązakach wie wszystko. Nie mieliśmy cienia wątpliwości, kto powinien zainaugurować nasze jubileuszowe spotkania. Warto posłuchać jak Ksiądz Arcybiskup postrzega dzisiejsze czasy, jak ocenia współczesną młodzież, gdzie dopatruje się niebezpieczeństw.

Adamowi Sikorze wiernie sekundujemy w drodze do Oscara, często więc zaglądamy do jego filmowej „pracowni”. Tym razem udamy się w podróż do Drohobycza, gdzie powstawał film o Bruno Schultzu. Miło choć przez chwilę pożyć w atmosferze „Sklepów cynamonowych”.

Polecam lekturę prozy Jacka Durskiego oraz niezwykłą opowieść Teresy Kowalskiej poświęconą jednemu z najwybitniejszych przedstawicieli XVII-wiecznej poezji niemieckiego baroku Johannowi Schafflerowi, w świecie literatury znanemu jako Angelus Silesius. Miłośników poezji zapraszam do chwili refleksji nad wierszami Mariana Lecha Bednarka.

Mając takie zaplecze spokoju i optymizmu łatwiej będzie zderzyć się z twardą rzeczywistością. Samorząd w epoce kryzysu demokracji i skażone wybory chłodnym okiem ocenia socjolog Marcin Gacek.

Wiele niespodzianek czeka wszystkich, którzy wybiorą się na „pouczający spacer” po Katowicach, oprowadzać po nich będzie Ślązak z dziada pradziada. Nie zawiadą się również Czytelnicy na „Pogwarkach artystycznych Henryka Bzdoka”, których bohaterem jest Zygmunt Stuchlik. Pogawędka dwóch przyjaciół, jak zwykle skrzy się humorem. Na tym nie koniec spotkań z artystami, świąteczny numer staraliśmy się szczególnie plastycznie uatrakcyjnić. Gościmy więc w pracowni malarskiej Teresy Stojniak, by poddać się urokowi jej niezwykłych pejzaży, w katowickiej galerii ZPAP, gdzie po latach spotkali się, jak za dobrych studenckich czasów: Jan Dubiel, Helena Golda-Błahut, Zofia Grzeganeł-Szczepaniec, Dorota Kabiesz, Jerzy Miciak i Henryk Waniek, zajrzeliśmy również do Pałacu Młodzieży, gdzie Zbigniew Sawicz uwiecznił na swoich fotografiach wybitnych polskich literatów, karty dzieł literackich i ważne wydarzenia związane z promocją języka polskiego.

I na koniec nasza świąteczna niespodzianka – niezwykła *Madonna* Antoniego Cygana w *Kolekcji jubileuszowej „Śląska”* – dzieło zachwyca harmonią barw i wszechogarniającym ciepłem. I tym właśnie ciepłem chcemy się z Państwem podzielić, życząc wszystkim dobrych, serdecznych i pełnych miłości Świąt.

MARIA SZTUKA

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

nęła w Częstochowie. W uroczystości odsłonięcia ławeczki wzięła udział żona śp. pana Marka, pani Agnieszka Fitkau-Pereczko.

■ **NOWY Supersam** w Katowicach różnie jak na drożdżach, a właściciel już dokonuje zmian w planach. Okazuje się, że nie będzie kilkucalowego kina – bo konkurencja w tym zakresie jest w okolicy spora. Będzie za to centrum medyczne, podobno teraz na tym lepiej się wychodzi.

■ **REZERWISCI** bacność! Ministerstwo Obrony Narodowej powołało na ćwiczenia ponad 7,5 tysiąca rezerwistów, w przyszłym roku liczba ta ma się podwoić, a za dwa lata sięgnąć niemal 40 tysięcy. Czy to wszystko przez... Putina?

■ **PREZYDENT** Katowic Piotr Uszok oraz pośmiertnie biskup ewangelicki Tadeusz Szurman zostali uhonorowani wyróżnieniem „Śląski Smaragd”. Uszoka doceniono za „bycie wzorem samorządowca”, zaś Szurmana za „bycie Smaragdem tej ziemi”. Uroczystość wręczenia odbyła się w Święto Reformacji przypadające 31 października.

■ **WIELKI** portret śp. Gerarda Cieślaka, legendy chorzowskiego Ruchu, pojawił się na ścianie gmachu Urzędu Miasta w Chorzowie. Portret ma w sumie aż 60 m kw. powierzchni i tworzą go fotografie, jakie przystali miłośnicy Ruchu Chorzów. Portret zawieszono w rocznicę śmierci pana Gerarda, 3 listopada. W połowie grudnia w Chorzowie na ul Wolności ma zostać odsłonięta ławeczka Cieślaka.

■ **BEZCENNE** akta przedwojennego Sejmu Śląskiego trafiły do Internetu. Każdy może się dowiedzieć, kim byli śląscy posłowie, jak wyglądały obrady, jak układały się stosunki autonomicznego województwa z rządem II RP, czy też komu

Skarb Śląski pożyczał pieniądze. O tym właśnie mówią zdigitalizowane przez śląskich archiwistów z Archiwum Państwowego w Katowicach dokumenty – w sumie 80 tysięcy stron uchwał, stenogramów, korespondencji, a nawet teczek personalnych. Nie trzeba stać w kolejce w archiwum, wystarczy trafić na portal www.szukajwarchiwach.pl

■ **CIESZYN** dzięki uchwale miejskich rajców dołączyć ma wkrótce do prestiżowego grona Miast Reformacji, do którego należą m.in. Amsterdam, Paryż, Praga, Sztokholm, Wiedeń, Zurych, czy Wrocław. Miasta Reformacji to inicjatywa Wspólnoty Ewangelickich Kościołów Europy. Przygotowują się one do obchodów w 2017 roku 500. rocznicy reformacji. W Cieszynie od 2009 roku działa Muzeum Protestantyzmu, a przez miasto wiedzie szlak pamiątek ewangelików cieszyńskich.

■ **ZAKOŃCZYŁ** się pierwszy etap renowacji Sali Sejmu Śląskiego, której przywrócono przedwojenny wygląd zachowując współczesną funkcjonalność. Odtworzenia brakujących elementów wystroju dokonano m.in. na podstawie zachowanych fotografii. Wykonano np. renowację mebli, w tym mównicy i ław. Imponujący wygląd uzyskało prezydium, gdzie zrekonstruowano krzesła i części prezydialnej wraz ze stołem marszałkowskim na podwyższeniu. Inwestycja pochłonęła dotąd 8,5 mln zł. W przyszłym roku remont czeka kuluari i sejmikową galerię.

■ **NOWY** pas startowy na lotnisku w Pyrzowicach jest gotowy. Jego budowa trwała 710 dni. Inauguracyjne lądowanie nastąpi jednak dopiero w maju przyszłego roku, po wszystkich technicznych odbiorach. Przyszowice są trzecim w Polsce lotniskiem dysponującym trzykilometrowym pasem startowym, co pozwoli na przyjmowanie maszyn takich jak szerokokadłubowy Boeing 747 (jumbo jet), czy mogący zabrać na pokład niemal czterystu pasażerów Airbus 340.

■ **ŚLĄSCY** polarnicy – tak, są tacy. Przy Centrum Badań Polarnych Uniwersytetu Śląskiego utworzono Interdyscyplinarne Studia Polarne. W jego uroczystym otwarciu 7 listopada wzięli udział doktoranci z Instytutu Geofizyki PAN, Instytutu Oceanografii PAN i Wydziału Nauk o Ziemi US. Śląscy studenci wybierają się na Spitsbergen, by tam prowadzić badania naukowe. Jest to najlepiej poznany obszar Arktyki, na którym pracownicy Uniwersytetu Śląskiego są obecni od 1978 roku. W tamtejszej stacji polarnej warunki są iście... zimowe. Zdarza się, że wiatr wieje tu 140 km na godz., a na dworze jest minus 30 st.C. Naukowcy mieszkają w budynku zbudowanym w kształcie litery T, pokrytym drewnem. A stacji pilnują... psy, które szczekaniem ostrzegają przed niedźwiedziami.

■ **POMNIK** Wojciecha Korfanteo stanie w Warszawie – taką uchwałę podjęli radni Warszawy. Korfanty stanie przy placu Na Rozdrożu. Inicjatywa bu-

dowy pomnika wyszła od prezydenta Bronisława Komorowskiego.

■ **WAŻĄCY** pół tony XV-wieczny dzwon Jakub powrócił do parafii pw. św. Jakuba Apostoła w Simoradzu koło Skoczowa. Został – tak jak wiele górnośląskich dzwonów – zrabowany przez hitlerowców. Na szczęście nie został przetopiony, a po wojnie trafił do kościoła św. Augustyna w miejscowości Hameln w diecezji Hildensheim w Dolnej Saksonii. Na jego ślad natrafili dwaj emerytowani simoradzcy nauczyciele Tadeusz Niezdana i Krzysztof Błaszczak. Po półtorarocznych staraniach udało się dzwon odzyskać. Jest najstarszym zachowanym dzwonem na Śląsku Cieszyńskim.

■ **KOMPANIA** pod ścianą. Grudzień bez wyplat? Oby nie, ale media alarmują, że sytuacja w górnictwie jest tragiczna. Może zabraknąć pieniędzy na wypłaty. Pomysł na naprawę Kompanii Węgłowa ma niezmienny: sprzedaż Węgłokoksowi czterech kopalń, zmiany w zatrudnieniu, wynagrodzeniach i świadczeniach płacowych. A związkowcy alarmują...

■ **WEDŁUG** jednego z ekspertów budowlanych do tragicznego wybuchu gazu w kamienicy przy ul. Chopina – co zdarzyło się 23 października – w którym zginęła trzyosobowa rodzina Kmiecików, doprowadziło celowe działanie lokatora Mariusza P. Instalacja zabezpieczająca dopływ gazu do mieszkania została celowo zdemontowana. Gaz silnym strumieniem wydobywał się przez co najmniej godzinę, gdyż jego stężenie było ogromne, a wybuch spowodował zniszczenia porównywalne do detonacji bomby.

■ **CHAOS** powyborczy zapanował w całej Polsce po wyborach samorządowych z 16 listopada, gdyż zawiesił się system liczenia głosów, a obwodowe komisje wyborcze musiały wrócić do sprawdzonej metody ręcznego liczenia i podsumowywania głosów na piechotę. Zatem o ile najwcześniej znane były wyniki głosowania w gminach i miastach, a także powiatach, najpóźniej trwało sumowanie i obliczanie głosów i przypadających miejsc w sejmikach wojewódzkich.

■ **KATOWICE**, tu w andrzejki wyborcza dogrywka i faworyt ustępującego prezydenta Piotra Uszoka, nieznaną szerzej Marcin Krupa, wygrywa ze sporą przewagą z Andrzejem Sośnierzem, kandydatem PiS-u (71,31 procent oddanych ważnych głosów wobec 28,69 proc.).

■ **ZMIANA** warty nastąpiła w wielu miastach i gminach regionu m.in. Sosnowcu (niespodziewanie Arkadiusz Chęciński z PO zastąpił Kazimierza Górkiego z SLD), a także Jastrzębiu, Rybniku, Piekarach, Siemianowicach. A w Sejmie Wojewódzkim po staremu – rządzi układ PO (17 mandatów), PSL (5 mandatów) i SLD (3 mandaty), z PiS-em (16 mandatów) w opozycji. Ponoć wejściu do koalicji RAŚ-u (4 mandaty) sprzeciwił się sam prezydent. Inni mówią, że nawet arcybiskup...

KRONIKARZ

W kultowym filmie „Terminator” inteligentny system zarządzający obroną USA, uzyskując samoświadomość, zaatakował swojego stwórcę – człowieka. Krajowe Biuro Wyborcze zafundowało nam w tym roku żaloszny remake tej narracji made in Poland. I to w realu.

Kupiony za pieniądze podatnika informatyczny system liczący głosy, zaatakował spokojnie czuwających nad uczciwością wyborów sędziów Państwowej Komisji Wyborczej. Napisany w KBW (nie mylić z Korpusem Bezpieczeństwa Wewnętrznego) scenariusz odniósł sukces. Nieznani dotąd szerszej opinii publicznej wielce szacowni sędziowie z dnia na dzień stali się nie tylko gwiazdami programów publicystycznych, ale przebojem wdarli się na portale społecznościowe i przyciągali miliony klikolaiików. Doda wysiada. A przecież dzisiaj nie ważne jak się o kimś mówi byle się mówiło. Nie mieli racji ci spośród krytyków PKW, którzy wyśmiewali *pozorne* nieprzystosowania się, za przeproszeniem, *akademii leśnych dziadków* – tzn. sędziwego grona – do nowych czasów. To właśnie oni są tubylcami cyberprzestrzeni i niejednemu uczyć się od nich strategii zaistnienia w galaktyce Internetu.

Oczywiście malkontentów (malkontentem zaraża się człowiek z niewiadomych przyczyn) zawsze mnogo i coś bredzą o kryzysie demokracji. O załamaniu się zaufania społecznego do najważniejszej instytucji demokratycznej w kraju. O kompromitacji państwa. A przecież demokracja to procedury prawne, a te nie przewidują terminu kiedy mają być ogłoszone wyniki wyborów. **I ten brak zapisu został dokładnie zrealizowany.** Uniesieni honorem sędziowie (i sędzina) pozostali odważnie na posterunku do końca, przyjęli na swoje barki bunt mediów, przetrwali rokosz mass i podali się do dymisji jak na mistrzów przystało po *sukcesie*. Trzeba przecież wiedzieć kiedy ze sceny zejść niepokonanym.

Przyczyną *krótkotrwałej* niedyspozycji PKW była szczupłość środków przeznaczonych na zakup systemu informatycznego liczenia głosów. Tak więc nie można zrozumieć dlaczego były już przewodniczący PKW nie przedstawił do wglądu mediów, na pewno obszerną, liczoną w setkach sztuk korespondencję, w której członkowie PKW zwracają się do Prezydenta RP, Marszałka Sejmu i Premiera Rządu w sprawie dofinansowania infrastruktury jaką powinny dysponować instytucje odpowiedzialne za demokratyczną rekrutację władz. Z pewnością w tych listach były liczne ostrzeżenia przed zapaścią systemu liczenia głosów, przed tym, że obwodowe komisje w ramach oszczędności zamiast urn będą miały kosze na śmieci obwiązane flagą. Nie zabrakło na pewno groźby dymisji PKW i KBW jeśli ich prośby nie zostały spełnione. Ten pokaz oczyszczał by sędziów z większości zarzutów. Przecież robili co mogli w ramach kompetencji określonych ustawą. Na podziw zasłu-

guje fakt, że w poczuciu godności i honoru szacowne ciało nie zniżyło się do użycia takich argumentów na swoją obronę.

Media ogłosiły, że oprócz SLD wszystkie partie czują się zwycięzcami w tych wyborach. Pogratulować samopoczucia. **A przecież przegrała cała elita polityczna en bloc.** Skazone grzechem pierworodnym – poprzez zniekształcenie wyników – wybory do sejmików wojewódzkich będą się nam odbijały czkawką przez kolejne lata. Żle zaprojektowana książeczka do głosowania i duża liczba głosów nieważnych stanie się źródłem kolejnej fali nieufności i wzajemnych oskarżeń. PiS odrobi lekcję i przed wyborami parlamentarnymi wy-

Samorząd w epoce
kryzysu demokracji

Skazone wybory

śle *hufce edukujące*, które będą uczały swój elektorat na umiejętność skutecznego głosowania. PO, niczym maczugą, będzie wymachiwało argumentem szaleństwa i nieodpowiedzialności Kaczyńskiego, który z mównicy sejmowej zarzucił koalicji rządzącej fałszerstwo, choć z góry wiadomo, że nie ma na to żadnych twardych dowodów. Zwycięski PSL już niedługo przekona się jak pyrrusowym zwycięstwem okażą się te 23% głosów, wynikające z pierwszej strony i ponad przeciętnej liczby głosów nieważnych. Już teraz ulubioną zabawą obywatelską jest pytanie: Czy ty głosowałeś na PSL? Co wzbudza ogólną wesołość i może nawet podnosi poziom optymizmu ogólnonarodowego. Ironiczne memy i sarkastyczne opinie na temat „nowej jakości trzech wiodących partii” nie są oczywiście dowodem naukowym, ale wskazują na atmosferę panującą wśród obywateli. Ta społeczna implozja jest tykającą bombą dla ludowców, która zamieni się w eksplozję w wyborach parlamentarnych w 2015 roku. I choćby przyszło tysiąc ekspertów z iluzorycznymi teoriami tłumaczącymi fenomen PSL, to nikt nie przekona rzeszy wyborców do możliwości regularnego niedoszacowania tej partii w sondażach przedwyborczych i powyborczych (sic!) przekraczającego 13%. Pozostaje nadzieja, że nowi członkowie PKW będą mieli na tyle odwagi aby ponownie przeliczyć głosy, po to by można było rozstrzygnąć prawdziwość hipotez co do faktycznych przyczyn dużej liczby głosów nieważnych i zapobiec na przyszłość skazie nieświadomego unieważniania własnych głosów.

Trudno wymagać od neutralnych światopoglądowo ugrupowań dokonania rachunku sumienia, pomimo to liderzy lewicy powinni się o to pokusić. Jeśli te ugrupowania nie zaprzestaną jałowych sporów o to dłaczego poparcie tkz. *społecznej lewicy* nie przekłada się na poparcie ich reprezentacji politycznej i nie stworzą nowej formacji atrakcyjnej dla elektoratu, **to powstanie trzeci rodzaj lewicy: muzealny.**

Wybory samorządowe na Śląsku przyniosły niewielkie roszady dla układu politycznego w sejmiku wojewódzkim. Dla PO i PiS mimo zmiany w liczbie radnych nic się nie zmieniło. Pierwsi są w koalicji, drudzy w opozycji. RAŚ utrzymał swoją pozycję w sejmiku i zyskał kilka przyczółków w radach miast. Ale stracił *dziwictwo* polityczne i musi zmierzyć się z twardą rzeczywistością partyjną. O Zagłębiu można przestać mówić *czerwone*, bo Podraza wygrał w Dąbrowie dzięki swoim działaniom, a nie poparciu SLD. Zmiana w Sosnowcu potwierdza rozdźwięk pomiędzy „lewicą liberalną” a oczekiwaniami obywateli o lewicowych poglądach. Niektóre miasta zmieniły paletę barw wyborczych. A Bielsko-Biała czy Rybnik, nie są już twierdzą jednego kandydata – hegmona. Utrzymanie przez Matyjaszyczka Częstochowy to sygnał, że bliskość tronu i ołtarza nie wszystkim się podoba. Do Gliwic *prawie* dołączyły: Bytom i Zabrze. Z tą różnicą, że w tych dwóch miejscowościach i owszem zakorzenił się jeden układ lokalnych sił rządzących, jednak ani jedno, ani drugie miasto nie weszło jeszcze na taką ścieżkę rozwoju jak to rządzone przez Frankiewicza.

Katowice, które z braku stanowiska prezydenta metropolii Silesia są jedynym miastem widocznym z perspektywy Warszawy, należącym do naszej dwu milionowej konurbacji, wniosły *historyczny* wkład w rozwój demokracji lokalnej. **Samorząd hybrydowy.** Składa się on z oficjalnego prezydenta i stojącej za nim katowickiej szarej eminencji: Piotra Uszoka. Zapewni to miastu utrwalenie ostatnich zdobyczy cywilizacyjnych w postaci braku przestrzeni miejskiej z prawdziwego zdarzenia, ale za to z namiastką zmian w postaci kilku budynków, placu, ulicy Mariackiej i paru kilometrów nowych dróg oraz ulotnego wspomnienia po mieście ogrodów. Jak na szesnaście lat – imponujące (sic!). Wszystkim upojonym rozwojem stolicy Górnego Śląska należy zaordynować wycieczkę do Poznania, Wrocławia, Trójmiasta jako środek leczniczy refundowany przez NFZ na hurra optymizm. Lekarstwo gorzkie, ale jakże skuteczne w leczeniu krótkowzroczności. W sumie – na Śląsku bez (większych) zmian.

MARCIN GACEK

Dr Marcin Gacek – socjolog, adiunkt z Instytucji Socjologii UŚ, poza artykułami naukowymi publikował w kwartalniku kulturalnym „Opcje” i miesięczniku „Śląsk”.



Fot. Zbigniew Sawicz

Z arcybiskupem seniorem DAMIANEM ZIMONIEM
rozmawia MARIA SZTUKA

Dobre śląskie drzewo

– W październiku świętowaliśmy wspólny jubileusz – osiemdziesiąte urodziny Księdza Arcybiskupa.

– To dobry wiek, Mojżesz, kiedy ukończył osiemdziesiąt lat poprowadził przez pustynię do Ziemi Obiecanej, z niewoli do wolności lud, który powierzył mu Pan Bóg i przewodził mu jeszcze czterdzieści lat. Jest więc to bardzo ciekawy czas. Jestem wprawdzie na emeryturze, która zgodnie z posoborowymi ustaleniami przysługuje nam po ukończeniu siedemdziesiątego piątego roku życia, ale zajęć mi nie brakuje.

– Sprawy diecezji, której Ksiądz Arcybiskup przewodził przez dwadzieścia sześć lat na pewno nie zeszyły na plan dalszy.

– Przeciwnie, korzystam z tego, że mam sporo wolnego czasu. Wielu problemom mogę przyjrzeć się teraz z większą uwagą

i właśnie dlatego patrzę na świat, na Śląsk, na diecezję z ogromną nadzieją. Czasy, w których przyszło mi żyć są dramatyczne, ale i fascynujące – jak mówił o nich Jan Paweł II. Począwszy od burzliwego okresu lat dzieciństwa poprzedzającego wojnę, poprzez doświadczenia okupacyjne a także trudną młodość w latach agresywnego komunizmu, ale to już na szczęście przeszłość i nie musimy do niej wracać.

– Proszę mi wybaczyć, ale skoro mówimy o dramatycznych czasach nie mogę zapytać, jak to się stało, że o wstąpieniu do seminarium duchownego zdecydował Ksiądz Arcybiskup w 1952 r., czyli w momencie, kiedy stalinizm osiągnął swoje apogeum.

– To prawda, ale powołanie nie jest sprawą człowieka, to Pan Bóg wzywa

i nie ma znaczenia w jakich czasach to się dzieje. Oczywiście można na to wezwanie nie odpowiedzieć, ale moja rodzina zawsze była bardzo mocno związana z Kościołem i choć oczywiście szalał wówczas stalinowski terror, nie miałem żadnych wątpliwości, wręcz przeciwnie – prześladowanie Kościoła i duchownych było dodatkowym wyzwaniem i zachętą, aby nie poddać się i iść za głosem Bożym. Miałem potężne wsparcie ze strony babci i mamy. Moja rodzina była bardzo silnie związana z parafią pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Niedobczycach. Ogromny wpływ na moje życie miała także szkoła, myślę tu o liceum w Rybniku, które od 1958 r. nosi imię Powstańców Śląskich. Uczyli w nim znakomici przedwojenni profesoria, których do dziś przechowuję w pamięci. Mieliśmy wprawdzie zajęcia z nauki o Polsce współczesnej, jakieś lekcje o marksizmie, ale nie miały one na nas żadnego wpływu. Uczący nas tego przedmiotu profesor po latach nawrócił się, był na wielu prymicach swoich uczniów, choć wcześniej przekonywał nas do rewolucji, jako dobra najwyzszego. Widać robił to bez przekonania, skoro tak wielu z nas nie zdołał zniechęcić do stanu duchownego. To nie znaczy, że pozostawaliśmy obojętni wobec tego, co się wokół nas działo. Nie ominęły nas żarliwe dyskusje i spory, nieraz stało *niebo w płomieniach*, by posłużyć się tytułem powieści Jana Parandowskiego, ale podkreślam – nauki marksizmu nie były dla nas żadnym zagrożeniem. Pierwszy wielki wstrząs przeżyłem, będąc już w Seminarium w Krakowie, kiedy dotarła do nas wiadomość o wygnaniu (7 listopada 1952 r. *przyp. MS*) wszystkich trzech śląskich biskupów z diecezji: Stanisława Adamskiego, Juliusza Bienka, Herberta Bednorza, ale nawet i ten wyjątkowy akt represji nie zachwiał moją wiarą. Krakowskie seminarium, Aleja Mickiewicza 3, naprzeciw Muzeum Narodowego było pod szczególnym kłosem ubecji, która usiłowała werbować agentów w naszych szeregach i byli tacy, którzy mimo znakomitych wyników w nauce po roku, dwóch opuszczali seminarium, ich dalsze losy nie pozostawiały złudzeń, w jakim celu pojawili się wśród nas. Byłem jednak solidnie i porządnie przygotowany do życia, dały mi to rodzina, szkoła, środowisko parafialne, to im zawdzięczam wytrwanie w wierze. Antyklerykalny, odgórny kurs nie przeszkodził wykształceniu wielu znakomitych duszpasterzy.

– W latach 1975–1985 kierował Ksiądz Arcybiskup najstarszą w śródmieściu Katowic rzymskokatolicką parafią – Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny. To był trudny, brzemienisty w wydarzenia nie tylko w historii Śląska, ale i Polski okres.

– To były bardzo dramatyczne lata: stan wojenny, tragedia w kopalni „Wujek”, pogrzeby górników, śmierć ks. Popieluszki... Ludzie byli zdesperowani ale i zagubieni a Kościół Mariacki był wówczas miejscem szczególnej obserwacji i ataków milicji, parafii też nie oszczędzono. Niestety, czasami trzeba było iść na kompromis, kiedy władze podjęły decyzję o zlikwidowaniu krzyża, który stał wtedy bliżej ulicy Warszawskiej, zgodziliśmy się na przeniesienie

go w pobliże kościoła i stoi tam do dzisiaj. To probostwo uczyło mnie Katowic. Nigdy nie pchałem się do polityki, zawsze pociągało mnie duszpasterstwo i bycie blisko ludzi. A to była szczególna parafia. Śródmieście było wówczas bardzo biedne. W każdy wtorek w kancelarii spotykałem się ze swoimi parafianami, poznawałem ich życiowe problemy, wiedziałem, że potrzebują pomocy, czasami nawet tej najprostszej, materialnej. Tam poznałem Annę Coreth, która przybyła z Wiednia, aby ustanowić w Polsce działalność Legionu Maryi, ruchu apostołstwa świeckich. Wystanniczki z Wiednia trafiły do mojej parafii, ponieważ Katowice były pierwszą stacją, na której mogły wysiąść a najbliższym maryjnym kościołem był kościół Mariacki. Początki działalności tej wspólnoty sięgają lat dwudziestych ubiegłego wieku i choć zrodziła się w Irlandii, wyprzedzając dalece soborowy *Dekret o Apostolstwie Świeckich*, szybko zdobyła uznanie nie tylko w Europie. Legioniści kierują się zasadą, że nie wystarczy wierzyć samemu, trzeba tą wiarą dzielić się z innymi. Dlatego docierają oni do najbardziej potrzebujących wsparcia grup społecznych również tych, oddalonych od Kościoła. I właśnie to tu w Katowicach Legion zapuścił korzenie i tu powstało jego pierwsze w Polsce prezydium. Kiedy brałem udział w Częstochowie w obchodach trzydziestolecia istnienia Legionu Polsce, na Jasnej Górze zebrały się tysiące członków tego stowarzyszenia. To pokazuje jak bardzo było i nadal jest ono potrzebne.

– Często Ksiądz Arcybiskup przywołuje słowa św. Pawła, co z jego nauk jest przydatne w naszych czasach?

– Święty Paweł teologicznie jest bardzo bliski mojej posłudze. Jego nauki są wzorem i przewodnikiem prawdziwego ewangelizatora, a każdy z nas nim jest. Wystarczy prześledzić jego skomplikowane życie, w którym przed nawróceniem w drodze do Damaszku wiele złego uczynił w znancom Chrystusa a jednak to właśnie on pozostawił nam nieocenioną strategię pastoralną. W jego działalności apostołskiej nie trudno dopatrzeć się misyjności, docierał do tych, którzy najbardziej potrzebowali słowa Bożego, choć nie mieli czasem tego świadomości. Ja właśnie tak postrzegałem Katowice. Cóż z tego, że zapraszałem ludzi do kościoła, skoro tak wielu z nich nie reagowało na to zaproszenie. Odwiedzałem rodziny dzieci przystępujących do I Komunii świętej, chciałem poznać ich osobie, zrozumieć ich problemy. Wiele z tych kontaktów przetrwało do dzisiaj, zaglądałem do domów dzieci, które nagle przestawały przychodzić na religię, musiałem dowiedzieć się – dlaczego, porozmawiać, wysondować, czy nie potrzebują pomocy. To były czasy, kiedy przed człowiekiem w koloratce nie było zamkniętych drzwi, odwiedzałem ludzi, którzy żyli w związkach cywilnych, nie było mowy, abym nie ochrzczył ich dziecka. Misyjne świętopaństwo przesłanie bardzo mi więc odpowiadało a to proboszczowanie mi pozostało i nic tego nie zmieniło ani doktorat, ani biskupstwo, ani przewożenie metropolia.

– Wspomniał Ksiądz Arcybiskup swoją wyjątkową rodzinę.

– To była zwyczajna śląska rodzina, z tradycjami górniczymi, ojciec był sztygarem, przepracował na kopalni ponad 40 lat, nie walczył na wojnie, ponieważ kopalnia reklamowała go od wojska, mama zajmowała się domem i wychowaniem naszej piątki. To wcale nie było takie proste. Chłopcy, a było nas czterech mieli różne pomysły. Bywało, że jako najstarszy z rodzeństwa musiałem, a raczej próbowałem ich pacyfikować, co nie zawsze się udawało. Miałem wprawdzie w domu pewne przywileje, więcej czasu mogłem poświęcać nauce, ale musiałem też bardzo uważać, młodszy bracia często mnie kontestowali, ale to była dobra nauka życia. Babcia Franciszka, która swojej córce, a mojej matce Joannie pomagała w wychowaniu dzieci, potrafiła ten proces ubogacić doświadczeniem zdobytym w Westfalii. Przez dwanaście lat przebywała tam razem z mężem. Dzięki temu nasz dom był dwukulturowy. Było to pewne bogactwo, które później zaowocowało.

– Zbliżają się Święta Bożego Narodzenia, czy wspomina Ksiądz Arcybiskup jakąś szczególną Wigilię?

– Święta w domu były zawsze bardzo serdeczne, rodzinne, piękne, pełne modlitwy, refleksji, kolęd. Ojciec pytał mnie zawsze, tylko mnie, co chciałbym otrzymać pod choinkę. Pamiętam jak kiedyś wybrał się aż do Katowic, aby kupić mi książkę, o którą poprosiłem. Co to była za książka już dziś nie pamiętam, ale jakim wysiłkiem była zdobyta, o tym trudno zapomnieć. Święta kojarzą mi się ze spokojem w rodzinnym gronie, może więc dlatego szczególnie wbiła mi się w pamięć Wigilia, a było to już w seminarium, która była dla mnie wyjątkowo nerwowa. Proboszcz ks. dr Jan Tomala poprosił, abym wygłosił kazanie na Pasterce. Byłem wówczas tuż po święceniach diakonackich, młody i niedoświadczony. Sama myśl, że mam stanąć na ambonie i mówić do ludzi napawała mnie strachem i przerażeniem, o niczym innym nie potrafiłem myśleć podczas Wieczery. Tak, tej Wigilii nie mogę zapomnieć.

– Przywołując seminarium w Krakowie wspominał Ksiądz Arcybiskup, zapewne nie przez przypadek, o jego sąsiedztwie z Muzeum Narodowym.

– Nie samą przecież nauką żyliśmy, chodzenie do muzeum czy teatrów było na porządku dziennym i w czasach nauki i czasach nauczania, kiedy sprawowałem urząd wicerektora Wyższego Śląskiego Seminarium Duchownego. Nie mogło być inaczej, to był Kraków, wspaniałe polskie i przepojone polskością środowisko. Był więc Stary Teatr, Swinarski, *Dziady*... zapraszałyśmy do seminarium Wajdę, Zanussiego. Pamiętam na przykład pokaz filmu „Struktura kryształu”.

– W tym roku nasz miesięcznik wkroczył w dwudziesty rok swojego istnienia, Ksiądz Arcybiskup jest ze „Śląskiem” od jego pierwszego numeru, za co gorąco i serdecznie dziękujemy. Wierni deklaracji złożonej przez założyciela i pierwszego redaktora naczelnego pisma Tadeusza Kijonki: *Po pierwsze: Śląsk ocalamy od zapomnienia to, co najcenniejsze, śledzimy także z uwagą wszystkie zachodzące zmiany. Wielokrotnie Ksiądz Arcybi-*

skup, goszcząc na naszych łamach, podkreślał znaczenie tradycji w życiu mieszkańców regionu. Czy patrząc z perspektywy minionych dwudziestu lat śląski fenomen religijności – zdaniem Księcia Arcybiskupa – oparł się „agresywnemu konsumizmowi”, o którym papież Franciszek mówi, że jest jedną z najgroźniejszych chorób dzisiejszej Europy?

– To ważne pytanie, nie sposób jednak odpowiedzieć na nie bez odniesień do skomplikowanej historii Śląska, podziału tych ziem, zaborów, powstań, plebiscytu, walki o obronę języka polskiego i – na tle tych wydarzeń – dziejów katolicyzmu. Trzeba pamiętać, że zanim powstała diecezja katowicka w 1925 r., musieliśmy się zadowolić ustanowioną przez papieża Piusa XI w 1922 r. Administraturą Apostolską Śląska Polskiego. Bez znajomości tych wszystkich zawirowań nie można zrozumieć fenomenu śląskiej religijności, który jest efektem niebywałej walki o polskość, ale i o wiarę. Kapłani to byli niemal jedyni przedstawiciele nielicznej polskiej inteligencji na tych ziemiach, oni więc przewodzili narodowi. Na tej glebie urosły „dobre drzewa”, mówiąc słowami Jana Pawła II: Szramek, Hlond, Czempiel, Gawlina, Bieniek, Bednorz, Kurpas, Domin, Stroba, Jeż, Pluta, Blachnicki i wielu innych, to księża, którzy nie tylko musieli walczyć z laicyzacją, bronili oni także polskości i byli glebą, na której zrodziła się myśl powstańcza. Zahartowani w walce o niepodległość Ślązacy komunizmowi także się oparli. A dzisiaj? To prawda, że dokonują się głębokie przemiany, nie tylko u nas, ale w całej Polsce, Europie, na świecie także. Jest wiele zjawisk niepokojących, moda na laicyzację, rozpad rodziny, utrata autorytetów... Mamy jednak wolność ewangelizacji, piękne kościoły, budujemy kolejne, wspaniałych dobrze wykształconych księży, coraz liczniejsze grupy świeckich, które angażują się w pracę apostołską i charytatywną, duchownych znacząco obecnych w rodzinnej kulturze, docieramy do wiernych poprzez „Gościa Niedzielnego”, „Małego Gościa”, Radio eM, „Apostolstwo chorych”, portale internetowe np. „Wiara.pl”. Uważam, że jesteśmy dobrze przygotowani do stawiania czoła wyzwaniom. Papież Franciszek w Parlamencie Europejskim mówił o nadziei i zachęcie. Trafnie zdiagnozował choroby toczące naszą cywilizację, wskazując m.in. na samotność, ubóstwo, „kulturę odrzucenia”, przeciwstawił im jednak ideały, takie jak: pokój, zasadę pomocniczości i solidarności czy humanizm koncentrujący się na poszanowaniu godności osoby. Wiele gorzkich słów pada dziś pod adresem młodych ludzi, którzy ulegają modom, lekceważą dekalog. „Dobro poznajemy tylko wówczas, gdy je czynimy, zło poznajemy tylko wówczas, gdy go nie czynimy”, sądzę, że młodzież chce tego zła dotknąć, ale wierzę, że sił dążących ku dobru jest znacznie więcej. Tak to już bywa z tą wolnością, zachłystujemy się nią, upajamy, czujemy się niczym bogowie, jestem przekonany, że do każdego w odpowiednim momencie dotrą słowa Leopolda Staffa, które przywołał Jan Paweł II podczas uroczystości 600-lecia Jasnej Góry: „wolność nie jest ulgą, lecz trudem wielkości”.

Pouczający spacer po Katowicach

Tekst:
BOGDAN
WIDERA

Zdjęcia:
PIOTR
SOBAŃSKI

Przekornie mówię, że to najpiękniejsze miasto na świecie. I pokazuję je gościom. Oczywiście secesję (i pseudo secesję), modernistyczną, najmłodszą w Polsce „starówkę”, Nikisz i Giszowiec, nowe „znaki miasta” w rejonie Ronda itd. Mówię: „Tu w XIX wieku założyliśmy na nowo państwo Izrael”, na dowód demonstrując tablicę na budynku przy ulicy Młyńskiej (to spotkanie odbyło się akurat w innym domu). Opowiadam o podziemiach pod placem Sejmu Śląskiego, które łączyły dzisiejszy Urząd Marszałkowski z obecnym Wydziałem Filologii Polskiej Uniwersytetu Śląskiego. Tłumaczę humanistom teorię względności na przykładzie ulicy Staromiejskiej (jej mieszkańcy poruszając się tylko w czasie wielokrotnie znajdowali się w zupełnie innej przestrzeni, tyle razy bowiem ją przemianowywano). Ale ciągle uczę się mojego miasta na nowo, bo się zmienia.



Markiefki

Wychodzę ze sklepu, na którego wystawie umieszczono kłamliwy napis „tanie papierosy”. Czegoś takiego już w ogóle nie ma. Nie palę, choć mi się chce. Ale w tym miejscu na ulicy Markiefki zaraz zostałbym „panem kierownikiem”, „szefem” albo „kolegą”, bo mężczyźni stojący przed familokami też są spragnieni nikotyny. Idę więc w kierunku mostu kolejowego, po którym nie przejedzie już żaden pociąg. Nie ma tam torów, znikły razem z kopalnią „Katowice”. Za to na barierce co jakiś czas pojawia się przypominający prześcierało transparent informujący np. „GIEKSA – tyskie psy” plus data i godzina. Spod mostu wyjeżdża „pojazd do biznesu”. Ten niebieski wózek dziecięcy mu-

siał zostać jakoś wzmocniony, inaczej rozpadłby się pod ciężarem zdezelowanej kuchenki gazowej. Dwaj przewoźnicy mają zadowolone miny, bo do punktu skupu złomu już niedaleko. Elita tej profesji dysponuje wózkami, których dawniej używali hałaśliwi roznosiciele mleka, biedniejsi chodzą z wysłużonymi reklamówkami, do których zbierają zdeptane wcześniej pieczołowicie puszki po piwie i napojach energetycznych.

Schodzę do podziemnego przejścia pod aleją Roździeńskiego. Mijam wymalowanego na tle górskich szczytów Jerzego Kukuczkę, który urodził się w pobliskim Pekinie. Parę kroków dalej wizerunek Magika ze słynnej PAKTOFONIKI, który w 2000. roku wyskoczył z okna bloku na pobliskim osiedlu. To dwaj najwybitniejsi mieszkańcy Bogucic. Zyl tu oczy-

wiście inni ludzie godni upamiętnienia, choćby zamęczony przez Niemców w obozie ks. proboszcz Ścigała, czy bracia Markiefkowie, ale dla współczesnych to prehistoria, o której nic nie wiedzą.

Ulica Bogucicka

Po wyjściu z podziemnego przejścia w oczy rzuca się postawiony nad Rawą piękny przeszklony budynek Centrum Nowoczesnych Technologii Informatycznych, w skrócie CNTI, do którego o każdej porze zbiegają grupki młodych ludzi. Ten skrót mnie drażni, podobnie jak nazwa wybudowanej niedaleko biblioteki uniwersyteckiej CNIBA. Trudno spaść i źle się tymi skrótami operuje w rozmowie. Ale dowiedziałem się, że te „centra” to wina Unii Europejskiej. Nie daje ona środków na coś tak banalnego jak biblioteka akademicka, nie skąpi natomiast na centra.

Mijam dwa z wielu gmachów Uniwersytetu Ekonomicznego. W ciepłe dni przed nimi zawsze wielu studentów, w nie pogodę wystają tam głównie pałacy. Taka ilość młodzieży przekonuje, że niż demograficzny tej akurat szkoły nie dotyczy. Klóci się także z jeszcze innym stereotypem: że młodzi nie lubią matematyki. Przecież ekonomia jest bardzo powiązana z „królową nauk”, a dochodzi do tego jeszcze statystyka, księgowość i nie wiem, co jeszcze. Więcej widuję dziewcząt, ale to chyba reguła w szkołach wyższych.

Kiedy tędy przechodzę zawsze dziwię się, że na słupach latarni przed samym wejściem do uczelni wiszą ogłoszenia „Pisanie prac” i pod spodem wielokrotnie powtórzony numer komórki. Często anons jest wzbogacony określeniem: „semestralnych”, „licencjackich”, „magisterskich”. Pewnie i za moich czasów zdarzały się takie oszustwa, ale dokonywane były (chyba) w głębokiej konspiracji. A tu taka ostentacja. Przecież obok takiego słupa przechodzą pracownicy nauki szkoły. Regularnie spotykam się z filozofem, profesorem Andrzejem Norasem z Uniwersytetu Śląskiego, rozmawiamy m.in. o etyce, pytam więc przy okazji o tę dziwną dla mnie praktykę. Profesor nie jest zbulwersowany. Mówi, że ogłaszanie się na latarni to margines, bo multum podobnych ofert znaleźć można w Internecie. Dojście na podstawie numeru komórki do nadawcy nie byłoby prawdopodobnie żadnym problemem, ale w naszym tolerancyjnym społeczeństwie jest przyzwolenie na omijanie przepisów i wszelkie drobne szwindle. Opowiada mi też o studentach „samodzielnym”, którzy piszą swoje elaboraty przy pomocy dwóch komend – „kopiuj” i „wklej”, powielając często błędy figurujące w sieci.

Ulica 1 maja

Tu znajduje się kolejny budynek Uniwersytetu Ekonomicznego. Przed nim barek dla studentów, a wcześniej jeszcze sklep, który upadł zanim powstał. Ktoś wyremontował wnętrze, ozdo-

bił wystawę malunkiem, na drzwiach nawet wypisano godziny otwarcia (6-23), którego nie było. Naprzeciw zamknięto „salonik prasowy”. To nie jest atrakcyjna ulica. Szara, brudna, niezbyt liczne małe sklepiki i punkty usługowe, czasem tylko ozdobione szyldem na wyrost, np. „Delikatesy – 24h”. Są piekarnie i cukiernie. A od niedawna „Aldi”, który jednak nie przyciąga chyba tłumów, bo ilekroć tędy przechodzę nie ma tłoku na parkingu. W każdym razie jest i to w samym środku miasta. Są i punkty służące piękności – fryzjerzy, kosmetyczki, solarium.

Poezja szyldów

Spacerując po mieście wiele uwagi poświęcam nazwom sklepów, restauracji i pubów, placówek usługowych. Ważne są też napisy zdobiące okna wystawowe. Trafiają się prawdziwe perły, jak choćby „rolety refleksyjne”. Bywają uwłaczające, np. sklep „Raj kobiet” handlował sztuczną biżuterią. Pełno rozmaitych „studiów”, „instytutów”, jest nawet



Poezja

„akademia” pewnej firmy kosmetycznej, ale chyba nie doczekała się „Gaudeamus”. O ile dobrze pamiętam uchwalona została ustawa, która miała przeciwdziałać zaśmiecaniu języka polskiego obcojęzycznymi nazwami. To prawna fikcja. Nie wiem, czy tzw. przeciętny obywatel rozumie, co głosi szyld. Ja potrafię rozszyfrować firmę „Royal nails”, ale już inne usługi kosmetyczne są dla mnie zagadką. Nie mam też pojęcia, co znaczą słowa związane z gospodarką. Na studiach uczyli mnie wprawdzie ekonomii (politycznej, socjalizmu), ale tam nie mówiono nam o zysku, tylko o wyzysku.

Ulica 1 Maja c.d.

Idę dnem kamiennego kanionu, który bynajmniej nie kończy się przecinającą go ulicą Graniczną. Po drodze widzę placówki, które upadły. Na przykład taki „fituliten geszeft”, który nosił dumną nazwę „MARKET”. Coraz więcej takich miejsc w centrum. Całkiem niedawno



zbankrutowała restauracja i lodziarnia. Dawali tam dobre jeść i niedrogo. Moi znajomi spierają się, czyja to wina. Jedni twierdzą, że „MIASTO” zaordynowało niebotyczne czynsze, drudzy wskazują na chciwość właścicieli. Ale „pustostany” to nie tylko kwestia parteru. Można natopkać domy, w których już nikt nie mieszka. Józef Wycisk, mój kolega z Radia Katowice, świetny dziennikarz zajmujący się ekonomią, wytłumaczył mi, że właścicielowi odzyskanej kamienicy lokatorzy się nie opłacają. Nie płacą czynszów, dewastują lokale, więc lepiej ich nie przyjmować. Dom utrzymują sklepy albo firmy „z dołu”, coś mogą dodać też biura zajmujące dawne mieszkania.

Ulica Warszawska

Niby ten sam kamienny kanion, a przecież w oczy rzuca się zmiana. Tu więcej kamienic z odnowionymi fasadami, ozdobionymi jakimiś rzeźbami, głowami, architektonicznymi ciekawostkami, które przed ponad wiekiem zaspokajały próżność właścicieli-inwestorów. Wyłom w kamiennym korycie tworzą dwa kościelne place, na których stoją świątynie ewangelicka (starsza) i katolicka. Panuje prze-

konanie, że protestanci byli gospodarniejsi, oszczędniejsi, pracowitsi od katolików. Nie wiem. Ale faktem jest, że kiedy idę na spacer w kierunku Rynku (nie ma go jeszcze), po prawej, czyli ewangelickiej stronie mam same renomowane banki, a po lewej (katolickiej) oferują mi chwilówki, lombard „Skok” i używaną odzież.

Jednak po lewej stronie Warszawskiej jest też kamienica bardzo mi bliska. Mieszkał w niej pan Andrzej Rożanowicz, „stary katowiczanie” – tak kazał się przedstawiać w tekstach i audycjach. Wiele godzin przegadaliśmy w „Kryształowej”, która dla niego była kawiarnią Liboriusa Otto. Spisała. Ale kiedy się tam spotykaliśmy na herbatkach z rumem, personel traktował go jak króla – musiał się znaleźć dla niego stolik, był obsługiwany z ogromną atencją. Trochę z tego splendoru sphywało i na mnie, bo kiedy się z kimś tam umówiłem, panie z obsługi pamiętały, że to jest ten facet, z którym rozmawiał PAN ANDRZEJ.

Kiedy idę do Rynku lewą stroną Warszawskiej, ostatnią przecznicą w jaką zaglądam to ulica Stanisława. Patrzę, czy moja zaprzyjaźniona galeria „Renesans” jeszcze tam jest. W czasie tego spaceru jeszcze była. Potem odwracam wzrok, bo



City

szlag mnie trafia, kiedy u wylotu Mielęckiego czy Dyrekcyjnej widzę niszczący stary dworzec. Piękny. Stąd wyjeżdżaliśmy na wakacje, a w „Warsie” można było zjeść bardzo przyzwoity obiad. Oczywiście nie było tam już takiego luksusu jak za czasów pana Rożanowicza, który mi opowiadał o odbywających się w tych wnętrzach prestiżowych balach sylwestrowych. Podobny dworzec odnowiono we Lwowie. W Paryżu jest taki sam – d’Orsay, gdzie pokazuje się impresjonistów. My mamy w muzealnych zasobach i kolekcjach prywatnych malujących górników – Wróblów, Sówkę, Gawlika. Ten budynek byłby idealnym miejscem do prezentacji tych prac. A nowy właściciel skazał go na zniszczenie. Pani profesor Irma Kozina kilka lat temu usiłowała temu przeciwdziałać. Dokumentowała proces ruiny zdjęciami. Pod dworcem zbierała podpisy pod protestacyjną petycją. I ja tam byłem i PESEL wpisałem. I nic. No nie, Kozinę ukarano za „nielegalną manifestację” (transmitowaną przez Radio Katowice) grzywną, czy może mandatem w wysokości 200 złotych.

Rynek

Co w środku – jeszcze nie wiem. Jest już natomiast gmach Urzędu Miasta (na miejscu Domu Prasy i dawnego Cafe Sportu) oraz odnowiony „Zenit”. Ten dom towarowy, niegdyśjsze miejsce pielgrzymek klientów z całego województwa, dziś wabi reklamą „DYSKONT TANIA ODZIEŻ”. Naprzeciwko – „Skarbek”, chyba jedyny udany obiekt architektoniczny w tym miejscu z czasów realnego (?) socjalizmu. Po prawej stronie, przy ulicy Teatralnej widzę coś nowego – bar mleczny. Na pewno tam zajrzę, bo lubię kaszę z kefirem, ruskie pierogi i inne tego typu specjały.

Ulica 3 Maja

Reprezentacyjna, wypieszczona. Była-by. Ale szpecą ją folie, którymi powijano ozdobne podpory balkonów albo fantazyjne gzymsy. Dla bezpieczeństwa, żeby nie zleciały na przechodniów. Drażnią także reklamy zasłaniające odnowione fasady budynków. Mijam ulicę Wawelską. Tu moja znajoma „Młoda Kapitalistka” wspomaga urodę kobiet cudownymi specyfikami, które odżywiają, regenerują, a przy tym naturalnie (i ładnie) pachną. Dochodzę do Galerii Katowickiej. Nie błędzę w górach, w lasach, ale tam zaraz po wejściu się gubię, więc zaglądam do środka rzadko i niechętnie. Naprzeciwko ulica Stawowa, gdzie już w czasach Edwarda Gierka pojawiła się „mała gastronomia”, przez co nazwailiśmy z radiowymi kolegami tę część miasta „Chinatown”. Idąc dalej 3 Maja mijam inną galerię – Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”. Tutaj zachodzę często, bo kierownik tej placówki Zbigniew Mędrala z nieomylnym gustem prezentuje w niej obrazy albo grafiki najbardziej interesujących, głównie młodych twórców



z naszego środowiska. Przychodzę na każdy wernisaż, żeby ich poznać, porozmawiać, dowiedzieć się, co im „w duszy gra”. Obok restauracyjka, co nie jest żadnym ewenementem, ale... Spaliła się jakiś czas temu, a po remoncie szefowie nadali jej nazwę świadcząca o ich poczuciu humoru – „Popiół i diament”. Idąc dalej trafiam do maleńkiej i – niestety – jedynej księgarni na tej reprezentacyjnej ulicy. Za to jest to naprawdę księgarnia a nie sklep z książkami.

Plac Wolności

Był wieczór. Z moją przyjaciółką Anetką, załączanką, która od lat mieszka w Paryżu, przechodzimy przez ten skwer bez żadnych emocji. Ale nazajutrz rano Radio Katowice podaje informację, że w nocy został zdemontowany stojący tam pomnik żołnierzy radzieckich. Byliśmy jednymi z ostatnich przechodniów, którzy widzieli „dowód wdzięczności”. Wysyłam Anecie esemesową wiadomość. Odpisuje mi gdzieś z drogi do Francji: „Ojej! A ja nie zrobiłam zdjęcia...”

Przyglądam się pustemu cokolowi i myślę, że ten plac to nie jest dobre miejsce dla pomników. Nie przetrwał pruski monarcha, nie udało się upamiętnić na wieki wysiłku powstańców śląskich, teraz odeszli żołnierze... Po konserwacji mają trafić

do parku Kościuszki na cmentarz poległych z Armii Czerwonej. Więc może ten cokol powinien na zawsze pozostać pusty, żeby przypominać o pomnikach, które nie trafiły w swój czas.

Z tym miejscem wiąże się jeszcze jedno moje wspomnienie. W marcu 1968 roku na schodach przed cokołem zaczęło się odczytywanie rezolucji studentów z Katowic, protestujących przeciwko zdjęciu *Dziadów* i solidaryzujących się z kolegami z uczelni warszawskich. Zaczęło się, ale nie skończyło, bo zaraz plac Wolności otoczyły milicyjne „suki”, z których wyskoczyli chłopcy z ZOMO i zaczęli nas pałować. Z zaciekłością, być może dlatego, że w tym samym czasie do wielkoprześlowskiej klasy robotniczej przemawiał Edward Gierek, który zdecydowanie wystąpił przeciw wichrzycielom. Na drugi dzień na pierwszej stronie *Trybuny Robotniczej* ukazało się zdjęcie z tej masowej manifestacji. Na pierwszym planie jakaś robotnica trzymała transparent głoszący: „Więcej dzieci robotników i chopów na wyższe uczelnie!” Z tym błędem właśnie. O studenckich protestach na Śląsku lokalna prasa nie napisała ani słowa.

P.S. Dlaczego odbyłem spacer tą właśnie trasą? To proste. Między Rawą a torami kolejowymi rozdziło się moje miasto.



Cokol na którym nie stoi już nikt

• Rodzime duopole

Reforma gminna okresu transformacji uznawana jest za najbardziej udane przedsięwzięcie legislacyjne i organizacyjne podjęte w ostatnim ćwierćwieczu transformacyjnej Rzeczypospolitej. Zdecydowanie gorzej oceniono w kręgu ekspertów reformę powiatową czy wojewódzką. Do dzisiaj nie milną też spory o sens istnienia kilku przynajmniej regionów, niewielkich terytorialnie i słabych demograficznie, takich choćby jak województwo opolskie czy lubuskie. W tym ostatnim, podobnie jak i w przypadku kujawsko-pomorskiego, nie udało się nawet ustalić jednego miasta stołecznego. Zamiast tego mamy podział władzy między Zieloną Górą i Gorzowem czy Toruniem i Bydgoszczą. Taki duopol świadczy jednoznacznie o braku wojewódzkiego centrum, regionalnego punktu ciężenia i przestrzeni odniesienia dla mieszkańców obu regionów. Co gorsza, powszechnie znane rywalizacje miast o regionalny prymat skutecznie utrudniają realizację celów strategicznych i ograniczają konkurencyjność województw w europejskiej przestrzeni. W przypadku województwa opolskiego pojawiły się koncepcje jego inkorporacji do śląskiego czy dolnośląskiego. Wojewoda i marszałek opolskiego z przekonaniem zabiegają o stworzenie pierwszej w kraju Specjalnej Strefy Demograficznej, która ograniczy proces wyludniania regionu i zapobiegnie populacyjnej katastrofie. Tak czy owak, władze najmniejszych województw z determinacją odrzucają wszelkie koncepcje zmierzające do ograniczenia ich autonomii o likwidacji już nie wspominając.

• Gminne rewolucje i ich konsekwencje

Reforma gminna spowodowała trojaki przynajmniej konsekwencje. Rozpoczęła na większą, choć wciąż niezadowolającą skalę, proces decentralizacji państwa i cesję części uprawnień z poziomu rządu na regiony i gminy. Po wtóre, sprzyjała mobilizacji społecznej i uruchomiła, aczkolwiek w ograniczonym zakresie, mobilizację społeczną, postawy prometejskie oraz lokalne ruchy społeczne. Aktywności obywatelskie lokowane są najczęściej w trzech instytucjach: szkole, parafii i wspólnocie mieszkaniowej. Po trzecie wreszcie, sprzyjała odbudowie wspólnot lokalnych, lepiej zorientowanych w mikroskalowych problemach gminy niżli samorządy regionalne. Reformatorskie przedsięwzięcia w przestrzeni lokalnej ogranicza jednak wyraźna centralizacja finansów, przy jednoczesnej decentra-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Kolejna pochwała mniejszego nieba

lizacji uprawnień i powinności. Mówiąc wprost, władze lokalne przejmują coraz więcej obowiązków przypisanych państwu, a w ślad za cesją uprawnień nie płynnie, mówiąc językiem akwatorycznym, strumień pieniędzy.

• Więcej gminy, a mniej państwa

Władze lokalne, bez względu na ułomności i niedostatki ich funkcjonowania, są najbardziej predystynowane do mądrego dysponowania groszem publicznym. To właśnie sołtys, wójt, burmistrz czy prezydent i jego współpracownicy najlepiej wiedzą jak i gdzie inwestować. Problem jednak w tym, że podejmowaniu decyzji towarzyszy od lat napływ środków europejskich. Powstaje oczywiste pytanie, co się stanie w nieodległym już roku 2020, w którym ten typ wzmocnienia ustanie? Czy lokalne władze potrafią zdobyć się na podstawową przynajmniej autonomię i samodzielność finansową, podrywając do działania lokalną społeczność,

czy – przeciwnie – dotknie je bezradność i brak koncepcji rozwojowych. Każdy wariant jest możliwy, ale w najtrudniejszych przypadkach konieczna okazać się może interwencja władz regionalnych czy centralnych.

• Między mobilizacją i absenteizmem

Odtworzenie Rzeczypospolitej gminnej dawało nadzieję na wzrost aktywności obywatelskiej w przestrzeni ojczyny prywatnej. Przez dziesięciolecia realnego socjalizmu aktywność taka została skutecznie, a może bezpowrotnie, wygaszona. Okazuje się bowiem, że w transformacyjnym ćwierćwieczu nie udało się, ani w skali lokalnej, ani regionalnej, pobudzić działań obywatelskich. Wciąż tylko dziesięć procent mieszkańców wykazuje się postawami prospołecznymi, działając bezinteresownie na rzecz małej ojczyzny. Swoje aktywności lokują w szkole, w której uczą się ich dzieci czy wnuki, w parafii, do której należą czy we wspólnotach mieszkaniowych, których są członkami. Od lat ta sytuacja nie ulega zmianie i z życzliwą zazdrością można ją porównywać a działaniami obywateli Republiki Federalnej Niemiec, Szwajcarii, o Stanach Zjednoczonych już nawet nie wspominając.

• Potyczki z wykluczeniem i potrzeba społecznego włączenia

Reformatorzy, którzy przygotowali reformę gminną, w tym nieżyjący już Michał Kulesza, zakładali jednoznacznie, że w w małych społecznościach skutecznie będzie można ograniczać skalę wykluczenia i marginalizacji. To założenie udało się zrealizować tylko częściowo. Owszem, miłosierdzie gminy pozwala na trafne zaopatrzenie najbardziej potrzebujących, ale w żadnym przypadku nie daje gwarancji ich mobilizacji i samodzielnego funkcjonowania. W wielu społecznościach lokalnych pojawili się prawnicy biedy, korzystający bezwzględnie z instytucji socjalnych i gwarantowanego prawnie wsparcia. Na drugim krańcu wciąż tkwią przedstawiciele godnościowej biedy, którzy nigdy i w żadnych okolicznościach nie sięgną po grosz publiczny. Największe nawet porażki mobilizacyjne nie przekreślają jednak sukcesów gminnych, podobnie jak i słabości lokalnych władz czy ułomności ich przedstawicieli. Gminny bilans jest jednoznacznie pozytywny a zdarzenia patologiczne czy dewiacyjne w lokalnej skali nie podważają takiej oceny, choć niekiedy wystawiają na szwank reputację samorządów.

Od redakcji: Co stało się z Lisą Heilman z Florydy, która kilkanaście lat temu szukała na Górnym Śląsku swoich korzeni (o tym pisał „Śląsk” nr 2/2002 i 2/2003) W poprzednim numerze rozpoczęliśmy naszą opowieść o sympatycznej Amerykance, którą teraz kontynuujemy – w następnym numerze „Śląska” zamieścimy jej ostatnią część.



Spacerujemy po Savannah.

Liso, wróć do krainy kwiatów! (2)

Tekst i zdjęcia:
GRZEGORZ SZTOLER

Słoneczna plaża w Daytonie

Lisa wozila nas na nią sonatą, nas Li cały sprzęt „plażowy”, boogi-boardy, czyli deski do surfowania, dwa parasole, cztery krzesła, kremy, plecak, koło ratunkowe. Wszystko mieściło się w bagażniku zakupionego właśnie hyundaia sonaty. Atlantyk był ciepły, wiała z niego ożywcza, chłodna bryza, stąd ludzie najchętniej przebywali właśnie tu. Na łądździe panowała ciepłota, spiekota i duchota. Ale mimo że się starałem, już pierw-

szego dnia spiekło mi głowę. Poratował mnie aloes rosnący w ogródku Lisy, wystarczyło odciąć kawałek rośliny, zamrozić, a potem galaretowatą masę wydrzeć ze środka na głowę, a skutek był murowany. Nazajutrz już nic mnie nie parzyło. Ale Lisa na wszelki wypadek dała mi czapkę, którą znalazła w oceanie, okrywającą również kark i uszy, czego w przeciwieństwie do amerykańskich nie robią [choć powinny] czapki polskie.

Po dwóch, trzech godzinach plażowania, ale nie więcej wracaliśmy do domu Lisy, by się ochłodzić, najpierw pod ze-

wnętrznym, ogrodowym prysznicem [outside shower], a potem w klimatyzowanym wnętrzu. Wieczorem, przed albo po kolacji, powrót na plażę, i moczenie stóp plus kolekcjonowanie [żmudne zbieranie] muszelek na ozdobne dzieła [w numerze zafascynowała się moja ślubna, a Lisa praktykowała od wielu lat].

Na plaży, to niecodzienny widok dla Europejczyka, kursowały samochody, za cenę wstępu [jednorazowy wydatek 5 dolców]. Poruszały się z minimalną, bezpieczną prędkością, by nikogo nie rozjechać [choć i takie wypadki się zdarzały], plaża była dość szeroka, by nikomu nie przeszkadzały. Taki to był zwyczaj. Na jednym z targowisk trafiliśmy na zdjęcie Daytony z lat 60., pełno na nim oczywiście cadillaców. Na innym, z pisemka agitując, by uczestniczyć w lokalnych wyborach, zobaczyć można było zdjęcie może z lat 20., na plaży pełno było powozów konnych. Później jeździły po niej samochody. Choć ponoć tylko tu, i nigdzie indziej, nawet Ormond. Ale zwłaszcza tu w Daytonie, gdzie dokładnie w tym miejscu organizowano wyścigi samochodowe, a w mieście znajdował się tor do wyścigów szybkich samochodów. W stolicy legendarnego Harleya Davidsona [Lisa dowodziła, że tenże rozłuszczony na miasto, które chciało podwyższyć opłatę, za korzystanie z parków i skwerów w centrum, przeprowadził swój interes poza miasto, kupił działkę, wybudował hotel, gdzie urzędza złoty fanów Harleya, a miasto z tego nie ma nic].

I mimo samochodów na plaży, było czysto, zupełnie czysto, bez wszędobylskich flaszek [pić w ogóle tu nie można], petów, i innego syfu [z psami włącznie, bo ich też na plażę wprowadzać nie było można].

I można też spotkać ciekawych ludzi. Jednym z pierwszych był brodaty Ralph, przyjaciel, czy też może raczej kolega Lisy z plaży. Przedstawiła go nam, w razie problemów zawsze mogliśmy liczyć na jego pomoc. Ralph wjeżdżał na plażę buraczkowym, niewielkim jak na amerykańskie wymagania, sportowym carem, rozkładał krzesło, parasol i czytał. Czytał zdaje się kryminał, pokazywał mi nawet jego okładkę. Twierdził, że mroczny.

Z kolei Larry, sąsiad Lisy, miły, choć zbyt religijny facet, ostrzygł trawnik przed domem Lisy, kiedy się akurat za to zabierałem, postawiłem mu więc ichniejsze, słodkie nieco, ale zimne [co cenne w tym klimacie] piwo. Larry wdał się w pogawędkę, że lubi Polaków, jego szef był Polonusem, i do tego pracoholikiem, równo się z tym Larrym gaworzyło, ale Lisa ostrzegła mnie... Larry przyniósł mi pismo z Reganem na okładce, to było o końcu świata, jakiś pastor, któremu Larry bezgranicznie ufał przepowiedział pono i upadek muru berlińskiego... pieron to wie, nie znałem gościa, nie słyzałem, czasopismo wzięłem, Larry to był strasznie sympatyczny facet, tylko nie zjeżdżaj z nim na tematy religijne, ostrzegła mnie Lisa, i grzecznie, na swój sposób wprosiła Larrego, mówiąc że jeste-

śmy zmęczeni, i teraz czas na kolację. Pewno z Larrym obalilibyśmy w Polsce, w naszych warunkach flaszkę, chłop miał po części rację, świat schodzi na psy...

Generalnie wszyscy w Ameryce, co jest zaskoczeniem dla ponurych zwykle Polaków, uśmiechają się, pozdrawiają i są zadowoleni z życia, mimo że czasem sami niewiele mają. Tłumaczyłem to pozytywnym wpływem słońca, bo wszak Polska i Polacy leżą w ponurym klimacie, w porównaniu choćby do Daytony.

Pozdrowiały mnie sympatyczne, chude jak na tutejsze warunki ratowniczkę. Uśmiechał się drugi facet sprzedający bilety na plażę, ale ten zdaje się znał Lisę z widzenia [ta parkowała zawsze przed wjazdem na plażę, a zwykle tj. przed naszą wizytą przyjeżdżała na plażę na rowerze]. Miła była laska roznosząca ulotki. Nawet pewien facet, brodaty, zatrzymał się, jadąc na rowerze, uśmiechnął się do mnie i pozdrowił. Nie wiem dlaczego, dzień później pojawił się w wiadomościach ludzako do niego podobny gość, z sąsiedniego Ormond, złapany przez amerykańskich policjantów za pedofilię. Byłem w szoku, choć do końca nie byłem pewny, czy to ten sam osobnik. Ale byłem z małą na plaży, ta się pluskała, a nawet Ula zapytała mnie, czy gościa znałem. Nie znałem, ale skoro pozdrowił, odpowiedziałem. – Uważaj, przestrzegła mnie Lisa, nie odchodź od małej na krok, pedofile są wszędzie, wyglądają tak samo jak my...

Myslałem, że przesadza, ale każdego dnia w amerykańskiej telewizji był serwowany pedofil – ksiądz, nauczyciel, kierowca... A nawet nauczycielka. Tylko że tu policja sama prowokowała sytuacje, monitorując np. internetowe czaty, podszywając się pod „nieletnich” i wyłapywała takich. Pewno, pomyślałem, Ameryka ma bzika na tym punkcie. Ale był to akurat czas kiedy w tamtejszych mediach toczył się proces trenera Sandurskiego, który kąpał się nago z chłopcami i zachowywał się, ujmijmy to tak, nieobyczajnie. Wykorzystywał też

przybranego syna. I dograł się, dostał kilka dekad. Pewno z więzienia już nie wyjdzie, ma po 70., podsumowała krótko Lisa. Dowiedziałem się, że jest telefoniczna i internetowa baza pedofilów, tak więc w każdej chwili można wiedzieć, gdzie są w pobliżu. Ludzie nie chcą ich sąsiedztwa, oczywiście, są nawet miasta, w których jest zakazane osiedlanie się takich osób. W ogóle, to nawet po wyjściu z więzienia, jak tłumaczyła mi to Lisa, są izolowani, i niby leczeni. Szczegółów nie znam, ale wiem, że byłem zszokowany, przyzwyczajony na „amerykańskie” wyczulenie w tej kwestii, gdy polski sąd zaraz po moim powrocie z Ameryki wymierzył duchownego karę za pedofilię – dwa lata w zawieszeniu na cztery, w Ameryce dostałby, jak Sandurski, z kilka dekad.

Doszedłem do wniosku, że na Florydzie groźniejsi są w tym sezonie właśnie oni, a nie żyjące nad rzeką Halifax aligatory czy rekiny w oceanie.

Spotkania z krajanami

W Ameryce można też oczywiście spotkać Słowian. Na jedną z pierwszych osób trafiliśmy w ogromnym markecie, gdzie jest wszystko, od jeansów po jedzenie i kawę, znów przypadkiem. I tu znów Lisa miała nosa. Podprowadziła nas do jednej z ostatnich kas, 21., o ile pamiętam. I tam kasujemy te dobra, i kasujemy. Próbuję się spytać o możliwość zwrotu podatku na granicy, i tu zaskoczenie, sympatyczna Pani Alina jest Polką, więc przechodzimy na polski. Tłumaczy mi, że nie. I szczęśliwa szczeniobioce innym kolejkowiczom, że spotkała krajanów, i że odrobinę z nimi teraz „pospikuje” w ojczystym langidżu. Boże, kiedy ja ostatnio mówiłam, po polsku, nieomal wykrzykuje. Tutaj tylko kochani, praca, i praca, przez 40 godzin [a więc jak i u nas], a potem do chóru należą [podziwiamy]. Słyszysz opowieść o zawiedzionej miłości, chłopaku z Katowic. Na Florydzie pani Alina, w wieku przedemerytalnym, jest od lat kilku, i chyba

tu zostanie. Podoba się jej. Żegnamy się czule.

Inną panią Kasię, przed czterdziestką, córkę polskich emigrantów, która przyjechała do Daytony z Chicago spotkaliśmy w bazylice św. Józefa już po mszy. Przypadkiem, gdy podeszliśmy do kościelnych, elektrycznych organów, a moja Amelka chciała ich zwyczajnie w świecie dotknąć. Wtedy odezwała się pani Kasia. I w kilku słowach, ona i my, przedstawiliśmy swoje historie. Pani Kasia pracowała tu jako organistka. Oczywiście, ucieszyła się wylewnie na nasz widok.

Czesi są mniej wylewni, co jest zaskakujące, jeśli wziąć pod uwagę, że też są Słowianami, i mniej zaskakujące dla kogoś, kto zna ich mentalność narodową i uwarunkowania historyczne, w jakich się kształtowali. I są dla Polaków dziwni, dla Ślązaków praktyczni, choć może za bardzo. Ale to Czechów było słychać częściej – na lotnisku, plaży.

Pewnego plażowego dnia nasza Amelka poznała Natalię, dziewczynkę z którą za bardzo nie umiała się porozumieć, ale jednak dzieci znalazły wspólny język – zabawę. Rysowały coś na piasku [szczególnie Natalia, co wzbudzało podziw mojej Uli], pluskały, dostawały coś słodkiego. Z daleka dostrzegliśmy jej rodziców, opalonych, więc byliśmy pewni, że tutejsi...

Ale poznaliśmy ich bliżej podczas wieczornego spaceru na plaży. I rodzice Natalii okazali się Czechami – Hana i Paweł, w naszym wieku, jeszcze przed 40tką. Przyjechali do Daytony dziesięć lat temu, Paweł, dobrze zbudowany budowlaniec, z lekkim zarostem, i drobniutka opalona blondynka, Hana, trudniąca się biznesem, deweloperką, jak zrozumiałem, i określająca siebie jako kapitalistkę. Dla niej Obama był komunistą, bo rozdarwał za darmo pieniądze. Trochę zaprotestowałem przeciw takim nieproporcjonalnym porównaniom, w końcu w Ameryce jest demokracja, a komunizm był w Czechach [i Wschodniej Europie], a Lenina z Obamą trudno jakoś mierzyć jedną miarą. Ale widać było, że Czeszka jest zachłyśnięta sukcesem, pieniędzmi. Choć jak później żartowaliśmy z kolejnym znajomym Hany, Jackiem z Ormond [kiedy Paweł był w pracy], wyglądamy jak jej „bodyguards”, ochroniarze, a ona jak kobieta sukcesu. Coś jednak w tym było – z Czechami rozmawialiśmy po angielsku, szybko okazało się dlaczego. Ich mała nie znała ojczystego języka, podobno miała nieprzyjemności w przedszkolu z powodu „akcentu”. Rodzice też używali angielskiego, Hana wyłącznie, nawet jak próbowałem prowadzić z nią konwersację po śląsku, odpowiadała mi w tym właśnie języku. Paweł zaś mówił, że mnie całkiem dobrze rozumie, bo w pracy ma do czynienia z Polakami. Dowiedzieliśmy się, że wielu Europejczyków kupiło w Daytonie w kilku ostatnich latach posiadłość, ich ceny drastycznie spadły [na skutek bankowych machloj], nie raz kilkakrotnie, więc były naprawdę tanie, w cenie luksusowego auta, przyznawała to nawet Lisa, dając przykład milio-



Zamyślona Lisa na kamiennej ławeczce przy fontannie w Savannah.

nera, który dał za mieszkanie osiemset tysięcy dolarów, a jego cena zeszła do... dwustu tysięcy dolarów oczywiście. Sporo więc stracił...

I dostrzega też plus kryzysu nieruchomościowego. – Dzięki Bogu, nie wybudowali kolejnych kilku luksusowych drapaczy wzdłuż plaży, bo te co są i tak stoją puste, słyszę. Tak więc dziury w zabudowie, to wynik nie tylko ostatniego huraganu [a często tu wieje, o czym dalej]...

Od Pawła, do którego nadawałem wyłącznie po śląsku, dowiedziałem się, jak leci na Euro. – Nasza drużyna gra z waszą mecz teraz w niedzielę – usłyszałem. Szczerze mówiąc, nie bardzo interesowałem się piłką, widząc jak marni są nasi piłkarze, i jak nieuczciwie potraktowano nas Ślązaków [i stadion legendę w Chorzowie] przy organizacji mistrzostw. Więc odpowiedziałem, szczerze, że widzę, że ich drużyna jest lepsza. I rzeczywiście, dowiedziałem się, już później, że Czesi wygrali. O Euro amerykańskie media donosiły przy jego inauguracji, później przyćmiła wszystko Olimpiada w Londynie i wcześniejsze urodziny królowej Elżbiety.

Czarodziejskie Charleston, magiczna Savannah

Znudziło nas siedzenie w tej Daytonie, choć narzekać nie możemy. Planujemy wyprawę, planujemy przez trzy dni. Chcemy jechać, ale gdzie? Tyle kierunków, a wybrać możemy tylko jeden. Lisa odradza wyprawę „w głąb” łądu z uwagi na upały. Rzeczywiście, jest gorąco i duszno, zwłaszcza tu na Florydzie. Ludzie siedzą w samochodach, sklepach, domach albo na plaży, gdzie dociera oceaniczna bryza... W głębi łądu nie ma bryzy, powietrze jest suchsze i praży „jak w piekaroku”...

Góry? Appalachy? Malownicza trasa, ale trzeba dojechać, minimum dwa dni [jazda zajęłaby kilkanaście godzin], a potem gdzie? Nowy Orlean, malowniczy, ale upalny o tej porze. Wreszcie wybieramy Savannah i Charleston [to kompromis], Lisa proponuje by tu przenocować, przez dwie noce i tu urządzić bazę wypadową. Zgadamy się, co prawda bukowanie hotelu zajmuje cały niemal wieczór [z uwagi na dial-up komputera Lisy], ale jesteśmy zadowoleni. Wzdłuż wybrzeża powinno być chłodniej. Poza tym chcemy poznać historyczne południe, a te dwa miejsca świetnie oddają ducha dawnych stanów Konfederacji.

W hotelu przy hajweju z balkonami obsługa jest mieszana, przeważają czarnoskórzy, ale są i biali, w tym i Rosjanka [poznaję po akcencie]. Pokoje takie sobie, Internet zajebisty, więc używam sobie do późna na tablecie.

Pierwszym z miast, o które zahaczyliśmy, bo zwiedzanie to za dużo powiedziane, było Savannah w stanie Georgia. Po kilku godzinach jazdy trzypasmową autostradą, co dla przybyszów ze Wschodniej Europy jest dalej szkiem transportowym, prostą i niekończącą się



Przy pomniku generała Jamesa Edwarda Oglethorpa, założyciela i dobroczyńcy stanu Georgia.

wstęgą, dotarliśmy do miasteczka jakże innego od Daytony. Drewniane i muryrowane wille, o malowniczej architekturze, otoczone ogrodowymi zaułkami. Prostopadle krzyżujące się drogi, a na ich skrzyżowaniu kwadratowe place, skwery z fontannami, zielenią, ławeczkami, pomnikami, kościołami. Każdy skwer jest inny, każdy stanowi epicentrum innej małej części Savannah, dzięki temu ma ona niepowtarzalny urok, może trochę europejski, ale trochę. Bardziej właśnie południowy, amerykański. Dzięki dziesiątkom, jeśli nie setkom koron drzew, różnych rodzajów, mniej i bardziej egzotycznych, palm, spacer w największym skwerze jest tu przyjemnością. Kwitnące na każdym kroku magnolie i dziesiątki innych krzewów. Trafiamy do najstarszego kościoła, gotyckiego, wzniesionego jeszcze w XVIII wieku, a dokładnie w 1799 r. To budzi szacunek Amerykanów, dla nich wszystko powyżej stu lat jest zabytkiem ogromnej wartości. Kościół tak naprawdę jest późniejszy, płonął w 1898 r., został odbudowany dwa lata później, tak więc wewnątrz jest raczej neogotyckie, jasne i lekkie, widać w nich „ducha francuskiej architektury”, budynek ufundowany został przez francuskich emigrantów, którzy osiedlili się w Savannah. Dwie wieże górujące nad okolicą połączone są przeszkloną rozetą. Biały budynek świątyni pięknie odcina się od reszty zieleni ulicy, upstrzonej tak, że ledwo widać przylegające do nich budynki. Parkujemy naprzeciw katedry św. Jana Chrzciciela. Zajeżdża przed nią doróżka z turystami, nie ma ich tutaj aż tak wielu, jak zazwyczaj. Jest niedziela, późne popołudnie. Konie leniwie ciągną zadasoną bryczkę. Woźnica co rusz przystaje i tłumaczy turystom, skąd wziął się ten pomnik, tamten budynek. Nikt się tu nie śpieszy, samochody zważają na pieszych, i rowerzystów, oni mają pierwszeństwo.

Spacerujemy, mijamy dom, w którym mieszkał generała Wiliam Tecumseh Sherman ze służbą, i parę innych, dziewiętnastowiecznych w ogromnej części willi z ich niepowtarzalnymi kutymi schodami, bramami wkomponowanymi w ogrodową zieleń kwiatów, krzewów, z wodotryskami. Można wejść i zwiedzić wnętrze jednej z takich willi, jest tu muzeum, ale nas pogania czas. Poza tym, tak przepięknie spaceruje się po Savannah. I spotkać można np. szarą, amerykańską wiewiórkę przemyskającą po ziemi, konarach drzew. Jest i polski akcent, Pulaski square, bohatera wojny o niezależność młodych Stanów. Spoczywamy przy białej fontannie pod rozłożystymi, płaczącymi drzewami, ufundowaną przez potomków niemieckich osadników [część z nich przybyła z Salzburga, bo takie towarzystwo też „wpięsało się” na pamiątkowej tablicy]. Kamienne ławki, łukowato zakończone, niczym egzotyczne kwiaty, zachęcają, by na nich przysiąść. Mała chce pluskać się w wodzie. Jest skwar, ale tu pod tym życiodajnym wodotryskiem czujemy chłodną bryzę. Tę ulgę podziwiamy nie tylko my, ale i inni, w tym rodzimi mieszkańcy Savannah. Obok nas, niedaleko siedzą dwie czarnoskóre „omy”, Amelka bez wahania podchodzi do nich i wita się. Mama z ciotką Lisą lekko zaniepokojone przystają, a między nami rozlega się typowy dialog – skąd jesteście, jak długo, ile masz lat. Z tymże rozmowa jest bardziej egzotyczna, Amelka ma pierwszy raz tak bliski kontakt z inną rasą, jest zafascynowana. Pytam się, czy nie chciałaby takiej czarnoskórej, amerykańskiej babci. Mówi, że nie, woli polską babcię Krysię, ale kokietuje dalej czarnoskóre ciotki, przynależące chyba do jakiegoś lokalnego kościoła, czy nawet chóru [to częste połączenie].

cdn.

MARIAN LECH BEDNAREK

królestwo

Co może być tamtym
jest tym,
małe i wielkie pocieszenie.
Szczelina świata – łąka,
gdzie pasą się nasze oczy.

Ukryta mowa
o najwspanialszym milczy,
ręce tylko walczą
o stan wokół którego
kręcą się nasze dni.

Stan napięcia
czyteluje chronomimy
unoszące się w powietrzu.
Oddychamy nimi,
bo to my sami,
układamy cegielki czasu
zero.

Stacje wzgórz
gwizdem ptaka witane.
Weseli się jar róż.

Stopniami
po stopniach, które nas chronią
doczekujemy się wzniesienia toastu
ciszy, jak orkiestra symfoniczna
pozwala się wychylić
z całą celebrą chwili.

Kręci się niebo i ziemia
i międzybyty.
Sienniki słów świszczą podchodami
wiadomo po co,
pokonanie koronek
to nie jakieś tam...
Z tego trzeba wyjść cało
by się cieszyć.

Wracam więc do kamienia
rozdania głosów

o Królu.

02.2013

Rys. Wojtek Łutka



kreska

Zakręcona kreska też jest prosta
tylko że zakręcona

Do prostej kreski mnie ciągnie coś
nie wiem co to jest nie chcę się z tym
mocować niech ciągnie jeśli chce

lubię ten moment
kiedy wrony nad polem migają niczym
szybkie

kreski

i głodne
a potem skaczą i biją się o dżdżownicę
a nad nimi krechy szumiące
rozkołysane
ze spękana korą

rzucające ten swój
powyginany cień

Czuję ciężar tej kreski
coraz bardziej

te esy floresy
odsyłające do wnętrza wulkanu

mleko

Mleko ostateczności
uchowaj nas przed samym sobą,
wyprowadź w pole
języka,
niech się rozegra wreszcie wszystko
na naszych oczach.

Mleko roztworów
ciemności
sączonych po kapce
spragnionym.

Mleko uliczne,
uderzające o bramy i płoty
kroplami
aż łęgnie się coś w patrzącym.

Mleko wkleśnięć krzewiastych
kołyszące domostwa
z całą swobodą pikanterii,
aż do hioborytu
dna.

Mleko przykrywania się
by było nas więcej

tylko po co?

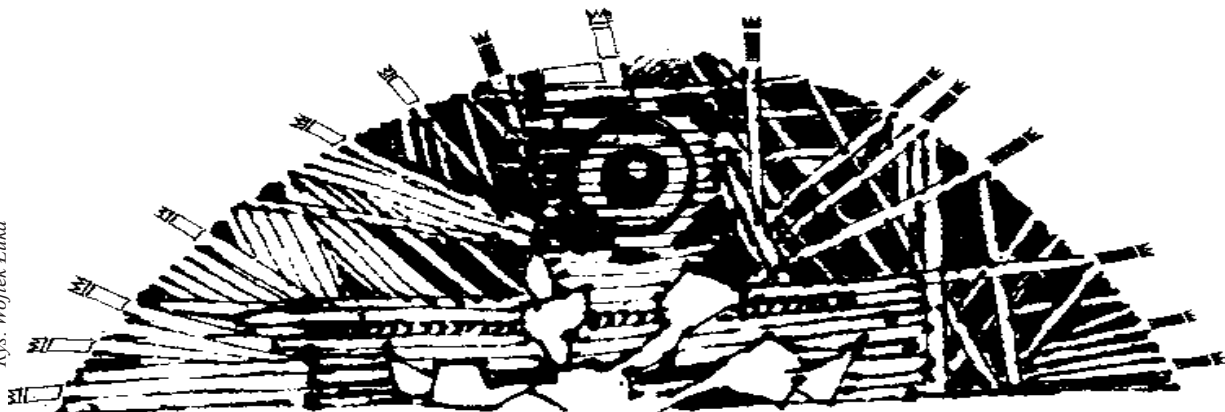
Po to by pójść po mleko
do sklepu
trąbo
mleczna
unosząca się
nad przypalonym garnkiem.

Mleko ostateczności
w nas się wdałeś,

Krowostan
w koronie.

02.2013

Rys. Wojtek Łutka





Adam Sikora.

Mikołów – Drohobycz

DAGMARA DRZAZGA

Jesienne, ciepłe przedpołudnie. Nasze spotkanie zaczynamy od spaceru po mikołowskim rynku. Cytując Schulza mogłabym powiedzieć, że kiedy tak wędrujemy „kwadraty bruku mijają powoli pod naszymi miękkimi i płaskimi krokami”. Drohobycz i Mikołów, dwa małe i – rzecz by można – prowincjonalne miasta. A jednak potrafią się one stać osobnym światem, *universum* generującym podróż „na drugą stronę rzeczy”.

O Bruno Schulzu rozmawiam z Adamem Sikorą, który właśnie skończył pracę nad swoim najnowszym filmem poświęconym autorowi „Sklepów cynamonowych”.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że twoje filmowe spotkanie z Schulzem wcale nie było spowodowane „miłością od pierwszego zaczytania”. Dlaczego zatem postanowiłeś nakręcić ten kreatywny dokument?

– To wcale nie ja podjąłem taką decyzję. Producentka Agnieszka Traczewska (krakowskie Studio Filmowe Largo – przyp. D.D.), z którą zrobiłem wcześniej kilka projektów m.in. dokumenty *Boże Ciało* i *Erwin Sówka* i której nie umiem odmówić (*śmiech*) nalegała, że to właśnie ja muszę zrobić film o Schulzu, bo podobnie jak on pochodzę z małego miasta i dlatego świetnie zrozumieć jego życie i twórczość. Początkowo bardzo się wzbriałem – nie czułem się na siłach, żeby zmierzyć się z takim artystą jak Schulz! Nie wiedziałem, jak ten film zrobić, nie widziałem tego obrazem. Dopiero powolne wnikanie w świat Schulza, szczególnie w jego korespondencję, naprowadziło mnie na trop filmu i jego wizję. Punktem wyjścia był znakomity scenariusz wybitnej znawczyni Schulza Agaty Tuszyńskiej. Na kanwie tego scenariusza rozpocząłem poszukiwanie formuły filmu.

– Długo to w tobie dojrzewało?

– Bardzo długo. Już myślałem, że nigdy nie dojrzeje!

– Ja też widzę pewne podobieństwa: to nie tylko małe miasto, w którym przyszło wam żyć. Aby to lepiej uwypuklić użyję czasu teraźniejszego – i ty, i Schulz posługujecie się obrazem, jako środkiem wypowiedzi artystycznej, wykonujecie zawód nauczyciela (Adam Sikora jest wykładowcą na Wydziale Radia i Telewizji UŚ – przyp. D.D.). Zaryzykowałabym też twierdzenie, że w jakiś sposób jesteście zbliżeni pod względem charakterologicznym: introwertyczni, wyciszeni...

– Może doszukałbym się pewnych podobieństw osobowościowych między nami, ale gdzież mi tam do Schulza! Poza tym, on miał strasznie trudne życie: musiał utrzymywać liczną rodzinę, codziennie od ósmej do trzeciej uczył w szkole podstawowej rozkapryszonych dzieci... To wydaje mi się przerażające! Niewiele czasu pozostawało mu na twórczość. Co do obrazów – cenię bardziej jego dorobek literacki, niż plastyczny. Bardzo mi się podobają jego pierwsze prace – grafiki, natomiast do rysunków mam ambiwalentny stosunek. Niewątpliwie był

mistrzem języka polskiego, co dla mnie jest trochę dziwne, bo przecież wychował się w rodzinie żydowskiej i żył w tym środowisku. W Drohobyczu wszyscy jego najbliżsi przyjaciele byli Żydami. Rodzice znali niemiecki i posługiwali się nim: Schulz wspominał, jak w dzieciństwie matka czytała mu bajki Goethego w oryginale. Myślę, że z językiem polskim mógł zetknąć się później, a na pewno nie był to jedyny język, w którym wzrastał, ale to, co z nim zrobił jest niebywałe!

– Wróćmy do poszukiwań formuły filmu.

– Agata Tuszyńska opisała najważniejsze punkty życia Schulza. Niezależnie od tego rozpocząłem własne poważne studia: przeczytałem mnóstwo literatury na temat Schulza, również tej najnowszej, która dokonuje analizy jego twórczości pod kątem kabały i dostrzega pomiędzy nimi pewne związki. Schulz osobiście nigdy nie pisał, że zajmuje się kabałą, jednakże podczas lektury jego tekstów i roli Demiurga, o którym często wspomina, czyli tego wtórnego kreatora odpowiedzialnego za stworzenie sfery materialnej świata można dostrzec takie analogie. Kiedy by-

liśmy w Tel Awiwie jedna z pań, z którymi prowadziliśmy rozmowę powiedziała, że w latach trzydziestych Schulz bardzo intensywnie uczył się języka hebrajskiego. Znał oczywiście *jidysz*, niemiecki, ale hebrajskiego nie. To, że zapragnął poznać język hebrajski może być pewnym dowodem, że chciał podjąć próbę studiowania kabały i ksiąg hebrajskich.

– Część animowana twojego filmu nawiązuje w obrazie do wykładni kaba-listycznej, czyli do Demiurga i światła jako elementu kreującego świat. Początkowo miałeś przy realizacji tych sekwencji pracować z Piotrem Dumalą, z którym zrealizowałeś już przepiękny *Las*.

– Tak, to była dobra sytuacja wyjściowa. Okazało się jednak, że Piotr jest bardzo zajęty przy produkcji nowego filmu animowanego *Hipopotamy* i w związku z tym nie może współpracować ze mną. Polecił mi jednak swojego studenta Wydziału Animacji w Łódzkiej Filmówce, Marcina Podolca. Rzeczywiście, Marcin z ogromną sprawnością wykonał wszystkie rysunki. Przesyłałem mu krótkie opisy, co ma być tematem i co z tego powinno wynikać, a jemu pozostawiałem wolność w wizji plastycznej. On to wszystko bardzo szybko i sprawnie realizował.

– W twoim filmie widzimy Schulza jako człowieka zupełnie wyalienowanego, żyjącego w swoim własnym świecie.

– Bardzo mi pomogła lektura jego listów; w nich ujawnia się to, jakim był człowiekiem – okazuje się, że przeżywał głęboką depresję, rodzaj zamknięcia. I o tym chciałem opowiedzieć. W filmie epicentrum tego świata nawet nie jest Drohobycz, a cztery ściany pokoju – jego mikro i makrokosmos. Cała twórczość Schulza odbywała się w tej-że właśnie przestrzeni. Okno pokoju wydało mi się taką płaszczyzną, przez którą nawiązywał on kontakt ze światem i być może był to jedyny element, który go z tym światem łączył. Już sam fakt, że rzadko to miasto opuszczał, że był na Drohobycz niejako skazany – a nie miał tam żadnych partnerów intelektualnych – powodowało, że miejsce to stało się dla niego w jakiś sposób toksyczne. Z drugiej strony, Schulz nie był w stanie wyjechać z Drohobycza, chociaż miał rozliczne propozycje, na przykład wychodzące ze środowiska Nałkowskiej, żeby przenieść się do Warszawy. Tak więc tkwił tam i nawet w sytuacji ostatecznego zagrożenia, kiedy były podejmowane próby wydostania go i ukrycia w jakimś zacisznym miejscu, w którym mógłby przetrwać wojnę, nie zdecydował się, żeby Drohobycz opuścić.

– W zeszłym roku pojechałam do Drohobycza. Wydawało mi się, że zobaczę miasteczko jak ze snów, że – odwołując się do Galczyńskiego – przyjedzie „zaczarowana dorożka, zaczarowany dorożkarz, zaczarowany koń”. A co zobaczyłam? Chiński market, gdzie kupisz wszystko za cztery hrywny!

– Wiązałem z Drohobyczem ogromne nadzieje! To była moja pierwsza myśl – jeżeli mamy robić film o Schulzu trzeba pojechać do miejsca, w którym się urodził, wychował, tworzył i spędził całe życie. Wydawało mi się, że właśnie tam znajdzie klucz do tego filmu, że odnajdę ową przestrzeń schulzowską. Rozczarowałem się



Kadry z filmu o Bruno Schulzu...

bardzo. Współczesny Drohobycz jest sowieckim miastem niemającym nic wspólnego z tym magicznym, przedwojennym Drohobyczem, który tak pięknie odmalował Schulz w swojej literaturze. Niemniej jednak, wyszukaliśmy kilka fantastycznych miejsc. Ich wygląd bardzo przylega do opisów istniejących w książkach Schulza, więc myślę, że musiał te miejsca znać i widzieć. Poza tym, mieliśmy przewodnika – młodego chłopaka z Towarzystwa Schulzowskiego w Drohobyczu i on pokazał nam parę starych klatek schodowych i podwórzy. Tam rzeczywiście poczułem schulzowską prozę, bo to takie labiryntowe struktury, w których można się zagubić, wejść w jedne drzwi, a „po wielu tygodniach” wyjść innymi w zupełnie odrębną przestrzeń. Wszystko w swojej fakturze jest zniszczone i bardzo przypomina lata trzydzieste, kiedy mógł tamtędy przechodzić Schulz. Nakręciliśmy kilka takich fragmentów Drohobycza i umieściłem je w filmie.

– Byłeś w domu Schulza. Co poczułeś wchodząc tam?

– Nic. Ten dom tylko z zewnątrz istnieje w takiej samej formie, wewnątrz jest już zupełnie inne. Teraz mieszka tam ukraińska rodzina, która zresztą przyznała, że ma

dosyć ciągłych wizyt różnych ekip filmowych. To mieszkanie jest już obciążone inną energią.

– Odnaleźliście także osoby, które pamiętają Schulza. Chciały się otworzyć i przywołać przeszłość?

– Niewiarygodne, że ze społeczności około 20 tysięcy Żydów, którzy przed wojną zamieszkiwali Drohobycz – a był on wówczas nazywany „trójmiastem”, bo wspólnie żyli tu w równych częściach Polacy, Ukraińcy i Żydzi – pozostał jedynie Alfred Schreyer. Był uczniem Schulza, a teraz jest „etatowym schulzologiem”. Czasem już nie wiadomo, co w jego opowieści jest prawdą, a co konfabulacją na potrzeby różnych autorów filmowych, którzy do niego przyjeżdżają. Jednakże pytania Agaty Tuszyńskiej były tak precyzyjne skonstruowane, że udało nam się wydobyc z niego treści, o których nigdy wcześniej nikomu nie mówił. Drugą osobą pamiętającą Schulza jest Zeev Fleischer. Szczęśliwie ocalał, a po wojnie wyjechał do Izraela. To właśnie on opowiada, jak znalazł na ulicy zabitego człowieka i wyszarpał mu bochenek chleba. Kiedy odwrócił ciało zobaczył, że to Schulz. I z tym obrazem zakrwawionej twarzy Schulza ży-



je całe życie i często ten obraz powraca w jego snach.

Udało nam się także odkryć osobę, której nikt dotychczas nie nagrywał: pan ten mieszkał nieopodal Schulza i jako nastolatek dobrze go znał. Otóż Schulz często bywał u nich w domu, ponieważ ten pan miał bardzo urodziwą siostrę w wieku około 13–14 lat i Schulz przychodził do nich tę siostrę rysować – Schulz w ogóle lubił rysować takie młodziutki dziewczynki. Niebywała jest też historia pewnej pani, którą znaleźliśmy w Warszawie. Mając 13 lat była, poniekąd, jego sympatią: na korytarzu szkolnym Schulz zaproponował jej spacer i tak chodzili po drohobyckim parku i ulicach trzymając się za ręce. Schulz wysłał jej nawet miłosne listki. Z dzisiejszego punktu widzenia związek prawie 50-letniego nauczyciela i 13-letniej dziewczynki byłby raczej niemożliwy; widocznie w tamtych czasach to nie wydawało się czymś aż tak grzesznym.

– **No, ale grzeszne wydalo się jej ojcu...**

– Tak, ojciec dziewczynki uznał, że to niestosowne – większość tych miłosnych listów spalił i związek przerwał.

– **Szukaliście rozmówców w Drohobyczu, w Polsce, ale znaleźliście ich też w Izraelu?**

– Agata Tuszyńska знаła wcześniej tych ludzi, bo pisząc swój scenariusz opierała się na ich relacjach. W Izraelu pojawiła się jednak zupełnie nowa osoba, która nigdy nie opowiadała swojej historii. W czasie wojny miała 11 lat i będąc Żydówką – co jest zadziwiające! – była opiekunką dzieci Landaua, czyli tego gestapowca, który roztoczył „opiekę” nad Schulzem. Pani ta pamięta, jak Schulz malował owe słynne freski w dzieciennym pokoju, bo mogła tam wchodzić. Przywołała także dzień śmierci Schulza: była wówczas świadkiem rozmowy między Landauem a Güntherem, który powiedział: „dzisiaj zabiłem twojego Żyda Schulza”. Nie ma więc wątpliwości, że to Günther zastrzelił artystę, choć istnieją także sprzeczne opinie na ten temat. Na przykład Fleischer twierdzi – a też był świadkiem tych wydarzeń – że w akcji pacyfikacyjnej Żydów w Drohobyczu w ogóle nie brali udziału Niemcy, a zrobili to Ukraińcy i to ich wini za śmierć Schulza. Może mottem niech będą tu słowa jednego z rozmówców, który w Tel Awiwie powiedział: „Cokolwiek byście nie usłyszeli i nie dowiedzieli się, już i tak prawdy nie poznacie. Jednoznacznej prawdy bowiem nie ma. Każdy wizerunek Schulza będzie tylko hipotetyczną wizją jego postaci”.

– **W twoim filmie jest zatem część dokumentalna, animowana, ale też pojawia się warstwa fabularna.**

– Podróż do Drohobycza uświadomiła mi, że to będzie taki film dokumentalny, który jest właściwie filmem fabularnym; tak mało mam wątków dokumentalnych, że trzeba wykreować postać Schulza od początku do końca, nie wiążąc się z żadnymi relacjami. Oczywiście, są świadkowie – na przykład jego uczniowie, o których wspominałem, jednakże oni byli wówczas zaledwie 13–14-letnimi chłopcami. Ich narracja jest bardzo ciekawa, ale szalenie zewnętrzna i powierzchowna – mówią jak Schulz wyglądał, jak się zachowywał. Wiedziałem, że aby stworzyć



głębszy, wewnętrzny wizerunek tego człowieka, muszę sięgnąć do czegoś zupełnie innego i inaczej to opowiadać. Stąd ta część animowana odwołująca się do prozy Schulza, bo w jego prozie najbardziej zachwyca mnie nieustanna metamorfoza języka – on ciągle generuje nowe rzeczywistości, z jednej wnika w inną. Ta rzeczywistość nie jest czymś określonym na stałe, ale podlega przemianie, jest w stanie płynnym. Nie wiedziałem, jak to opowiedzieć klasycznym językiem filmowym, więc odwołaliśmy się do animacji, która ma łatwość kreowania różnych światów i przenikania z jednej przestrzeni w drugą. Zależało mi, żeby to nie była prosta ilustracja fragmentów literatury, ale raczej tworzenie czegoś nowego w oparciu o elementy, które w niej tkwią. Warstwę fabularną wykreowaliśmy w studiu w Gdańsku – na podstawie opisów scenograf Jacek Mocny odtworzył pokój Schulza i dopiero tam poczułem obecność artysty.

– **Dlaczego wynajęliście studio aż w Gdańsku?**

– Bo stamtąd pochodzi mój kierownik produkcji Adam Montezor i dlatego najłatwiej było to tam zorganizować. Jak wiesz, budżety filmów dokumentalnych nie

są zbyt duże, a Gdańsk ułatwił stworzenie scenografii. No i w ogóle fantastycznie nam się tam pracowało, choć krótko, bo zaledwie trzy dni zdjęciowe.

– **Za to aktor, który zagrał Schulza jest stąd?**

– Tak, z Tychów. Mam „słabość” do Sławka Żukowskiego. On już nieraz wystąpił w moich filmach. Sławek ma bardzo ciekawą fizjonomię i konsystencję fizyczną; też jest taki szczupły i drobny jak Schulz, ma pewien neurotyczny sposób poruszania się. Muszę jednak zaznaczyć, że nie myślałem tu o zasadzie podobieństwa, bo miałem świadomość, że nie znajdę aktora, który jest podobny do Schulza. Poza tym – nie to jest najważniejsze. Zasadą pokazywania postaci jest tu pewna tajemnica: nie odsłaniamy jego twarzy, widzimy go od tyłu, z profilu. Bardziej on nas interesuje jako zjawisko fizyczne. Nie zamierzałem pokazywać analogii między aktorem, a pierwowzorem. Sławek ma jeszcze tę dużą zaletę, że jest ogromnym miłośnikiem Schulza, co też jest istotne, no i świetnie rysuje. W scenach, w których pojawiają się rysunki nie było najmniejszych problemów realizacyjnych, nie potrzebował pomocy. Mogliśmy



te sekwencje kręcić 1:1, bo Sławek wszystko sam rysował.

– **Te rysunki, które widzimy w filmie są jego autorstwa?**

– Tak, jego. Na przykład portret Józefiny Szelińskiej został namalowany przez Sławka. Oczywiście, pierwowzorem był jej wizerunek znany dziś jedynie z czarno-białej reprodukcji. Sławek sam wykonał ten portret w kolorze.

– **Czy ustawiając poszczególne kadry inspirowałeś się rysunkami Schulza?**

– Nie, ale miałem w głowie dokładny rodzaj *storyboardu*, bo między warstwą inscenizacyjną, a animowaną są precyzyjne przejścia i te punkty musiały być bardzo wyraziście nakreślone.

– **Autorem zdjęć jest Tomasz Woźniczka. Dlaczego sam nie chciałeś stanąć za kamerą?**

– Tomek jest bardzo zdolnym, młodym operatorem, laureatem Srebrnej Kijanki na festiwalu *Camerimage* i bardzo dobrze zapowiadającym się operatorem młodej generacji. Jest też szalenie wrażliwy. Wydał mi się znakomity do tego schulzowskiego obrazu. Zresztą, często ze sobą współpracujemy. Ogólnie określiliśmy rodzaj obrazu, jaki mnie interesował, ale to wszystko wykonał Tomek i nie chciałem ingerować w jego pracę. Poza tym, musiałem zająć się mikroreżyserią fragmentów fabularnych i nie chciałem jej sobie zakłócać zagadnieniami operatorskimi, takimi jak ustawianie planu i światła, czy przygotowanie kamery. Mam zaufanie do Tomka i powierzyłem mu to zadanie.

– **Czwartą warstwą twojego filmu jest dźwięk.**

– Na początku miałem bardzo ascetyczną wizję dźwięku: myślałem o naturalnych dźwiękach i ewentualnym wykorzystaniu kompozycji Arvo Pärta. Potem postanowiłem powierzyć kwestię dźwięku Jackowi Hameli, a że jest on wybitnym specjalistą w tej dziedzinie, nie chciałem ingerować w jego pracę. Jacek stworzył niebywałą ścieżkę dźwiękową, która jest rodzajem kompozycji muzycznej. Wykreował opozycję dźwiękową dwóch światów: wewnętrznego, który funkcjonuje w głowie Schulza i zewnętrznego, obiektywnego. Ta ścieżka dźwiękowa bardzo pogłębia film. Pamiętam, jak zaskakujące było dla mnie pierwsze obejrzenie filmu z dodanym dźwiękiem! Jak nagle ten obraz zaczął żyć! Wcześniej nie wszystko mi się podobało, nadawałem szybki rytm montażowy, trochę nie ufałem swoim inscenizacjom, bo wydawały mi się sztuczne. Miałem sobie wiele do zarzucenia i dlatego bardzo je skracalem. Dopiero, gdy na warstwą obrazową została nałożona dźwiękowa okazało się, że to wszystko funkcjonuje i film mógłby być nawet trochę dłuższy, pełniejszy. Choć z drugiej strony, sama dobrze wiesz, że w telewizji obowiązuje pewien rygor czasowy. Jestem jednak z tego filmu bardzo zadowolony. Dodam, że *Bruno Schulza* montowała ze mną niezwykle zdolna montażystka Beata Walentowska.

– **Praca nad tym filmem była dla ciebie ważnym okresem w życiu?**

– Tak, to trwało dwa lata. Byłem wówczas bardzo zanurzony w świecie Schulza, w jego literaturze, w nim samym, ale



Zdjęcie: Agnieszka Trzczeńska/Studio Filmowe Largo

jak już ten film zrobiłem, zapomniałem o wszystkim.

– **Potrafisz się tak oderwać?**

– Tak. Muszę. Bo muszę robić kolejny film i wchodzić w inne światy. Najwyczejniej wypieram to z siebie.

– **Trudny proces?**

– Nie. To się dzieje naturalnie.

– **Nad czym teraz pracujesz?**

– Właśnie skończyliśmy bardzo ciekawe zdjęcia do nowego filmu Piotra Dumala *Ederly*. Nawiązaliśmy w nim do języka kina lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Kręciliśmy czarno-biały film, który w sposobie oświetlenia i kompozycji odwołuje się do archaicznego kina. Fajna przygoda, a i praca z Piotrem jest fantastyczna, bo to zarazem wspaniały człowiek i wielki artysta.

– **Myślisz też o sobie, że jesteś wielkim artystą?**

– Nie! Ja w ogóle nie myślę o sobie dobrze.

– **Jakim jesteś reżyserem? Jak byś siebie określił?**

– W ogóle nie jestem reżyserem. Nie mam do tego predyspozycji. Reżyser to ktoś zdecydowany, a ja nie jestem zdecydowany. Polegam na intuicji, więc określiłbym siebie jako reżysera intuicyjnego.

– **Ale to, że jesteś operatorem pomaga?**

– Pewnie, że tak! Mam jakieś doświadczenie w pracy na planie, w tworzeniu inscenizacji, w umieszczaniu aktora w tej inscenizacji.

– **Wracając do początku naszej rozmowy – czy rzeczywiście ułatwiło ci pracę nad Schulzem to, że podobnie, jak on jesteś z małego miasteczka? Nie chciałeś z niego nigdy uciec?**

– Trochę zawyrokowało o tym konieczność. Kiedy skończyłem studia miałem tu już rodzinę, nie chciałem z nimi wyjeżdżać. Przyznaję też, że i w moim przypadku – podobnie jak u Schulza – zadecydowało silne, może nawet toksyczne przywiązanie do miejsca. Czasem sobie myślę, jakby to było gdybym mieszkał w Berlinie, Nowym Jorku, albo i w Warszawie (*śmiech*). Ale nie żałuję, choć uważam, że lepiej opuszczać miejsca, w których się człowiek wychował, w których spędził dzieciństwo i młodość.

– **Dlaczego?**

– Bo to jest bardzo obciążające. Takie miejsca obfitują w nadmierną ilość wspomnień. Każdy fragment tego obszaru z czymś się kojarzy. Lepiej tę pepowinę zerwać i udać się w wielki świat. I tam borykać się z życiem, walczyć i co pewien czas wracać do swojej mitologicznej przetrzeni.

– **Kiedy teraz jesteś w Mikołowie, patrzysz na niego drohobyckimi opisami Schulza?**

– Nie, to są dwa różne światy.

– **Na czym, twoim zdaniem, polega genius loci takich miasteczek?**

– Na legendzie. Pamiętam, jak robiłem film o Pawle Targielu (Paweł Targiel, poeta, pomysłodawca, założyciel i pierwszy dyrektor Instytutu Mikołowskiego znajdującego się w dawnym mieszkaniu Rafała Wojaczka – *przyj. D.D.*). To był dla mnie bardzo bolesny film; mieliśmy go robić wcześniej, kiedy Paweł jeszcze nie był chory, ale wówczas jakoś nigdy do tego nie doszło. Paweł też jest – był człowiekiem skazanym na Mikołów. Całe lata spędził w Warszawie, tam tworzył teatr, a po latach wrócił do swojego rodzinnego miasta. Pamiętam, że gdy już był bardzo chory w pewien deszczowy dzień staliśmy przed drzwiami Instytutu Mikołowskiego i zapytałem go: „Na czym polega ten fenomen Mikołowa, że tak trudno się od niego uwolnić? Że Wojacek, że teraz cała grupa młodych poetów i pisarzy? Z czego to wynika?”

A Paweł powiedział: „Popatrz Adamie, jakie to wszystko strasznie smutne. Przecież to jest smutniejsze od prozy Kubina. Miasto, które on opisuje nie jest tak smutne jak Mikołów”. Odpowiadając więc na twoje pytanie – to są legendy, które powstają na kanwie rzeczywistości, bo sama rzeczywistość wydaje się być szalenie prozaiczna, bolesna i smutna. Po prostu.

– **Coś na puentę?**

– Niech to będzie puenta.

– **Ale na takiej rzeczywistości wyrastają piękne owoce: książki, wiersze, filmy...**

– No może... Ale wiesz, ile to wszystko kosztuje?

Najwybitniejszym przedstawicielem siedemnastowiecznej poezji niemieckiego baroku był Johann Scheffler, który do niemieckiej i światowej literatury wszedł jako Angelus Silesius, czyli Anioł Ślązak. On to doprowadził do wyżyn artystycznej doskonałości prosty wynalazek poetycki Daniela Czepki z Birawy (inaczej von Reigersfeld), jakim były mistyczne dystychy, zbudowane z dwóch rymujących się ze sobą aleksandrynów. Ta w pewnym sensie unikatowa poezja religijna jest dziełem artysty o zgoła niezwykłym życiorysie.



TERESA
KOWALSKA

Angelus Silesius

(ur. w grudniu 1624 r. we Wrocławiu – zm. 9.7.1677 r. we Wrocławiu)

Johann Scheffler wywodził się z rodziny pochodzącej z Krakowa. Jego ojciec, Grzegorz Stanisław (vel Stenzel) Scheffler (ur. w 1562 r.) był krakowianinem o mieszanym, polsko-niemieckim i jednocześnie szlachecko-mieszczańskim rodowodzie, nadto zaś był wyznania luterańskiego. Jako urzędnik w służbie królewskiej brał udział w pochodzie Stefana Batorego na Moskwę, a także zasłużył się względem Zygmunta III Wazy. Za te swoje zasługi na posiedzeniu sejmu warszawskiego z dnia 17 marca 1597 r. otrzymał indygenat szlachecki wraz z herbem o nazwie *Seffler* (w herbarzach wymienianym również jako *Dwuwieża*). Zachowały się dokumenty, w których Grzegorz Stanisław Scheffler figuruje jako *Herr von und zu Borowicze* i jednocześnie wiadomo, iż posiadał majątek ziemski niedaleko Krakowa. Na początku ubiegłego stulecia polscy i niemieccy historycy literatury, zajmujący się życiem i dziełem Angelusa Silesiusa wspólnie doszli do porozumie-

nia w sprawie wsi o tajemniczej nazwie Borowicze. Otóż najbardziej prawdopodobną i dziś powszechnie akceptowaną wydaje się hipoteza, że ojciec Johanna Schefflera był właścicielem słynnych, podkrakowskich Bronowic.

Zapewne z przyczyn religijnych Grzegorz Stanisław Scheffler opuścił katolicki Kraków i w 1618 r. (czyli dokładnie w roku wybuchu Wojny Trzydziestoletniej, w znacznej mierze będącej przeciwieństwem wojną religijną) osiadł we Wrocławiu. Tam w wieku 62 lat ożenił się ze znacznie od siebie młodszą (dwudziestoczteroletnią) Marią Magdaleną Hannemann, córką lekarza. Miał z nią troje dzieci, z których najstarszym był syn Johann. Dwójka pozostałych to córka Magdalena (ur. w 1626 r.) i syn Christian (ur. w 1630 r.). Grzegorz Stanisław Scheffler zmarł w wieku 75 lat w 1637 r., a jego małżonka zaledwie w dwa lata później. Tak więc Johann Scheffler wraz z rodzeństwem stosunkowo wcześniej zostali pełnymi sierotami

i zanim doszli do dorosłości, zaopiekowała się nimi dalsza rodzina.

Przyszły poeta wczesne nauki pobierał w latach 1639–1643 we wrocławskim gimnazjum św. Elżbiety, w budynku obecnie mieszczącym bibliotekę Ossolineum. Tam zwrócił na siebie uwagę nauczyciela poetyki i retoryki, niejakiego Christoha Kölera, skądinąd rymopisa, a także przyjaciela i biografę innego znanego poety śląskiego, Martina Opitza. Christoph Köler był pierwszym, który dostrzegł nieprzeciętne zdolności u swego ucznia, mimo iż nieudane pierwociny poetyckie młodego Johanna jeszcze nie zwiastowały późniejszego sukcesu.

Dalsze nauki prowadziły przez uniwersytety Strasburga (1643-1644) i Lejdy (1644-1647) do Padwy (1647-1648), gdzie na początku lipca 1648 r. Johann Scheffler uzyskał doktorat z filozofii i medycyny. W rejestrach studentów wszystkich tych uczelni zawsze figurował jako syn polskiego szlachcica, należy więc sądzić, że ze swego po-

chodzenia był dumny. Strasburg w okresie studiów Johanna Schefflera był istną twierdzą myśli spirytualistycznej, z którą młody student musiał się tam zetknąć. Jest niemal pewne, że podczas pobytu w Lejdzie miał możliwość zapoznania się z poglądami niektórych pomniejszych odłamów protestantyzmu, w tym z nauczaniem mennonitów i kolegiantów, niewątpliwie więc zetknął się także i z ich mistycyzmem. Z kolei w Padwie po raz pierwszy w życiu zbliżył się do środowisk katolickich, ale również spotkał się tam z modną wówczas w Italii myślą panteistyczną, wynikającą z zainteresowania Averroesem i jego filozofią, i która znalazła swoje odbicie m. in. w poglądach Giordano Bruno (a także Benedykta *vel* Barucha Spinozy).

Wiosną 1649 r. Johann Scheffler po odbyciu studiów uniwersyteckich powrócił na Śląsk. Początkowo zatrzymał się we Wrocławiu, aby jesienią tego samego roku przenieść się do Oleśnicy. Tam uzyskał intratne stanowisko – z roczną pensją 124 talarów – nadwornego i osobistego lekarza ortodoksyjnie luterńskiego księcia Sylwiusza Nimroda von Württemberg-Ols, właściciela największej podówczas na całym Śląsku biblioteki, liczącej rzekomo aż trzydzieści tysięcy woluminów. Dochodowa posada na książęcym dworze wraz ze sporym majątkiem osobistym, odziedziczonym po ojcu zapewniały młodemu lekarzowi dostatnią i spokojną egzystencję.

Od wczesnej młodości Johanna Schefflera cechowało jednak wyraźne zainteresowanie teologią i metafizyką, a już szczególnie pociągało go dzieło Jacoba Böhmego (1575-1624). Podczas swego pobytu na uniwersytecie w Lejdzie, w owym czasie uczelni słynącej z najwyższego w zachodnim świecie poziomu nauczania medycyny, miał możliwość nawiązania bezpośredniego kontaktu z amsterdamskim kręgiem uczniów Böhmego. Na dworze księcia Sylwiusza Nimroda zetknął się z kolejnym jego uczniem, mianowicie z zamieszkałym w Bystrem k. Oleśnicy Abrahamem von Franckenbergiem (1593-1652), autorem biografii swego mistrza. Chociaż Abraham von Franckenberg działał jako matematyk, fizyk, lekarz i teolog, a prócz tego zajmował się jeszcze alchemią, astrologią i kabałą, to jednak głównie zapisał się jako duchowy przewodnik mistyków śląskich. Tak więc pod jego wpływem Johann Scheffler sam prędko skłonił się ku pogłębieniu wiedzy o mistycyzmie. Przede wszystkim Franckenberg zapoznał go z pracami innych słynnych mistyków, przeważnie niemieckich, a więc z pracami Mistrza Eckharta, Taulera, Ruysbroeka, Francka i Schwenckfelda, ponadto zapisał mu w testa-

mencie swoją zasobną w wiele cennych rękopisów bibliotekę. Szczególna pobożność, jaka podówczas zaczęła rozwijać się u nadwornego lekarza oleśnickiego księcia nie natrafiła na zrozumienie w jego luteranckiej parafii. Dla Schefflera sprawą najważniejszą stała się otąd dążność do zjednoczenia z Chrystusem i troska o to, aby Panu Bogu udało się zamieszkać w jego duszy. Tymczasem dla luteranckich duchownych z Oleśnicy były to wszystko kwestie drugorzędne, czasem brzmiące nawet heretycko, dla nich bowiem największą wagę posiadały wypracowane z prawd wiary reguły zewnętrznego postępowania, a także określone problemy dogmatyczne. Scheffler stawał się więc celem coraz bardziej energicznych ataków ze strony miejscowego kleru luteranckiego, zwłaszcza zaś ze strony nadwornego kaznodziei samego księcia i zarazem teologicznego cenzora w Oleśnicy, pastora Christoph Freitaga. Nasilające się niesnaski nie mogły nie osłabić więzi między Schefflerem a Kościołem luteranckim, tym samym niejako naturalnie skłaniając go ku katolicyzmowi. Reszty w 1652 r. dopełniła śmierć Abrahama von Franckenberga, która pod znakiem zapytania postawiła sens dalszego pobytu Schefflera w Oleśnicy. Tak więc po trzech latach spędzonych w służbie księciu Sylwiuszowi Nimrodowi, które jednocześnie stały się dlań okresem pogłębionych studiów nad mistycyzmem, Johann Scheffler znów powrócił do Wrocławia.

Po powrocie do Wrocławia, w grudniu 1652 r., został lekarzem szpitala przy kościele św. Mateusza. Zapewne już od dawna kiełkowała w nim myśl o przejściu na katolicyzm, lecz dopiero teraz – wobec splotu najświeższych i może nie do końca spodziewanych okoliczności – uległa ona szybkiej krystalizacji. Tak więc dnia 12 czerwca 1653 r. Johann Scheffler został włączony do grona wiernych Kościoła katolickiego i od tej pory jego gorliwość religijna zaczęła niemal gwałtownie wzrastać. Symptomatyczne było przyjęcie przez konwertytę (prawdopodobnie podczas bierzmowania) imienia Angelus, czyli Anioł. W ten sposób po raz pierwszy i to od razu w sposób aż tak wymowny wyznał światu, iż uważa siebie za bożego posłańca, czyli za kogoś wypełniającego takie samo powołanie, co aniołowie. W rok później cesarz Ferdynand III w sposób czysto formalny nadał mu tytuł swego nadwornego medyka i wtedy Scheffler już definitywnie zaprzestał praktyki lekarskiej, natomiast coraz bardziej zaczęła angażować się na polu religijnym oraz dobroczynności, a także – głównie poprzez działalność publicystyczną – na polu ostrej walki po stronie kontrreformacji. Dnia 25 maja 1661 r.

za dyspensą papieską przyjął w Nysie święcenia kapłańskie. Wskutek jego starań Wrocław w 1662 r. przywrócił publiczne obchody święta Bożego Ciała, zabronione w tym mieście od samego początku Reformacji. Podczas pierwszej procesji Johann Scheffler sam niósł przez całą drogę monstrancję z hostią. W 1666 r. rozdał biednym cały po rodzicach odziedziczony majątek i rozpoczął żywot pełen umartwień i niedostatku. Już jako kapłan przez dwa lata był radcą oraz marszałkiem dworu katolickiego księcia-biskupa Wrocławia, Sebastiana z Rostocka, znaczącej postaci ówczesnego Kościoła, hierarchy desygnowanego przez samego cesarza do zwalczania na Śląsku „herezji” luteranckiej. Po śmierci biskupa najbliższym sprzymierzeńcem Johanna Schefflera w działalności kontrreformacyjnej został inny duchowny dużego formatu, opat klasztoru Cystersów w Grüßbau (czyli w dzisiejszym Krzeszowie), Bernard Rosa. Scheffler za swoją życiową misję uznał bowiem kompletne wypędzenie Kościoła luteranckiego ze Śląska i przywrócenie w to miejsce katolicyzmu. Niestety, od początku lat siedemdziesiątych wskutek surowej ascezy, lecz także pod wpływem wytężonej działalności społecznej zaczęły go coraz bardziej opuszczać siły fizyczne. Żywe pozostaje wspomnienie o tym, jak na wiele miesięcy przed śmiercią prawie zupełnie zerwał kontakt z otoczeniem, przestał spotykać się z ludźmi i cały czas spędzał na mistycznej kontemplacji. Wcześniej widywano go, jak wędrował ulicami miasta w cierniowej koronie na głowie i z zapaloną latarnią w ręce, w ten sposób starając się przypominać swoim współziomkom o kwestiach transcendentnych i jednocześnie zyskując opinię ekscentryka. Taki wizerunek Johanna Schefflera został nam przekazany w luteranckiej karykaturze. Zmarł na gruźlicę dnia 9 lipca 1677 r. i pochowano go w krypcie kościoła św. Mateusza, tego samego, w którym 24 lata wcześniej przeszedł na katolicyzm. Niestety, podczas oblężenia Wrocławia wiosną 1945 r. ta właśnie krypta została przez wojsko niemieckie zmieniona w schron i szpital, a znajdujące się w niej doczesne szczątki ludzkie, w tym także szczątki Johanna Schefflera, przeniesiono w inne miejsce. Można jedynie przypuszczać, iż miejsce to znajduje się między ścianą świątyni a figurą św. Jana Nepomucena.

Twórczość publicystyczna Anioła Ślązaka, w tym głównie jego twórczość polemiczna (z pozycji kontrreformacyjnych) właściwie nie posiada żadnego znaczącego waloru literackiego i znana jest prawie wyłącznie wąskiemu gronu specjalistów. Najważniejszym dziełem jego życia okazał się wy-

dany w 1657 r. zbiór krótkich utworów poetyckich, głównie monodystychów, zatytułowany „*Geist-Reiche Sinn- und Schluss-Reime*”, który w drugim wydaniu z 1675 r. został poszerzony o *Księgę szóstą*, zawarł w sobie około tysiąca sześciuset dystychów i został opatrzony nowym tytułem, odąd niezmiennie brzmiącym „*Cherubinischer Wandersmann*” (czyli „*Cherubowy wędrowiec*”). Z początku dystychy pomieszczone w „*Cherubowym wędrowcu*” zostały przychylnie przyjęte jedynie przez ugrupowania mistyczne i pietyzyczne, a więc zarówno przez koła katolickie, jak i protestanckie. To, iż pierwsze wydanie tego zbioru ukazało się zaledwie w cztery lata po przyjęciu przez Anioła Ślązaka katolicyzmu pozwala sądzić, iż przynajmniej część zawartych w nim utworów mogła powstać jeszcze przed konwersją. Przepuszczenie to bierze się również i stąd, że stosunkowo niewiele epigramów autor poświęcił Matce Bożej, a te mogły zostać dopisane na samym końcu. Wreszcie nie bez znaczenie pozostaje fakt, iż pewna część utworów Angelusa Silesiusa niemal natychmiast i bez żadnego oporu trafiła do modlitewników i śpiewników protestanckich. Poza kołami ściśle religijnymi pierwszym wielkim, który docenił niezwykłą urodę tych refleksyjnych i natchnionych miniatur, zawartych w „*Cherubowym wędrowcu*”, był Leibniz (który jednakże czuł się w obowiązku wyznania drę-

czącej go obawy co do możliwości panteistycznego odczytania sensu niektórych z nich). Szersze uznanie, a nawet zachwyty poezja „*Cherubowego wędrowca*” zaczęła wzbudzać dopiero na początku XIX w., a więc wraz z nastaniem epoki romantyzmu. Wiadomo, że zachwykali się nią zarówno wielcy filozofowie, jak i wybitni poeci, a wśród nich m. in. Schlegel, Hegel, Schopenhauer, Ranke i Eichendorff. Zachwycał się nią również największy polski romantyk, Adam Mickiewicz, który w 1836 r. pod tytułem „*Zdania i uwagi (Z dzieł Jakuba Bema, Anioła Ślązaka i Sę-Martena)*” opublikował przekłady i parafrazy fragmentów dzieł trzech znanych, europejskich mistyków, a mianowicie Jacoba Böhmego, Angelusa Silesiusa i Louisa-Claude’a de Saint-Martin. Od czasów Adama Mickiewicza „*Cherubowy wędrowiec*” przyciągał swoim pięknem stosunkowo liczne grono polskich tłumaczy i część zawartych w nim epigramów doczekała się nawet wielokrotnych przekładów. Od początku lat dziewięćdziesiątych ukazały się zarówno wybory epigramów z „*Cherubowego wędrowca*” (przekłady m.in. pióra M. Brykczyńskiego i J. Prokopiuka, Kraków, 1990, czy B. Antochewicza, Wrocław, 1992), jak również wydania kompletne (m.in. w Wydawnictwie *Mysł*, Warszawa, 1991 i w Instytucie Mikołowskim, Mikołów, 2000).

Innym znanym dziełem Angelusa Silesiusa, wydanym również w 1657 r., był zbiór liryki religijnej, zatytułowany „*Heilige Seelen-Lust Oder Geistliche Hirten-Lieder*” (czyli „*Święta radość duszy albo duchowe pieśni pasterskie*”). Wiersze te były dosyć nierówne pod względem wartości artystycznej, jakkolwiek można wśród nich wyróżnić także i utwory doskonałe. Pod względem formy wszystkie one stanowiły naśladowanie barokowej poezji sielankowej i miłosnej swojej epoki. Ich „mystycyzm” polegał głównie na tym, że w punkcie centralnym każdego z nich tkwił Chrystus jako oblubieniec duszy, co sprawiło, iż „*Heilige Seelen-Lust*” niemal natychmiast stała się ulubionym zbiorem poezji religijnej pietystów.

Trzecim i z pewnością najsłabszym dziełem poetyckim, dobitnie świadczącym o wyczerpaniu sił twórczych Anioła Ślązaka był wydany w 1674 r. (a więc na trzy lata przed jego śmiercią) poemat religijno-dydaktyczny, zatytułowany „*Sinnliche Beschreibung der vier letzten Dinge*”, w którym w sposób zbyt „naturalistyczny” (niemal sadystyczny) autor przedstawił wstrząsające obrazy mąk piekielnych.

W dalszej części niniejszego opracowania zostaną przedstawione najświeższe przekłady dystychów, pochodzących ze wszystkich sześciu ksiąg „*Cherubowego wędrowca*”.

Cherubowy wędrowiec

Z księgi pierwszej _____

JESTEM PODOBNY PANU, A PAN MNIE

Jestem jak Pan Bóg wielki, On niczym ja nieduży:
On nie może mnie przerósć, ja się pod Nim zanurzyć.

PAN JEST WE MNIE, A JA W NIM

Pan we mnie niby ogień, ja w Nim odbłasku cieniem:
Czyż wzajem nie jesteśmy żarliwie połączeni?

CZŁOWIEK JEST WIECZNOŚCIĄ

Kiedy wychodzę z czasu, staję się wiecznością
I ja w Panu, Pan we mnie jesteśmy jednością.

MIŁOŚĆ PRZYMUSZA PANA

Jeślibym z woli Pana nie miał być wywyższony,
Do tego mą miłością zostanie przymuszony.

DUCHOWA MARIA

Ja muszę stać się Marią i muszę zrodzić Pana,
Jeśli za Jego sprawą wieczność ma być mi dana.

BÓG JEST NIEPOJĘTY

Pan to najszczerze Nic, nie wzrusza Go tu i teraz:
Im bardziej chcesz Go pojmać, tym bardziej się opiera.

ŚMIERĆ NIE ISTNIEJE

Nie wierzę w żadną śmierć: gdy co godzinę umieram,
To również co godzinę lepsze życie wybieram.

CZŁOWIEK TEŻ ŚLEPO KOCHA

Choć nie wiem, co takiego, to Jedno pokochałem:
A skoro tego nie wiem, dlatego To wybrałem.

SZUKANIE SIEBIE

Jeśli spokoju chcesz w Panu, droga przed tobą długa:
Szukasz siebie, nie Jego, jeszcześ nie dziecko, lecz sługa.

W TOBIE MUSI NARODZIĆ SIĘ BÓG

Choćby Chrystus w Betlejem był tysiąc razy zrodzony,
A nie zrodzi się w tobie, na wiekiś potępiony.

JAK UJRZEĆ PANA?

Pan zamieszkuje jasność, do której ścieżka zerwana;
Kto sam nie zajaśnieje, ten nigdy nie ujrzy Pana.



Tablica z kościoła św. Marcina we Wrocławiu.

NIEBO JEST W TOBIE

Zatrzymaj się, dokąd pędzisz? Przecież niebo jest w tobie; Szukając Boga gdzie indziej, nie dajesz szansy sobie.

MUSISZ ZAMIENIĆ SIĘ W SŁOŃCE

Muszę zamienić się w słońce, a wówczas snopem jasności Okraszę bezbarwne morze nieskończonej boskości.

W ŚWIECIE NIE MA SŁODYCZY

Komu rzeczy doczesnych ziemską słodycz jest droga, Ten jeszcze nie rozpoznał słodyczy Pana Boga.

MUSISZ PÓJŚĆ DO KRYNICY

Człowieku, z krynicy woda przejrzysta bije, W tarapaty popadniesz, jak się jej nie napijesz.

TO CZŁOWIEK TWORZY CZAS

Czas w tobie ma przyczynę, twe zmysły jego mechanizm, Opanuj własny niepokój, a będziesz czas miał za nic.

PANA UJRZY TEN, CO JEST WSZYSTKIM

Kto jeszcze nie jest wszystkim, ten ciągle jest za mały By Ciebie, Panie, ujrzeć, a z Tobą wszechświat cały.

DLACZEGO BÓG SIĘ RODZI?

O rzeczy niepojęta! Bóg tak jest zagubiony, Że pragnie we mnie znowu zostać narodzony.

KONIEC PANA

Wcale nie zgadzam się z tobą, że Pan jest nieskończony; Popatrz, on mnie poszukał, chce być we mnie złożony.

DRUGIE JA PANA

Jam Pana drugie Ja, On mnie wyróżnił wśród wszystkich, Bo we mnie znajduje, w czym jestem Mu równy i bliski.

DER GERECHTE

Daß der gerechte Mensch wächst wie ein Palmenbaum, Verwunder" ich mich nicht; nur daß er noch find't Raum!

SPRAWIEDLIWI

Niczym palmy strzelają ludzie sprawiedliwi, Jak znajdują dość miejsca, tylko to mnie tak dziwi.

TRINK AUS DEINEM EIGNEN BRONNEN

Wie töricht tut der Mann, der aus der Pfütze trinkt Und die Fontäne läßt, die ihm im Haus entspringt.

PIJ Z WŁASNEGO ŹRÓDŁA

Jak szalony jest człowiek, co błotem gasi pragnienie, A w domu z fontanny nie pije, co daje orzeźwienie.

Z księgi drugiej

NICOŚĆ NAJLEPSZĄ POCIECHĄ

Nicość najlepszą pociechą: gdy Pan poskąpi promieni, Wówczas tylko Nicością pocieszą się nieutuleni.

BÓG NIE ODMAWIA NIKOMU

Bierz i pij, ile chcesz i potrafisz, darmo możesz się gościć: Przed tobą stoi otworem cały bezmiar boskości.

POWINIENES BYĆ NAJWYŻSZYM

Świat to daremne nic, banalna aniołów jest postać, Przeto w Chrystusie Bogiem i człowiekiem mam zostać.

W CHRYSZTUSIE WZDOSIMY SIĘ WYSOKO

Skoro ponad anioły uniósł się mój Zbawiciel, Mnie też (jeśli zapagnę) powyżej nich ujrzycie.

KTO BOGIEM JEST, WIDZI BOGA

Chcąc, by prawdziwe światło ujrzały moje oczy, Wpierw sam w takowe światło muszę się przeistoczyć.

SAM JESTEŚ SOBIE WIĘZIENIEM

To nie świat ciebie więzi, lecz twoje własne pęta, Sam sobie jesteś światem jakże przemożnych opętań.

BARANEK, A TAKŻE LEW

Kto wszystko sobie podda i wszelkie zniesie razy, Ten pewnie lwem być musi i barankiem bez skazy.

MUSISZ SIEBIE ROZSZERZYĆ

Tak rozszerz swoje serce, by Pan w nim zagościł: Ty masz być sferą niebios, a On królem ludzkości.

Z księgi trzeciej _____

WESTCHNIENIE

Gdy Pan na ziemię zstąpił, na słomie miał posłane –
Ze też ja być nie mogłem tamtą słomą i sianem.

CZŁOWIEK GODNOŚĆ NAJWYŻSZA

Pan poprzez swe wcielenie ciągle mi pokazuje,
Iż ponad wszelkie duchy mnie najbardziej miłuje.

NIEBO ZAMIENIA SIĘ W ZIEMIĘ

Niebo skłania się nisko i w ziemię się zamienia;
Kiedyż to ziemia w niebo dostąpi przemienienia?

WIELKIE W MAŁYM

Mój Panie, nie do wiary: ma dusza to źdźbło nicości,
A Ciebie chce pochłonąć, taki bezkres wieczności!

PAN NIE MOŻE WSZYSTKIEGO SAM

Pan, co uczynił świat i nad nim ma moc zniszczenia,
Nowego życia nie stworzy bez mego przyzwolenia.

BOGA TEŻ MOŻNA ZRANIĆ

Boga nie da się drasnąć, ból nie przemoże granic,
A jednak moja dusza może serce Mu zranić.

Z księgi czwartej _____

PAN STAJE SIĘ, CZYM NIE BYŁ

Pan niewysłowiony w centrum czasu zagościł,
Czego nigdy nie czynił pośród całej wieczności.

GRONA WŚRÓD CIERNI

Kto zazdrośnika miłuje i wroga nie oczerni,
Czyż nie jest tym człowiekiem, co grona zbiera wśród cierni?

TWARZ PANA

Ten dostąpi zbawienia, kto twarz Pana zobaczy,
Lecz gdy Pan go odrząci, otwiera się otchłań rozpaczy.

DOBRCZE BYĆ TU I TAM

Nieba dla siebie pragnę, choć ziemia też mi droga,
Bo na niej lepiej mogę przybliżyć się do Boga.

Z księgi piątej _____

WSZYSTKO MUSI ZNÓW BYĆ JEDNOŚCIĄ

Wszystko z Jedni wyrasta i musi znów być Jednością,
Więc zniknie rozdwojenie, nic już nie będzie wielością.

TAJEMNA LICZBA KORONNA

Dziesięć liczba koronna, z jedyńki jest i z niczego:
Gdy Pan stworzenie swe spotka, to mamy coś podobnego.

CZUWAJĄCE OKO WIDZI

Nawet wśród nocy ciemnej światło boskości się jarzy.
Dostrzega je to serce, co widzi stojąc na straży.

PAN JEST RÓWNIEM BLISKI WSZYSTKIM

Belzebub Panu i cherub równie bliscy są, czy dalecy,
Ale jeden tylko Belzebub pokazał Mu swoje plecy.

WSZYSCY LUDZIE MUSZĄ STAĆ SIĘ JEDNYM

Pan Bóg jest wrogiem wielości: stąd Jego troska cała,
Aby gromada ludzka w Chrystusie jednym się stała.

KIEDY WNIEBOWZIĘCIE BĘDZIE BLISKIE

Gdy Pan już w tobie się zrodzi, skona i zmartwychwstanie,
Ciesz się, bo wniebowzięcie w zasięgu ręki dostaniesz.

KTO ZANIKA, TEGO NIE MA

Przecież jeszcze go widzę! Skądże? Nie ma grzesznika.
Gdybyś dobre miał światło, ujrzałbyś, jak zanika.

OPIESZAŁOŚĆ NIE PROWADZI DO PANA

Mówisz, że czasu wiele, by ujrzeć Pana w światłości;
Lecz nie ujrzysz Go wcale, nie widząc w terażniejszości.

HANDEL PANA BOGA

Pan Bóg niebem handluje ze swej wysokości;
Za ile chce je sprzedać? Za jedną strzałę miłości.

KTO POSIADŁ KRÓLESTWO BOŻE, TEN NIE MOŻE ZBIEDNIEĆ

Pan nam powierzył swe skarby. Skoro na tym świecie
Tkwi w was całe bogactwo, skąd lęk, że zbiedniejecie?

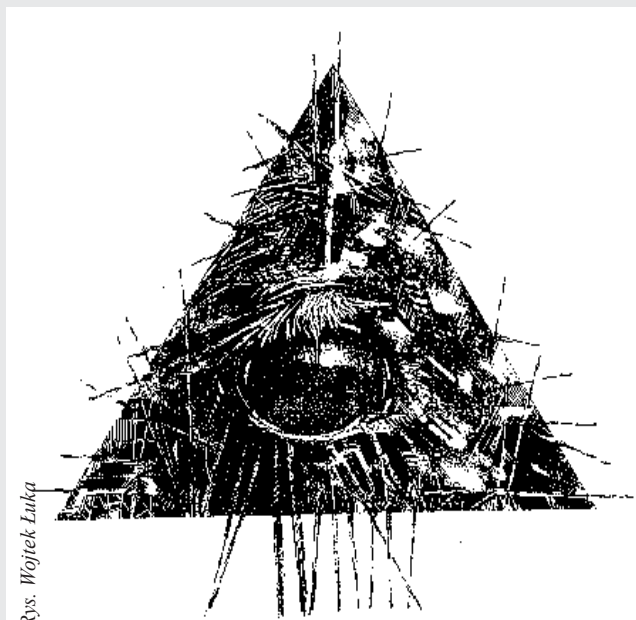
W MORZU KAŻDA KROPLA JEST MORZEM

Aż po kroplę ostatnią morze morzem jest wszędzie:
Jakaż więc dusza święta Bogiem w Bogu nie będzie?

ZAKOŃCZENIE

Przyjacielu, już dosyć. Jeśli czytać chcesz więcej,
Pismem stań się i Bytem, radzę ci najgoręcej.

Z języka niemieckiego przełożyła
TERESA KOWALSKA



Rys. Wojtek Lukka



Uroczystości rocznicowe odbyły się w „Izbie u Telemanna”. Na zdjęciu: Barbara Sopot-Zembok, z-ca burmistrza Pszczyny, wręcza nagrody prezesowi Towarzystwa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej (wydawcy pisma), Grzegorzowi Cempurze oraz redaktorowi odpowiedzialnemu „Pszczynskiego Niezależnego Orędownika Kulturalnego”, Aleksandrowi Spyrze (w środku).



Krótki kurs obsługi XIX-wiecznej prasy ręcznej, pierwszym odważnym był prof. Dariusz Rott.

Pszczynski jubileusz

22 listopada 2014 roku Redakcja „Śląska” wzięła udział w uroczystości 25-lecia trwania „Pszczynskiego Niezależnego Orędownika Kulturalnego”, która odbyła się we wspaniale odrestaurowanej siedzibie Muzeum Prasy Śląskiej im. Wojciecha Korfatego w Pszczynie, jedynej tego typu placówce w Polsce. Zaproszenie pszczyńskich przyjaciół było dla nas szczególnie, gdyż od lat współpracuje z naszym miesięcznikiem Aleksander Spyrza – człowiek-instytucja, dobry duch zarówno „Orędownika”, jak i Muzeum Prasy, społecznik, miłośnik Ziemi Pszczyńskiej i prawdziwy człowiek renesansu.

W kameralnej „Izbie u Telemanna”, wśród takich zażytkowych instrumentów, [jak XVIII-wieczny pozytyw, chordingon szarpany z przełomu XVIII i XIX wieku czy mandolina z XIX wieku, zebrał się przy wspólnym stole, by wysłuchać oficjalnych wystąpień i bardziej prywatnych wspomnień, serdecznych życzeń i opowieści z 25 lat istnienia pisma. Dr Halina Nocoń przedstawiła zebranym analizę zawartości „Orędownika” od pierwszego do aktualnego numeru, a profesor Dariusz Rott, który należy do Rady Programowej Muzeum Prasy, wygłosił laudację poświęconą pszczyńskiemu czasopismu



Muzeum Prasy Śląskiej im. Wojciecha Korfatego to raj dla historyków i bibliofilów.



Począwszy od pierwszego wydania (marzec 1990 r.) ukazało się 136 numerów „Orędownika”.

kulturalnemu. Aleksander Spyrza – gospodarz wieczoru, założyciel pisma oraz osoba, dzięki której przetrwał on na regionalnym rynku prasowym tyle lat – podzielił się własnymi wspomnieniami, a także podziękował kilku paniom za współpracę, w tym wiceburmistrz Pszczyny dr Barbarze Sopot-Zembok, dr Halinie Nocoń oraz zastępcy redaktora naczelnego „Śląska” Wiesławie Konopelskiej.

Zaproszeni goście mieli również okazję zwiedzić odnowione pomieszczenia, w których na stałe umieszczone są ekspozycje muzealne – archiwalne druki prasowe, bremiarz z 1688 roku tłoczony w Antwerpii, maszyny i urządzenia drukarskie oraz wyposażenie gabinetu Korfatego, w którym znajdują się m.in. oryginalne biurko i szafa z drukami „Polonia”. Ponadto każdy samodzielnie mógł odbić na ręcznej prasie typu „Boston” z połowy XIX wieku tekst *Wierzę w Boga* z 1612 roku, autorstwa Piotra Wacheniusa.

Drogiemu Jubilatowi – „Pszczynskiemu Niezależnemu Orędownikowi Kulturalnemu” – oraz zespołowi współpracującemu z pismem życzymy wielu kolejnych numerów, odkrywających przed czytelnikami uroki Ziemi Pszczyńskiej.

KATARZYNA BERETA

Zdjęcia: Tomasz Grucal/Gazeta Pszczyńska

Tegoroczny werdykt Akademii Szwedzkiej, która przyznała literacką Nagrodę Nobla Patrickowi Modiano, wzbudził, słuszną zapewne, konsternację wśród polskich czytelników, bowiem o laureacie tej upragnionej przez ludzi pióra nagrodzie niewiele w Polsce wiadomo.

Patrick Modiano

– Literacka

Nagroda Nobla A.D. 2014

AGNIESZKA
URBAŃSKA

Początkowa konfuzja i zaskoczenie ustąpiły miejsca ciekawości, którą choć po części pragnie zaspokoić niniejszy tekst i która być może zaowocuje tym, że książki Modiano przestaną zalegać zapomniane w bibliotekach, a on sam wpisze się na stałe w literacką mapę świata.

Patrick Modiano (ur. 1945 r.) to francuski prozaik o mylącym włosko brzmiącym nazwisku, utytułowany i cieszący się ogromną popularnością w kraju nad Sekwaną. Ci, którzy pokochali literaturę francuską z powodu Hugo czy Balzaka, mogą książki Modiano potraktować jako „ubogie”, gdyż próżno w nich szukać tak przenikliwie i bogato sportretowanych postaci jak bohaterowie cyklu *Komedii Ludzkiej*, nie ma w nich kunsztownych literackich opisów, czy to krajobrazu czy obyczajów, nie ma dramatów na skalę tych, jakie rozgrywały się na kartach *Nędzników*. Krzywdzące byłoby jednak porównywanie świeżo upieczonych noblisty do jego wielkich poprzedników, tak jak krzywdzące jest zestawianie literatury nowożytnej z tą dziewiętnastowieczną.

Naturalnymi natomiast zdają się być próby zestawienia twórczości Modiano ze współczesnymi mu pisarzami. W szczególności wymienia się jego kolegów z OuLiPO, czyli Warsztatu Literatury Potencjalnej. Przynależący do tej grupy pisarze starają się tworzyć literackie dzieła w oparciu o matematyczne zasady i wzory. Jednym z najczęściej przywoływanych w tym kontekście nazwisk jest Georges Perec, słynący ze swoich eksperymentów z literaturą. I takie porównanie mogłoby być jednak mylące, bowiem w twórczości Modiano, choć można odnaleźć ślady OuLiPO, na próżno szukać dzieła, które byłoby choć w połowie tak znaczące jak *Życie. Instrukcja obsługi* Pereca, z czego zresz-

tą sam Modiano świetnie zdaje sobie sprawę.

W jednym z udzielonych niegdyś wywiadów przyznał, że pisarze jego pokolenia nie tworzą już monumentalnych, wiekopomnych dzieł, takich, które byłyby w stanie oddać ducha epoki, które mogłyby stać się głosem danego pokolenia. Obecnie twórcy literatury – Modiano nie jest tu wyjątkiem – kładą raczej nacisk na świat wewnętrznych przeżyć i doznań, a jedyną rzeczywistość, którą odzwierciedlają, to ta osobista, indywidualna, zagmatwana nie mniej niż fizyczność wokół. Można się jedynie domyślać, czy przywołane słowa tegorocznego noblisty to rzeczywiście wnikliwa analiza współczesnej literatury, czy też może próba usprawiedliwienia takiej, a nie innej manieri pisarskiej. Maniera, która traktuje literaturę jako formę autoterapii, a pióro i papier jak inny rodzaj psychoterapeutycznej kozetki, takiej, która niewątpliwie służy autorowi, ale w której czytelnik niekoniecznie może się odnaleźć.

Traumą, z którą Modiano próbuje się zmierzyć na kartach swoich dzieł, jest doświadczenie człowieka pozbawionego tożsamości, zagubionego i osamotnionego dziecka, które utraciło ojca i usilnie pragnie go odnaleźć, aby móc tym samym odnaleźć samego siebie. Polskiemu czytelnikowi przyjdzie na myśl *Rue des Boutiques Obscures*, przetłumaczona wiernie jako *Ulica Ciemnych Sklepek*, jedna z nielicznych wydanych w języku polskim powieści francuskiego pisarza, choć bezsprzecznie jedna z najpopularniejszych (uhonorowana Nagrodą Goncourtów, uważana za francuskiego Nobla, czyli najbardziej prestiżową nagrodą w ojczyźnie Modiano).

Bohater książki, Guy, po latach pracy w agencji detektywistycznej pragnie wykorzystać zdobyte doświadczenie,

aby wytropić... samego siebie, aby odzyskać utracone w wyniku amnezji nie tylko nazwisko i adres (tytułową ulicę Ciemnych Sklepeków), ale również wszystkie wspomnienia i przeżyte dni. Pragnie on wypełnić treścią puste naczynie, za jakie postrzega samego siebie, wedle zasady wyrażonej przez autorkę filozofii obiektywizmu Ayn Rand, która mówi o tym, że człowiek chcący powiedzieć „ja kocham”, „ja lubię”, „ja wiem”, powinien w pierwszej kolejności móc powiedzieć „ja” i wiedzieć, co to słowo oznacza. I tylko pozornie jest to opowieść o człowieku, któremu przytrafił się dramatyczny, pozbawiający go tożsamości wypadek, historia Guy'a ma bowiem bardziej uniwersalny wydźwięk: jest historią współczesnego człowieka, któremu filozofia egzystencjalna odebrała grunt pod nogami, kładąc wąpć w sens i celowość własnego istnienia.

Dotychczas człowiek był przekonany o swoim potencjale i twórczej mocy, był predestynowany do świętości, stworzony na podobieństwo Boga lub też był panem i budowniczym świata, nieustraszoną odkrywcą, światłym umysłem, zdolnym do przekraczania każdych granic, nieskrępowany lękiem. Człowiek był treścią wszystkiego, był wartością samą w sobie i nie potrzebował usprawiedliwiać swojego istnienia przed drugim człowiekiem, a tym bardziej przed samym sobą. Dopiero egzystencjalizm uświadomił człowiekowi, że żaden boski plan nie istnieje, a świat istnieje bez celu i bez powodu, podobnie jak człowiek, i oprócz tego, że istnieje, niczego pewnego nie można o nim powiedzieć. Wartości samej w sobie egzystencja ludzka również nie posiada – jest przecież przypadkowa – i dopiero w trakcie jej trwania człowiek nadaje jej sens i wypełnia ją treścią.

Bohaterowie Modiano – oprócz wspomnianej *Ulicy Ciemnych Sklepeków*, a także postaci z *Quartier perdu* (*Zagubionej dzielnicy*), *Accident Nocturne* czy też wydanej ostatnimi czasy *L'Horizon* – usilnie starają się wyrwać z tego nihilistycznego marazmu, rozgrzebiują przeszłość, aby znaleźć nie tylko korzenie, lecz aby uzyskać pewność, że nie są przypadkowym bytem kierowanym przez ślepy los. Pragną oni odnaleźć dumę i radość z własnego istnienia, którymi rozświetlone były poprzednie epoki, a które człowiek utracił w wieku dwudziestym. Utracił nie tylko z powodu sartrowskich idei i freudowskiej podświadomości, która kazała wąpć w samego siebie, lecz przede wszystkim z powodu wojen, których okrucieństwo obnażyło nędzną i grzeszną naturę człowieka.

To właśnie wojna i okres powojennej okupacji są kolejnym motywem twórczości Modiano. Począwszy od pierwszej, wydanej w 1968 roku powieści *La*

Place de l'Étoile (innymi o tej tematyce są chociażby *Ronde de nuit* [Straż nocna] czy *Les Boulevards de ceinture* [Bulwar okrężny]) francuski pisarz udowadnia, że podejmując się tematu z pobudek bardzo osobistych (trauma wojny dotknęła bezpośrednio jego rodzinę), można w ostateczności stworzyć książkę o uniwersalnym charakterze i uniwersalnym przesłaniu, z korzyścią dla innych. Docenili to jurorzy Akademii Szwedzkiej, którzy przyznając Patrickowi Modiano nagrodę Nobla, podkreślili właśnie ten aspekt jego pisarstwa: jego wkład w „odkrywanie świata czasu okupacji”.

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że zadanie, z jakim zmierzył się Modiano, nie było zbyt trudne. Nie sposób europejskiemu czytelnikowi nie odnaleźć się na kartach wyżej wymienionych pozycji, skoro cień drugiej wojny światowej położył się na całym kontynencie, na co najmniej trzech pokoleniach. Trudno znaleźć osobę, która o horrorze wojny, o rozdzielonej w dramatyczny sposób rodzinie i o okupacyjnej biedzie nie miałaby nic do powiedzenia lub która nie mogłaby przywołać w tym kontekście osoby rodzica lub dziadka. I jest to też prawdopodobnie jeden z głównych powodów, który zdecydował, że książki Modiano nie przebiły się do świadomości polskiego czytelnika. Wszak nasza rodzima literatura obfituje w dzieła o tej tematyce. Polska literatura to ta, która ma najwięcej do powiedzenia o czasach wojny, Holokaustu i okupacji, i opowiada o tym żywo za pomocą literatury faktu, literatury diarystycznej, a także pod płaszczykiem literackiej fikcji i, co więcej, opowiada o tym w sposób bogaty i ciekawy. Pod tym względem polski czytelnik nie znajdzie w książkach Modiano niczego nowego.

Zainteresować go może natomiast opis powojennego Paryża – skrupulatny i wierny – oraz klimat francuskiej

stolicy – pieczołowicie i z powodzeniem oddany na kartach Modianowskich powieści. Pisarz umiejętnie buduje nastrój: melancholijny, mroczny, pełen tajemnic i niedomówień, lecz urzekający i intrygujący. Jednym z ciekawszych aspektów jego twórczości jest właśnie jego technika pisarska.

Styl Francuza jest surowy i oszczędny, pozbawiony ozdobników i zbędnych słów. Modiano nie bawi się językiem, ale jednocześnie po mistrzowsku nim operuje, używa go z chirurgiczną precyzją, dzięki czemu potrafi za pomocą minimalnej ilości wyrazów oddać maksimum treści. Nie potrzebuje on rozwlekłych opisów i mnóstwa rekwizytów, aby wytworzyć nastrój niepokoju, aby oddać atmosferę zagubienia, smutku, beznadziei czy tęsknoty. Modiano nurza się w samotności i mroku i bez trudu, z ogromną wprawą, wciąga w tę otchłań także czytelnika.

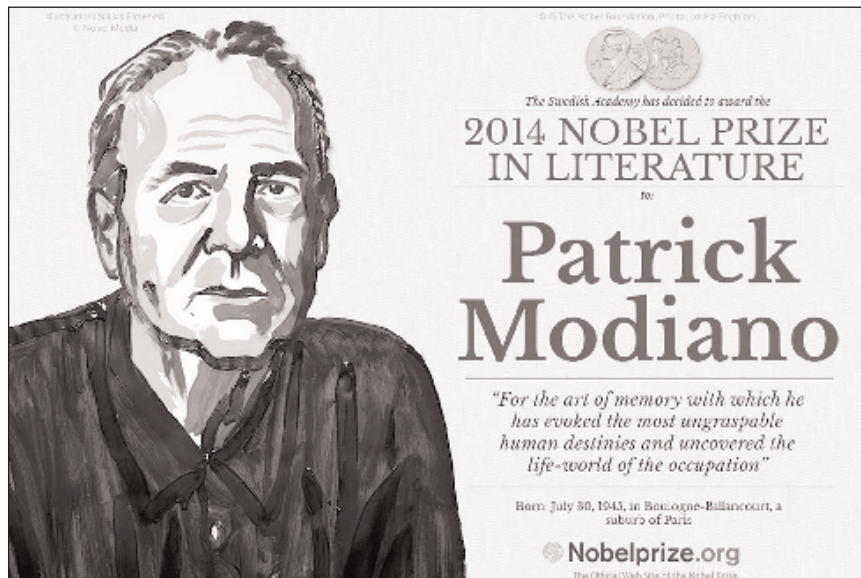
Upodobanie tegorocznego noblisty do tej ciemnej strony ludzkiej natury rzuca się w oczy nie tylko od pierwszych stron jego książek, ale dostrzec je można już w samych tytułach, gdzie dominuje „noc”, „zagubienie” i „zapomnienie”. Owa ciemność i zagubienie nie są jedynie fizycznym odczuciem, jakiego człowiek doznaje po zachodzie słońca, w opustoszałym, szarym i starym mieście, lecz – w ujęciu bardziej metaforycznym – są konsekwencją braku pamięci lub jej zakłamywania, z czym Modiano próbuje się bez ustanku zmierzyć. Odtwarza on bez końca wspomnienia, pieczołowicie gromadzi każdy ślad i każdą pamiątkę z dawnych lat, a jego wzrok notorycznie skierowany jest ku przeszłości, przyszłości zaś – z jej tysiącem możliwości – nie poświęca zbyt wiele uwagi.

Nie jest więc z pewnością Modiano pisarzem dla wszystkich. Niektórym może się on wydać zbyt monotematyczny: roztrząsający w kółko tę samą

historię, zmagający się z egzystencjalnymi rozterkami, rzadko radosny, przeważnie poważany, z obsesją na punkcie roli pamięci w życiu człowieka. Zdawać by się mogło, że pisze on ciągle jedną i tą samą książkę (trzeba tu podkreślić, że Modiano ogranicza powieści w formie zaledwie do stu stron; za to, a może właśnie dlatego, wydaje je w ekspresowym tempie: co rok, maksymalnie co dwa lata pojawia się na sklepowych półkach jego nowa pozycja). Czytelnik, który pokochał go za wspomniane wyżej cechy, z pewnością chętnie będzie zanurzać się w jego prozę, ten zaś, który pragnie zdiwić, świeżego spojrzenia i nowych przygód, po którejś z kolei jego książki odłoży ją pewnie z powrotem na półkę z poczuciem, że już to czytał.

Niezaprzeczalnie jedną z najważniejszych zalet Modiano pozostaje fakt, iż jest on twórcą dojrzałym i kompletnym, o dużej dozie samoświadomości, który wie, co chce powiedzieć, wie dokąd zmierza i dokąd chce zaprowadzić czytelnika. Posiada wyrobiony, świetny technicznie warsztat, którego jest pewny i z którym nie musi eksperymentować, co stanowi niewątpliwą zaletą, jako że – jak to często bywa w takich wypadkach – różnego rodzaju zabawy piórem i pisarskie sztuczki rykoszetem odbijają się na odbiorcy. Jest on z pewnością autorem wartościowym i cennym, pozostaje jedynie zastanowić się, czy w stopniu wystarczającym, takim, który tłumaczyłby przyznanie mu tego najważniejszego literackiego lauru?

Czy wypada jednak i czy jest sens poddawać w wątpliwość werdykt Akademii Szwedzkiej? Nie było jeszcze Nagrody Nobla, wobec której nie wnoszono by zastrzeżeń. Kontrowersje budzi zwykle nie tyle nagrodzenie określonej osoby, ile pominięcie innych pretendujących do nagrody; wątpliwości budzą inne, pozaliterackie motywy, jakimi potencjalnie kierować się mogło jury w podejmowaniu decyzji. Dla niektórych krytyków Nagroda Nobla, podobnie jak filmowy Oscar, straciła swoją wartość, przestała być miarodajna i niewątpliwie dla czytelnika lista nagród wypisana pod nazwiskiem autora na obwolicie książki również nie ma większego znaczenia. Uhonorowanie Noblem jest natomiast znakomitą okazją, aby dotąd słabo słyszalne nazwisko rozgłosić, i tak też się stało w przypadku Patricka Modiano. Na pytanie, czy literackiego Nobla przyznano mu słusznie czy też pisarz niekoniecznie na niego zasługuje, każdy czytelnik odpowie sobie sam, po lekturze jego książek – teraz przy najmniej wie on już, czego szukać.





Z cyklu „Wyrwani śmierci. Kolejny uratowany z kopalni General Zawadzki”

Fotografował: Stanisław Jakubowski

WIESŁAWA
KONOPELSKA

Kiedy w 1995 i 1996 roku projektowaliśmy pierwsze numery „Słaska”, a ściślej mówiąc, kiedy poszukiwaliśmy tematów do rozważań o latach 80. na Śląsku, o przemianach społecznych, o problemach ciągle najważniejszego dla Śląska górnictwa, o przemianach, skutkach transformacji – jak się wtedy mówiło – czy aspektach socjologicznych tych zjawisk, zawsze padało koronne pytanie: czyje zdjęcia mogą być dobrą ilustracją, a raczej obrazowym komentarzem do tekstu? Nikt nie miał wątpliwości, że

w gronie fotografów współpracujących z naszym miesięcznikiem – rzecz jasna najlepszych – nie mogło zabraknąć Stanisława Jakubowskiego.

Odwiedzał redakcję jeszcze przy ulicy 3 Maja, przynosząc czarno-białe odbitki ze swego ogromnego archiwum. Z dumą mogliśmy je podpisywać: Fotografie: Stanisław Jakubowski.

Pierwszy wśród polskich fotografów – dokumentalistów zdobywca World Press Photo. W Hadze, w 1970 roku pokazał fotore-

portaż „Wyrwani śmierci” powstały podczas akcji ratowania górników w kopalni „General Zawadzki” w Dąbrowie Górniczej. Na kolejnego Polaka – laureata trzeba było czekać aż do 2007 roku, kiedy tytuł ten zdobył Rafał Milach. W 1993 roku Stanisław Jakubowski został Fotoreporterem Roku, a w następnym, 1974, Fotoreporterem Roku CAF.

Wybitny w gronie wspaniałych. Miał Śląsk i ciągle ma szczęście do znakomitych fotoreporterów.

Pisząc o dorobku Stanisława Jakubowskiego – fotografa pracującego w prasie codziennej, znającego trudy zdobywania najciekawszych, niepowtarzalnych ujęć, widzenia wszystkiego i wszystkich, zaważania rzeczy przez innych niewidzianych, dostrzegania tego, na co tylko pozwala patrzeć przez obiektyw i potrafiącego naciskać spust migawki w tym jednym, jedynym momencie, świadczącym o wyjątkowości ujęcia, nie sposób nie dostrzegać roli fotografii, jaką odgrywała w tamtym czasie. Mistrzowie obiektywu, a wśród nich Stanisław Jakubowski byli tymi, którzy poprzez swoje fotografie komentowali temat dziennikarski. Samodzielne reportaże bywały odrębnymi dziełami, obywatycznymi się bez słów. Te najciekawsze ujęcia, bywało, że musiały przeczekać wiele lat. By ujrzeć światło dzienne, bo nigdy na ich publikację nie zgodziliby się ówczesni prasowni decydenci i ... cenzura. Za to archiwa po dzień ten nieprzebrane zasoby wiedzy o tamtych czasach.

Lata 80. – czas „Solidarności” i upadającego socjalizmu, także dramat stanu wojennego z absolutnym zakazem fotografowania – mimo groźących za takie działania dramatycznych konsekwencji znalazły się w archiwach Jakubowskiego.

Był w wirze pożaru, jaki wybuchł w rafinerii w Czechowicach – Dziedzicach, był przy stole operacyjnym, za którym prof. Zbigniew Religa miał podjąć ostateczną decyzję o przeszczepie serca. Był, kiedy ratownicy przez kilka dni walczyli o życie górnika Alojzego Piątka, był, kiedy na Śląsk przyjechał Lech Wałęsa, Codziennosc dostarczała wielu tematów – od tych „właściwych”, które trzeba było wykonywać jako fotoreporter Centralnej Agencji Foto-



Pielgrzymka do Piekar Śląskich



Akcja w kopalni Mikulczyce-Rokitnica ratująca górnika Alojzego Piątka, 1971



Pożar w rafinerii Czechowice-Dziedzice



Cenna zdobycz, 1973

graficznej po osobiste, przechowywane latami w archiwum.

Zdjęcia, które po 90. roku mogły wyjść na światło dzienne pokazują, jakim mistrzem obserwacji, nie pozbawionym dowcipu, był Stanisław Jakubowski. A efektem tego były zdjęcia z wizyty papieża-Polaka w ojczyźnie i zaobserwowane sceny, nie zawsze przepełnione powagą i duchowym uniesieniem. „Dosiadanie wodza” też mogło się wielu nie spodobać...

Dziś 80-letni, doskonale pamięta sytuację zagrożenia podczas wypadków w kopalniach, szukanie sposobu, by za wszelką cenę znaleźć się w centrum zdarzenia. Był blisko tragedii, ale nigdy nie przekraczał granicy, nie epatował śmiercią, tragedia ludzkiego losu – dziś te standardy dawno się zmieniły. Kiedy w użycie weszły aparaty cyfrowe, a obieg informacji stał się natychmiastowy, profesjonalny fotograf jakże często staje się drugoplanowy, a jego praca służy wyjątkowym sytuacjom. Dziś każdy umie robić zdjęcia, każdy może być „dziennikarzem”, reporterem, fotoreporterem. Stanisław Jakubowski to stara szkoła fotografii, w której terminował, wkładając w pracę wszystkie swoje talenty i zdobyte doświadczenie.

Szczególne miejsce w fotoreporterskiej twórczości Stanisława Jakubowskiego zajmują zdjęcia z wydarzeń sportowych. Pełne dynamiki, oddające emocje towarzyszące zwłaszcza meczom piłkarskim. Tu pasja fotografowania łączyła się z jego pasją sportową. Za „Grupę Laokoona” powstała w 1968 roku otrzymał nagrodę w XI Ogólnopolskim Konkursie Fotografii Prasowej.

Fotografia Stanisława Jakubowskiego jest głównie czarno-biała. I ona, mimo wszechobecnej fotografii kolorowej potrafi najlepiej oddać emocje, zilustrować codzienność bez nachalności, ale w sposób perfekcyjny.

Dawny mistrz nie oddaje pola, chociaż fotografuje głównie dla własnej przyjemności. Z fotografowaniem tak już jest – fotoreporter to nie tylko zawód, ale ...cecha charakteru. Dlatego, jak powiada, z aparatem – teraz już cyfrowym, nigdy się nie rozstaje. A nuż zdarzy się sytuacja, której nikt nie zauważy? On ją dostrzeże, to jest pewne.



Dosiadanie wodza.



Powitanie papieża Jana Pawła II na Wawelu, podczas jednej z pierwszych pielgrzymek do Polski.



„Czy podejmie pracę?” – Zbigniew Religa na chwilę przed rozpoczęciem pierwszej transplantacji serca w klinice w Zabrze

'ŚWIAT

„36 Bytów” jest kontynuacją moich badań na temat interakcji sztuki i nauki (poprzednie dwie dotyczyły słowa i obrazu). Zawiera ona moją filozofię na temat postrzegania świata wewnętrznego i zewnętrznego innych ludzi – duchowość, umysłowość, fizyczność.

Zaczyna się rozmyśleniami na temat Czasu szeroko pojętego i mojego bytu metafizycznego w nim, połączenia istnienia nadanego od Boga, a jednak będącego częścią Kosmosu, przedmiotem badań naukowych, analizą istnienia ziemskiego znaczonego zwykłymi sytuacjami życiowymi i oderwaniem świadomości od tego co znane na rzecz odkryć, nowych tez, postaw wobec Boga i Wszechświata, łączności ze sferą życia po śmierci fizycznej.

Prezentowany w „Śląsku” „Świat” podsumowuje rozdziały poświęcone zagadnieniom autobiograficznym.

Nie jest to rzecz naukowa, ale beletrystyka z pierwiastkami naukowymi, które w tym przypadku stały się we mnie podstawą innego kierunku kreacji.

W przygotowaniu pozycja książkowa.

Zadomowiłem się trochę w tym świecie. Chwilami nie jest straszny. Można go polubić. Być w pięknym. Po białych nocach czarne dni. Zaczynam też lubić siebie. To trudniejsze niż kochać innych. Zostawiam na razie niedolubionego Jacka wśród skochanych modelek i idę z paletą – malarz do pisarza, głębiej, w środek jestestwa. Odnaleźć duszę w ciele, rozum w umyśle – w nim cały świat. Mój chód przegrany.

Dotknąć prawdy małej.

Wyjąć ze światła

Serce gwiazdy wyodrębnione

Uwięzione w ustach

Duża prawda zbyt wielka dla Durskiego.

Rozum kwaśną kromką

Dusza kromką

Brzeg talerza śpiewał o kole głodu

Ból szklanego słowika wykrzywił zęby

Zdzierał skórę z fajansowych jam

Kiedyś patrzyłem w pusty talerz, w dziurę po chlebie. Mierzyłem tę dziurę z ojcem. Teraz nie całuję chleba. Napłułem w głód przeszłości. Wilgotne skrypty dziecka.

Pragnę sztuki, wierszy w liściach, prozy z kamienia, obrazów ze śnień, muzyki pejzażu. Pragnę też zmarłej Małgorzaty. *W pracowni wyrasta z niej poemat. Rzucam w moją twarz płonącym kasztanem. Ból wzmacnia słowo. Widzę energię podczerwoną.*

Krwawi pragnienie. Książki moje tłumaczone głośnie żądzą na angielski, na hiszpański. Czytane, podziwiane. Na biurku medal z Noblem. Gdzie granica łaknień? Nie ma. Chcę wszystko. Być znanym. Być w literaturze i w pięknych kobietach. Nie wychodzić z fal gładkich, kwiatów rzeźbionych. (Liżę duszę jak wilk postrzał).

– Słyszysz, Habrowska? Zwariowałem w fotelu, aby nie zwariować na krześle.

– Za głośno w tobie od poematu. Będę musiała posprzątać ten nagłos – złożyła Ewusinka piąstki w pięści. – Wciągnąć to, o tak, w układ oddechowy. Uniosła się kartka na blacie.

(Już lepiej wrócę do pisania bez żartów).

Szeptają zmarli

Zapalają Durskiemu koronę mózgu

Nad białym poematem błękitna aura. Niech myśli pisarz nieustannie.

Wnętrza kobiet w ścianach. Z krzyków wielokąty. Wszystko w lustrach. Ilość ud zdeformowanych. Wbijam siebie w wargi bez imion, bez nazwisk. Niezły wzwód gąbki. Spływa piękno z muru. Wystrzał z brzucha. Wybuchło serce krwią i spermą. Noc słabnie.

Oszalałem w Sosnowcu przez ten pisany poemat. Nie kontroluję już kompozycji. Czkaam słowa. Mój łąbędź krótko śpiewał. Zamarła literatura.

Za drzwiami dwoje moich dzieci, które Bóg dał za chwilę seksu. Działań bez uczucia. Dzisiaj pragnę ich miłości. Ale ojciec bez kasy, uparł się, aby pisać mądrze. Nie chcą ambitnego. „Z twoich książek rzeźby małe”, słyszę myśli syna, córki. Myśli ojca w myślach dzieci.

– Lepiej starego złożyć w wierszu, w białym grobie. I tak nie da na samochód – hałas zdań przeraźliwy.

– Mamy składać prozaika w poezji!? Niech go złożą jego baby. To ich dzwignacz jąder! On w synergii z Filipczak wymyśla podwójny erotyzm. A powinien... Co powinien?

– Pracować w PSP, zaistnieć w kręgu pieniądza, przystosować się do PRL albo być naszą gospożą – odchodzą spod drzwi ze śmiechem wysokim.

Nie wejdą do mojego mieszkania. Nie przychodzą do mnie od lat. W Wigilię najtrudniej. Idę sam do siebie z opłatkiem. Mróz trzaska w herbatach, nie chce mi się odkręcić kaloryferów w mieszkaniu. Ogrzać domu dla nikogo.

Rozwiał się głosy za drzwiami. Ciemniej w pracowni, w Sosnowcu. *Z głosów waszych, synu, córko, wybrałem swój krzyk.* Poziomy. Nie bójcie się. Nie dojdzie do Boga. Ponad niebem otchłań.

Grzeję pościel księżycem. Nie będę błagał dzieci o miłość. Obszar ciszy w Zagłębiu.

Zarosło biurko zimnym miastem. Oziębłe kikuty metafor. Nie płoną lasy na Muchowcu. Nie urodziły się inne dzieci. Nadmiar siarczanu w atmosferze.

Za to Bóg ubłagany. Śmierć rzadko zagląda. Tylko co noc. Wśród czarnych luster, szarych ścian jest taka kolorowa. Muska szeptem szyję. Namaluję jej akt tlenkiem kobaltu. Proch i pigment.

Życie już w śmierci. Całe życie.

Tapnęło w piersiach. Nie wiem, czy znowu umierać. Odejść z Panem Bogiem. Wolny od światła. W moją umarłość i Jego życie. Odczuwam lęk wibracji naszej planety. Czasem kołuje pokojem. Odpycham się od sufitu, ścian. Podłoga wygięta, zbiór krzywych płaszczyzn.

Jednak mało mi jeszcze kosmosu. Tego wokół i dalej. Tak mało tej planety błękitów zielonych. Mojej Ziemi. Nieba zawieszonego w dolinie. Nieba w koronach drzew. Nieba w ptaku. Nieba w kościelnej wieży. Nieba w wibracji ciała. Tego piękna. (Trzasnął przegub zachwytu).

Nie poznałem dokładnie moich przyjaciół w nauce i w sztuce. Nie znam tak naprawdę nikogo. I siebie nie znam. Nie zszedłem do dna ciężaru. Tylko czyham na sen z gotowymi wierszami w niedorzeźbieniach nocy. Na środki wierszy bardzo białe. Nie wiem, co to prawda wielka. Garb duszy z krawędziami kamieni. W piersiach wypukłość słów. Nie można z żeber ruszyć tych wyrosli. Stałość fraktalna. W tym kodzie zapis przyrody. Kocham ją, malując, rzeźbiąc, natomiast ludzi kocham w pisaniu. Całą naturę.

W tej chwili zobaczyłem w oknach obrazki, które kiedyś sfotografowałem umysłem, spojrzeniem dziecka, chłopca, mężczyzny. Dużo obrazków. Filmy spod świadomości i filmy świadome. Poszerzyła się ściana z oknem. Na parapetach wiewiórki siwe.

Widzę:

Jutrosin z duchem Durskich. *Obracane wiatrakami niebo. Pola nasiąknięte błękitem Orli. Krążą z czoła poza horyzont. Zaczyna dymić rosa. Postacie stryjów na łąkach. Który z nich zmartwychwstanie w tej mgłę niebieskiej? Ze skrzypiec ojca ptaki piękne jak baśń. Ojciec gra „Kobylińo...” Chce też coś powiedzieć, wrócić Stamtąd, z historią Świętego Boboli. Lecz Bóg nie pozwala, więc stary tylko smyczkuje. Szarpnął struny aż z szyszek las wytryska. Zawiązały się kokardy wiatru nad Szymonkami. Wychodzą z kapliczek Madonny posłuchać zmarłego fizyka-muzyka.*

W Białce płynię po kamieniach krew. *Czerwony pstrąg, jego ślad. Czuje ostrość, twardość pręta. Cieszy się letnik w Bystrej, że ugodził szybkiego. Chichot betonu i stali, chichot miasta ze wsi. Klasnął za szybą zdychający pstrąg.*

W Kościanie, w parku, spór gawronów z krukiem. *W czarnych dziobach białość. Przepędziłem czern z białego, płosząc ptactwo na obrazie van Gogha. I tak się zastrzelił tragiczny malarz. Obróciła się nade mną noc. Zaploty kosmosu, gwiazdy przeciwne. Niebo czarne od piór. Krakąło. Spacer w Krakaniu z Haliną Dymarek. Przechadzka nad Obrę, kochać się w ulubionym żeremiu. Niech bobry popatrzą spod gałęzi.*

W Puszczykowie śpiew wilków z księżycą. *To światło krąży w płatach mózgu. Wylewa się ciemieniem z kawałkami Luny, z pieśnią Kosmosu. Błyszczy w igliwiu siersć. Pędzi we mnie jelen. Las wrogi uderza – wilczyca blisko. Rozpruty kłami grzbiet. Chybotą księżyc, rżnąc moje ciało iluminacją. Wilk równo przecięty dalej wyje w pamięci.*

Pod Tucholą wieniec kulistych błyskawic, elektrycznych kul. *Wiatr pobral bryły ognia. Zabił kilka krów na łące. Niebo energią spalone. Nie widać aniołów. Pościel trawy granatowa. Błądzą od lat w tym obrazie przyrody. Teraz i we mnie piorun. W sierpniu 2012 roku.*

W Zakopanem wyrazistość grani. *Gibka ścieżka z krzyżem. Naraz przepaść, urywa się piarg. Rośnie góra nad górą światła, wielki blask. Niebo aż do błękitu. Na rogach skały chór Aniołów. Z rozpękłego kamienia zaśpiew ziemi. Halny obrócił mi mózgiem, kręciołkiem intelektu. Mój piorun, ten z Tucholi, Giewont zaczepia. Wysoko rusztowanie błyskawic. Krzyż wyniesiony w niebiosy.*

Nad Pruszczem Gdańskim plamka tęczy w oku. *Wniebowstąpienie. Wysockość szeroka. Obfitość barw. Wylewa się światło z kropel. Stojąc pod tęczą, czuję się bliżej Boga. Poznają Jego plany, wołam do Najwyższego. Przez chwilę był człowiekiem, kolegą, malarzem. Wykrzychałem naszą odległość. Nie potrafię zbliżyć się do Niego, opowiedzieć swój strach. Odpisał na tęczy, niewyraźnie. Deszcz krąży zamiast padać.*

Sopot. *Wiatr z różnych klimatów. Moja pięść w piasku trzyma mrówkę, świat mrówki. Mrówka zniknęła w gorącym. Anna Filipczak opalona, złoto, złoto, wchodzi w mięśnie wody, w błękit. W złotym karku drzazga światła. Fale sto-*





Rys. Wojtek Łuka

ją uśpione lepkiem upalem. Anna zdjęła wszystko. W wodzie szelest nóg wysmukłych. Kontury podbrzusza naprężone. W kroku kontynent, niebo raz blisko, raz daleko. Szyja z prędkim oddechem. Z oczu Anny blask, tej istoty, która mieszka w środku. Całe ciało doskonale gęste. Poprowadzi nas na szczyt, gdzie Anioły z zapachem kobiety. Z piersi złote ptaki lecą, płyną. Żądza ciemnym złotem. Z miłosego krzyku szept. Furia wspaniałych opada. Zostałaś, Anno, wzięta w falach, pokryta falami. Nie przybierzesz już kształtu człowieka. Wynurzył się z zatoki złoty Anioł. Stanął na niebieskim pod tęczę.

Za piecem w Witnicy wyschnięty świerszcz. Cyka cisza. Wuj Szymtkowski rysuje karykatury. Zawsze swoich bliskich. Z ogrodu, z otwartych okien, z prostokątów przyrody płynie cień obłoku. Cyka cisza wuja i siostrzeńca. Zapowiada motyla. Jego skrzydło znowu wywoła tornado. Czuję wirowanie Ziemi. Wiele wirów. Każdy w inną ciszę. Wiatr na dach położony. Śpi z dymem. Ciszo ustąp! Skwir ptactwa wyostrzył kreskę wuja. Drobną jabłoń wyszła z ogrodu i stoi w mieszkaniu nade mną. Spadają mi na głowę wykrawki nieba, niebieskość, niebieskość. Zaczynam rysować Szymtkowskiego.

Znowu w Bystrej. Noc świeża. Ogryzam korę dębu, wierząc w jego moc, prawie poganin. Wyjadam w drzewie drogę do nieba. Zabiorę z Ziemi mięszsz szypułkowy na M45. Zaszlepotalo w gałęziach. Głębokość świata żyje, wypiętrza się w słojach. Pryska ziemia. Ten dąb z Beskidu pierwszy w śpiewie niskim, wyżej sosna z Puszczykowa. Do dziś krzewię się przy nim. Przez lata był moim lekarzem, dawał mi niebo i ziemię, moc trawy i wiatru.

W którym to agro ślimak na czole, komar w oku? Ślad po dłoni na twarzy. Fuj! Co za linia życia! Nagle łopot stawu. Pijany letnik rzucił kurę w niebo, w wodę. Mokra kura wariuje w rękach. Kilka piskląt opuszczonych. Trzepocze pod powieką dzisiejszy dzień. Idzie za mną staw z labędziem. Czulość wody. Pieści moje pisanie. Spod lasu purpurowe słońce, czerwone sarny. Wzburzony popiół z ogniska. Wypalone ogniskami kręgi. Nie pamiętam miejscowości, tylko siebie tam. Z kartką na kolanach, z wiejską chatą na plecach.

Na Porąbce widzę ogród z czarną trawą, śmierć wchodzącą na błękitne drzewo. Liści płacz. Ogród mój, nie mój, wieczność w faldach pnia. Rano z mgły. Z psów mgła czarna. Opróżniam blaszki ciemne do kryształowego dzbana. Mięszsz światel. Zostają tylko wiązki przewodzące. Cały ogród w koszu. Śmierć Janiny Łuckosiowej.

Ostrość rżyska w Wilkowicach. Twoje skóry, Ulo, moje nocną ściernią. Ciemność klaska jądrami. Kląb dwóch ciał coraz głębiej. Czuję w sobie ciężar samca. Mięso samicy nienazwanej. Łomot od tyłu nadzwyczajny. W podbrzuszu rzeka spermy. Czuję rozkosz kobiety. Płonie rżysko. Wreszcie jestem bestią w płomieniach. W tym ogniu doskonałość zwierząt. Zdzieram z siebie skórę. Z łbów naszych jakaś gwiazda. Natura w Kosmosie. Świt. Ziemia niebem. Moje zwierzę odpoczywa. Czekamy na Andromedę. Pęka w ślepiach dzień. Znowu ciemność na ściernisku. Rani deszcz. Czujemy góry coraz bliżej. Beskid piersią naszą. W sercach kryształ ze źródeł Białki.

Pojałem naturę w lasach Jutrosina i Szczyrku. Bóg podał mi rękę pod ziemią. Modłę się za chore drzewo. O zdrowie ptaków proszę. Całuję rzeźby z igliwia. Z tych widoków poukladam kiedyś inny pejzaż, inny świat. Nową żyjącą całość.

A teraz sfotografowane postacie bliskich. Zbyt wiele albumów. Z tysiąc twarzy, ciał, otwiera się w oknach. Wylosuję tylko dwie postaci serdeczne. Jednego mężczyznę i jedną kobietę. Niech przypadek decyduje, komu wejść do kości. Znajdę ich powiązania z Bogiem, z Kosmosem i ze mną. Przewróciłem w szufladzie ze skarpetami tysiąc karteczek. Nazwiska tych ważnych dla mojego świata. Trzaskałem w pracowni, zamykając i otwierając drewno w drewnie. Potem włożyłem dłoń między skarpety i wyjąłem trochę liternictwa – wuj Wincenty Szymtkowski, kiedyś zdolny aktor i Sarah Kaczmarek zdolna do wszystkiego. (Co za wyszukane imię do zwykłego nazwiska). Obydwoje z Poznania. Szymtkowski dawno w grobie, a Kaczmarek żywa. Życ będzie długo, albo za długo, ćwicząc i ćwicząc na siłowni piękną powłokę i kontemplując duszę. Poza tym seks, seks, fizyczność z duchowością. Fraktalność z seksu w triadzie.

Wickowi w dzień wystają z marmurowej płyty zdolności i zacość kome-dianta, natomiast po nocach gra Wincenty na cmentarzu wielu Hyde'ów, mężczyzn, za którymi szalały kiedyś prababki z Wielkopolski. Chodziły po Warcie i sześćdziesiąt osiem centymetrów nad Wartą z metrem krawieckim, aby zwrócić na siebie uwagę Szymtkowskiego. Wincenty-Hyde, prawdziwy

mężczyzna, zwierzę w zwierzęciu, z prośbą w pięściach, z chcią w kłach. Lecz na widok Bittnerówny zadzierał tylko motocykl i tak jechał dookoła opery, informując wielką primabalerinę o swoim wzwodzie.

Sarah, istota z innej planety. Zarejestrował ją w randkach nawigator czasu. Szuka tu na Ziemi esencji międzyplanetarnej. Na razie znalazła mnie, pisarza z Sosnowca, i udaje zadowoloną. Mamy to samo widmo, co zdarza się raz na ponad milion lat ziemskich. Wystarczający powód w wielu wymiarach. Chce teraz połączyć swoje doświadczenia seksualne, swoją tantryczność, z moją Nową Geometrią. Rozmiałdź Sarah od środka. Niech wie, że żyje na Ziemi. Chce ona w moich książkach posunąć interakcję „Słowo-obraz”. I mnie posuwać. Pchać, posuwając pisarza w rozwoju. Uzgodniła ze mną nagością badanie map mojej duszy. (Ale zaraz, gdzie ona schowała mi ducha i duszę, umysł z mądrością.) Mam tylko ciało. Reszta może w którymś z luster. Kaczmarek ma ich pięć razy więcej w swojej pracowni, sypialni, łazience niż ja. Dwadzieścia. Tak samo głębokie wariactwo Sarah i sreber. Lubi współżyć we wszystkich na raz. Kocha ruch, poszukując tego łączą z Ponad-Bogiem. Dla siebie i dla mnie. Zmienia strukturę materii, aby przynieść ducha z duszy do umysłu. Ona, Wolnomularka i do tego wolna.

Kołysze się ciemność światłość

Płynie masa

Nie ma mnie na moment wśród żywych

Jestem Tam

Jestem tutaj

Z powrotem

Moce umysłu nad głową

Na ich krawędziach wzmógłony ruch

Niech spierdalają trochę dalej. Niech jaźń nie doświadcza manipulacji. Niech moja dusza-sumienie zawsze stoi przy sztalugach i biurku. Niech pilnuje mężczyzną złego z natury.

Mój język wizjonerski

Mój penis bez polotu

Co za harmonia mistrza

Staję się z Kaczmarek jedną osobą ze wspólnym programem duchowości, niefizyczności.

Lustra Sarah już niepotrzebne, piję z nią nie wiem co. Uzależniony z uzależnioną. Pijąc, rezonujemy wspólnie z moim Orionis i jej Syriuszem.

W kole inkarnacji Pan domiesza mi w głowie.

Będę tam, na M45 równy Bogu, w sieci Tajemnicy. Z innym DNA na skutek transferu. Inny byt duchowości. A moje ciało? Może zaistnieje na Orionis bytem niefizycznym. Nie. Raczej zwariuję do końca, tu na Ziemi.

Jak dobrze w kwantowych sztukach kochania, w których wspólna wibracja atomów. Zdarzają się nowe pozycje i słowa nowe. Wszystko z serc i genitaliów. Żarzy się pode mną, nade mną, *Nowe* prozaika. Na ciele gorejący krąg.

Mój świat to przyroda, to kobiety. Kobiety-matki, kobiety-kochanki. Ale przede wszystkim praca-kreacja. W dzień biurko pod oknem, rząd sztalug poświęconych pod ścianą, mebli świętych. Komputer na noc.

Na rękach skrzydła

Mój świat otwarty

Maluję obłęd. Z czoła kropla żywicy damarowej. Rośnie szaleństwo, supła się w płaskorzeźbę. Rzeźba blisko. Szelest marmuru pod skórą. Opętanie do wyjęcia z ciała. Posąg ze słów krzyczy. Stawiam figurę przed lustrem, a zgiełk wyrazów na balkonach.

Przedem biurko. Długopis krwią. Ciężki od farby cynobru. Zeszyt biały, biała otchłań. Mój strach. W strachu jama z pisaną powieścią. Osuwa się dno, mrok nasączony grzechem.

Z biurka płomień, popiół z mebla, ze mnie. Lecz nadjaźń z Bogiem opowiada o pisarzu spod G2V. Mówi w gwiazdozbiorach, galaktykach.



Rys. Wojtek Łuka

Czy znów, jak przed laty, będą przyjeżdżać do Katowic sławne orkiestry symfoniczne?

Fot. Richard Schuster/mat. Prasowe



Filharmonicy Wiedeńscy

Powrót jaskółek do „raju utraconego”

Tradycyjnie w Nowym Roku, zapewne także i tym obecnym 2015, zagospodszą w naszych domach – oczywiście na ekranach telewizorów – Wiener Philharmoniker z koncertem noworocznym transmitowanym z wiedeńskiego Musikverein. W październiku mogliśmy wiedeńskich mistrzów oglądać „na żywo”, a jak się komuś udało to i przywitać się z nimi i pogratulować im. Do Katowic przyjechali na tzw. Festiwal Otwarcia (chodzi rzecz jasna o otwarcie nowej siedziby Narodowej Orkiestry Symfonicznej PR) i zasiedli na estradzie najmłodszej i równocześnie największej sali koncertowej w Polsce już trzeciego wieczoru po uroczystym koncercie inauguracyjnym zaprezentowanym przez gospodarzy obiektu.

Przedstawili prawie zupełnie u nas nieznaną dwiema pozycjami czeskie: *Pieśni biblijne op. 99 Antonina Dwořaka* i *II Symfonię c-moll „Asrael”* Josefa Suka, a także *Adagietto* z „*Raju utraconego*” Krzysztofa Pendereckiego. Niewykluczone, że tym zesta-

wem wiedeńczycy chcieli nam, a może nawet bardziej sobie, przypomnieć czasy świetności swego miasta, gdy większość mieszkańców monarchii habsburskiej stanowili Słowianie.

Solistką była wybitna czeska mezosopranistka Dagmar Pečková, a dyrygował Peter Schneider, który ma na swoim koncie m.in. występy w Bayreuth, monachijskiej Bayerische Staatsoper, nowojorskiej Metropolitan i Gran Theatre del Liceu w Barcelonie.

Prawda, że symfoniczna przeróbka *Pieśni biblijnych* Dwořaka brzmi znacznie efektywniej, niż ich oryginalna wersja na głos (alt lub baryton) i fortepian. Być może dziś, gdy już przyswoiliśmy sobie symfonie Mahlera i Brucknera, nadchodzi stosowny czas na późnoromantyczne kompozycje Suka, skoro bardziej w przód tradycyjna publiczność koncertowa jakoś nie chce się jeszcze „wychylać”. Niemniej program wiedeńczyków był adresowany nie tyle do stale uczestniczących w koncertach melomanów, co raczej

do muzykologów. Wszak trudno Adagietto Pendereckiego, nawet w tym zestawie, uznać za chwytliwy „kawałek” dla wszystkich. Tę rolę spełnił dopiero zagrany na bis 10 *Taniec słowiański* Dwořaka.

Dwa tygodnie później w tym samym wnętrzu wystąpiła London Symphony Orchestra uznana w rankingu magazynu Gramophone za jedną z pięciu najlepszych orkiestr świata. Angolicy genialnie zademonstrowali nam inne monumentalne dzieło późnoromantyczne – poemat Richarda Straussa „*Życie bohatera*”, też karkołomne dla wykonawców, ale dla słuchaczy, zwłaszcza tych obznajomych z poematami i operami Richarda Straussa jednak łatwiejsze w odbiorze niż Suk. I także otworzyli wieczór pozycją polską – X Symfonią Andrzeja Panufnika, z okazji setnej rocznicy urodzin twórcy. Na widowni obecna była żona kompozytora Lady Camilla Panufnik. A utwory te „tradycyjnie” przedzielał koncert instrumentalny – a-moll Roberta Schumanna, którego partię solową wykonał pianista Piotr Anderszewski. Właśnie podczas tego koncertu chyba najbardziej zachwyciła mnie akustyka nowej sali – wydawało się, że solista jedynie musnął klawiszem, a przecież jego pianissimo cudownie zabrzmiało w całej sali, a każdym razem takie miałem odczucie siedząc z boku, na tzw. antresoli. Koncertem dyrygował sławny maestro Sir Antonio Pappano, znakomity interpretator oper Pucciniego, co zresztą udowodnił bisem – intermezem z „*Manon Lescaut*”.

Dzień wcześniej w sali Filharmonii Śląskiej na koncercie z okazji jubileuszu 45-lecia pracy artystycznej dyrygenta Jerzego Salwarowskiego także zabrzmiał koncert Schumanna, też a-moll, ale wiolonczelowy – partię solową grał Tomasz Daroch. Ba, była jeszcze druga „wspólna cecha” obu wieczorów. Zarówno w „*Życiu bohatera*” Richarda Straussa, jak i w wykonanej przez filharmoników śląskich „*Szeherezadzie*” Rimskiego-Korsakowa istnieją wielkie, prawie solistyczne partie skrzypcowe grane przeważnie przez koncertmistrzów – w „*Życiu bohatera*” przez Romana Simovica, jak wynika ze spisu orkiestry, a w „*Szeherezadzie*” przez Adama Wagnera, który został uhonorowany w folderze programowym specjalnym biogramem.

Filharmonię Śląską przywołałem tu nie tylko, aby przypomnieć, że w Katowicach działają dwie wielkie orkiestry symfoniczne i że obie „weszły” w tym roku do swoich obiektów – Filharmonia do odnowionej generalnie i poszerzonej swej dawnej siedziby, a NOSPR do całkowicie nowej. Także dlatego, że w poprzedniej, jakże szarej gospodarczo rzeczywistości, właśnie w Filharmonii Śląskiej mieliśmy okazję podziwiać i oklaskiwać wielkie i sławne orkiestry zagraniczne. I to wcale nie tak rzadko.

Bodajże ostatnią z nich była goszcząca w listopadzie 1987 roku, przed 27 laty (!), Izraelska Orkiestra Filharmoniczna. Wieczór ów poprowadził długoletni szef zespołu, wielki Zubin Mehta, ten sam, który dyrygował legendarnym koncertem trzech tenorów w rzymskich Termach Karakalli z udziałem Plácida Domingo, José Carrerasa i Luciana Pavarottiego.

Interesującym szczegółem tego występu był fakt, że orkiestrę, a raczej słuchaczy pilnowali ochroniarze. Po bokach estrady stało dwóch rosyjskich chłopaków, co prawda nie z wycelowanymi w nas pepeszami, ale uważnie obserwujących, czy nie przyjdzie komuś do głowy wyciągnąć z kieszeni chusteczkę i nią wiwatować. No cóż, skoro zespół przyjechał do „dzikiego” kraju, odgradzonego od demokratycznej Europy prawdziwymi, szczelnymi granicami, targanego niepokojami społecznymi, na wszelki wypadek wolał się zabezpieczyć. Jako ciekawostkę dodajmy, że koncertmistrzem orkiestry był Josef Kaminsky, brat sławnej aktorki polsko-żydowskiej Idy Kamińskiej.

Druga połowa lat 80., gdy klimat polityczny już zaczął zwiastować zmiany, jakie miały nadejść za kilka lat, okazała się szczególnie owocna dla wizyt prestiżowych zespołów symfonicznych. W 1986 roku, w ramach Dni Kultury ówczesnej NRD wystąpiła w Katowicach Filharmonia Drezdeńska pod dyr. swego długoletniego szefa, znakomitego Herberta Kęgla. Dziś, gdy mamy dostęp praktycznie do wszystkich najbardziej znanych nagrań, interpretacje filharmoników drezdeńskich nie są już chyba aż tak poszukiwane, ale



Wielka Orkiestra Symfoniczna Radia Moskiewskiego.

w tamtych latach rejestracje te, wydawane na analogowych płytach firmy „Eterna”, stanowiły nie lada atrakcję. A było ich chyba więcej, niż „konkurencyjnej”, starszej i sławniejszej orkiestry drezdeńskiej – Staatskapelle.

W 1987 roku, obok filharmoników izraelskich gościliśmy także Małą (choć wcale nie była taka mała) Orkiestrę Symfoniczną ZSRR z Moskwy. Może nie był to specjalnie znany zespół, bo powstał zaledwie rok wcześniej, ale z góry wiedzieliśmy, że artyści rosyjscy muszą prezentować najwyższy poziom. Ówczesny impresariat radziecki nie ośmieliłby się wypuścić na tournée zagraniczne „kota w worku”. Także i ten koncert miał swoją ciekawostkę – 7 bisów, jak na wieczór symfoniczny zjawisko nader rzadkie. Czyżby muzycy moskiewscy pretendowali do księgi rekordów?

To było wiosną. A jesienią zawiatała do Katowic orkiestra ówczesnej Filharmonii Leningradzkiej – dzisiejsza Sankt-Petersburska Akademicka Filharmonia im. D. Szostakowicza. Najstarsza, bo założona jeszcze w XIX stuleciu i chyba najslawniejsza orkiestra rosyjska – z zespołem tym mocno związany był jej obecny patron Dymitr Szostakowicz. W Katowicach filharmonicy leningradzcy bawili czterokrotnie: w 1969 i 1977 r. pod batutą Aleksandra Dmitriewa, w 1983 r. ze znanym łotewskim dyrygentem Arvidem Jansonsem i w 1987 r. pod dyr. Siergieja Staldera.

Dziwne, ale żadna z tych wizyt nie odbyła się w ramach organizowanych przez Filharmonię Śląską w latach 1965–1984 sześciu Festiwalu Muzyki Rosyjskiej i Radzieckiej, na które przyjeżdżały orkiestry z tzw. bratnich państw socjalistycznych, przecież nie tej rangi, co Filharmonia Leningradzka. „Za to” na IV Festiwal, w 1976 r. zawiatał teatr z tejeż wierchuszki – Moskiewska Opera Kameralna z przedstawieniem „Nosa”, satyrycznej opery Dymitra Szostakowicza. To wielki spektakl, obsypany nagrodami i w jakimś sensie „obecny” w życiu muzyczno-teatralnym do dziś, skoro CD z jego nagraniem osiągalne są i w Rosji na krążkach „Melodii” i na Zachodzie w przedrukach firmy „BMG”. Z tą samą, co w Katowicach obsadą, tym samym wykonawcą roli głównej – basem Edwardem Akimowem, aczkolwiek z innym dyrygentem. W Katowicach operę poprowadził Władimir Agronski, a w nagraniu dyryguje nią szef muzyczny tej inscenizacji, legendarny Gennadij Rozdiestwienski.

Co nie znaczy byśmy w Katowicach nie oglądali Gennadija Rozdiestwienskiego. Przez Katowice przewinęło się w dawnych latach naprawdę wiele znakomitości. We wrześniu 1963 r. Rozdiestwienski dyrygował u nas koncertem Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Radia Moskiewskiego.

Gdy się przegląda kalendarium w księdze jubileuszowej „Filharmonia Śląska 1945–2005” z wrażenia zapiera dech. W drugiej połowie lat 50., chyba na fali popaździerni-

kowej odwilży najslawniejsze zespoły rozpoczęły „najazdy” na Katowice. Jesienią 1956 r. przyjechali Wiener Symphoniker (na Festiwalu Otwarcia NOSPR gościliśmy wiedeńskich filharmoników, wtedy odwiedzili nas symfonicy – to dwie różne orkiestry) i Państwowa Orkiestra Symfoniczna z Moskwy pod dyr. sławnego Konstantina Iwanowa, a rok później wspomniana już wyżej Filharmonia Drezdeńska. W 1957 r. przyjechała do nas po raz pierwszy, razem ze swoim szefem Kurtem Masurem, w latach 90. następcą Zubina Mehty na czele filharmoników nowojorskich.

I wreszcie dwa największe strzały, wspaniałe fajerwerki, dziś nie do uwierzenia. W 1957 koncertowała w Katowicach The Cleveland Orchestra pod dyr. George’a Szella a rok później Orkiestra Filadelfijska pod dyr. Eugene’a Ormandy’ego. Albo byliśmy wtedy, mimo braku wspaniałej sali koncertowej i odpowiednio dużej siedziby uczelni muzycznej, wielką metropolią muzyczną, albo też drugim, najważniejszym ośrodkiem w kraju, co przy odbudowującej się dopiero Warszawie jest poniekąd zrozumiałe. Ewa Pawlik-Żmudzińska z Instytucji Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” do dziś uważa, że były to wiekopomne wydarzenia. Zapamiętała też, że po występach obu wielkich amerykańskich orkiestr w gazetach pojawiły się polemiki między zwolennikami jednej i drugiej.

Napomknę jeszcze o przyjazdach Orkiestry Symfonicznej Radia i Telewizji z Budapesztu (1959), Filharmonii Słowackiej z Bratysławy (1960 i 1967), orkiestr z Pittsburga (1964) i Birmingham (1968), Państwowej Orkiestry Symfonicznej z Moskwy pod dyr. Maksyma Szostakowicza, syna Dymitra, Royal Liverpool Philharmonic Orchestra pod dyr. przesławnego Sir Charlesa Grovesa



Zubin Mehta na okładce płyty z II Symfonią Mahlera w wykonaniu filharmoników izraelskich, tej samej orkiestry, z którą gościł w Katowicach w 1987 r.

(1970), Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Radia Stuttgart (1972), The New Philharmonic Orchestra London (1973), Filharmonii Słoweńskiej z Lublany (1976) i Filharmonii Czeskiej z Pragi pod batutą znakomitego Václava Neumanna (1977). O ostrawianach wspomnę, że wpadali do nas częściej, „po sąsiedzku”.

Z czasem zaczęły wyprzedzać Śląsk inne ośrodki, a po transformacji ustrojowej chyba znaleźliśmy się na drugim planie; jeśli chodzi o przyjazdy dużych zespołów symfonicznych, nawet nie chyba, lecz na pewno. Brak ten nieco rekompensują, przynajmniej, organizowa-

ne przez Akademię Muzyczną międzynarodowe festiwale orkiestr studenckich.

W nowej rzeczywistości możemy się pochwalić bodajże jedynie wizytą w 1995 r. San Francisco Symphony Orchestra pod dyr. bardziej nam znanego, niż sam zespół, jego dyrygenta Herberta Blomstedta, wcześniej szefa drezdeńskiej Staatskapelle. Ale orkiestra z San Francisco nie miała przed 20 laty jeszcze tej światowej rangi, co zespoły z Cleveland, Filadelfii, Bostonu i Nowego Jorku, jak zauważył na łamach „Ruchu Muzycznego” nestor polskich krytyków Józef Kański w bardzo skądinąd pochwalnej re-

cenencji z koncertu, jaki Amerykanie dali w Warszawie, następnego dnia po katowickim wieczorze. Dzisiaj orkiestra ta, niedawno obsypana aż 8 nagrodami Grammy za cykl nagrań symfonii Mahlera już swoje miejsce na „górnym półce” znalazła.

Miejmy nadzieję, że obecne wizyty wiedeńczyków i londyńczyków, są „jaskółkami” zwiastującymi powrót dawnej filharmonicznej wiosny, tym razem w nieco innej, bardziej monumentalnej, NOSPR-owej scenerii. W kilkakrotnie tu przywoływanym 1987 roku podsumowując sezon koncertowy z żalem zauważyłem: „Śląska publiczność nie wyłamywała podwoi, aby usłyszeć występy dwu rewelacyjnych orkiestr zagranicznych: filharmoników drezdeńskich pod dyr. Herberta Kęgla i Małej Orkiestry Symfonicznej Związku Radzieckiego.” Swoim następcom zyczę, aby po kilku latach mieli wrażenia całkowicie odmienne i raczej zgłaszali pretensje do dzisiejszych decydentów za to, że ci postawili gmach z przyciasną widownią na... zaledwie 1800 miejsc. Ot, takie sobie marzenia staro recenzenta.



Wiener Symphoniker.

Fot. z archiwum Filharmonii Śląskiej

Fot. z archiwum Filharmonii Śląskiej

Pewnego jesiennego dnia wyruszyłem z moich Górek do Francji. Trochę daleko, ale trudno przez cały czas patrzeć na świat z Górek. Dobrze jest także spojrzeć z góry, choćby skrzydło z wielce zagadkowym urządzeniem – silnikiem – miało kawałek tego świata przesłonić na dwie godziny z okładem. Moim miejscem postoju przez kilka dni miało być podparyskie miasto St. Germain-En-Laye. Tu prosto z dworca wchodzi się w historię i nikogo nie trzeba pytać o drogę. Historia objawia się w postaci imponującego pałacu, który wielu królom nie tylko Francji służył jako forteca, wojenna zdobycz, letnia rezydencja, miejsce wygnania (Jakub II Stuart) i areszt (Henryk IV), a także jako miejsce narodzin. Obecnie muzeum archeologiczne departamentu Yvelines. Zaraz po przyjeździe pognało mnie jednak na targ, gdzie obok stawy w wąskim znaczeniu tego słowa, można zaopatrzyć się w nieco archaiczne egzemplarze stawy duchowej. Jeden z nich zwrócił moją szczególną uwagę: „*Henri IV – itineraire d'enfance, de gloire et d'amour*” (Henryk VI – ścieżki dzieciństwa, chwały i miłości) pióra Christiana Desplat; niezwykle interesująco i oryginalnie ujęta historia życia tego francuskiego monarchy. Przy okazji: obraz króla w niej zawarty ma się raczej nijak do wizerunku przedstawionego w niezłym skądinąd filmie „Królowa Margot”: w filmie widzimy zagubionego przybysza z zabitej deski Nawarry, bezwolnego, zależniowego, zdanego na łaskę rozwiązłej małżonki, który na tron trafił przypadkiem. Z książki wзира postać wybitnego wojownika, przewidującego polityka, niezłego lawiranta i pragmatyka, który z wodza hugenotów przeobraził się („Paryż wart jest mszy”) w wystarczająco katolickiego króla, za panowania którego poziom życia Francuzów podniósł się tak, iż wiele narodów Europy mogło im pozazdrościć.

Tyle historii. Współczesność to koncert, którego miałem okazję wysłuchać; koncert dla mnie szczególnie interesujący, jako że wykonawcami byli francuskojęzycznie artyści z Luizjany, tzw. Cajuns, oraz z Québecu. Richard De Jardin to śpiewający poeta z Montrealu, autor wspaniałych tekstów i wierszy, które deklamował tamtego wieczoru. Wiele miejsca w jego twórczości zajmuje wątek odrębności kulturowej kanadyjskich frankofonów. Podobnie jak dwujęzyczny Zachary Richard, potomek francuskich osadników z okolic Nowego Orleanu, który świetnie wypadł w typowo rockowym i folkowym repertuarze, jak również w nostalgicznych balladach, w których pojawiała się postać Jacquesa Cartiera, legendarnego eksploratora Kanady. Niewątpliwie na sali unosił się duch separatyzmu. Jak widać nie tylko w Europie mniejsze wspól-

Z moich Górek
WITOLD TURANT

Ścieżkami dzieciństwa, chwały i miłości (pewnego monarchy)

noty etniczno-językowe upominają się o swoje miejsce.

Najcenniejsze jednak odkrycie, moje osobiste, bowiem wielu innych, z impresjonistami na czele, odkryło te miejsca już dawno, to miejscowości położone na brzegach Sekwany, takie jak Conflans, Triel czy Villennes, malownicze, z tarasowo wznoszącymi się domkami, bardzo starymi kościołami, jak ten pod wezwaniem św. Honoryny i wieżami z czasów, kiedy Karol Prostack układał się z Normanami w sprawie obrony Paryża przed ich pobratymcami z dalszej Północy. Ci Normanowie, przybysze ze Skandynawii, wikingowie, sporo namieszały w historii nie tylko Francji, Anglii, ale jeszcze kilku krajów. Nauczycieli się francuskiego i trochę zapomnieli o swoich korzeniach. Nie na tyle jednak, by usiedzieć w miejscu. Wyruszyli najpierw na Zachód i podbili tę wyspę po drugiej stronie kanału, a potem spojrzeli na Południe, uwalniając od Saracenów Kalabrię i Sycylię, gdzie założyli dynastię, a gdy i tego było im mało, ruszyli do Ziemi Świętej i także założyli dynastię, choć na krótko, bo niespełna dwieście lat. Potomkowie tamtych Normanów panują do dziś w Belgii. A wszystko to miało swój początek w posiadłości hrabiów d'Hauteville, nieco dalej na zachód od miejsca, do którego udało mi się dotrzeć. W drodze powrotnej, oczywiście mojej, nie hrabiów d'Hauteville, gorąca czekolada przed bistro w rynku Vil-

lennes. Po drugiej stronie ulicy dziwny kościół z XII w. dziwny, bo asymetryczny. Posiadający również dramatyczną historię: uległ poważnym zniszczeniom podczas wojny stuletniej, która była także wynikiem dynastycznych roszczeń tych Normanów, którzy udali się na podbój Anglii, a w każdym razie ich potomków. Warto wiedzieć, iż podczas tamtej wojny dotarli aż do St. Germain, skąd mogli dostrzec rogatki Paryża, i pozostali tam przez dwadzieścia lat. Co ciekawe, to miasto zamieszkuje dziś największa we Francji liczba tzw. expatów, czyli Anglików żyjących poza ojczyzną. W lokalnym pubie wieczorem słychać często tzw. *franglais*, czyli francuski w brytyjskim wykonaniu. Warto wspomnieć, że ostatnim angielskim monarchą używającym tytułu króla Francji był Jerzy III (do roku 1802). Polskie akcenty? Proszę bardzo: jedna z głównych ulic nosi nazwę Rue de Pologne i jeden z większych parkingów w mieście także nazywa się Pologne; sąsiednia miejscowość to Maisons-Lafitte, nazwa nieobca każdemu wykształconemu Polakowi. A o trzydzieści kilometrów stąd w teatrze Mogador musicalowa wersja „Balu wampirów” w autorskiej realizacji Romana Polańskiego. *Ça suffit?*

Celem kolejnej wyprawy był pałac w Fontainebleau. Kolejna wspaniała rezydencja królewska i kolejne rozdziały historii. Tu pozostawili trwałe ślady najwięksi artyści renesansu, m. in. Cellini i sam Leonardo da Vinci. Wokół pałacu park i ogrody, dzieło m.in. Le Nôtre'a i Molleta. Szkoda tylko, że taka ulewa. Jedyne gigantycznym karpion w parkowej sadzawce wydawała się nie przeszkadzać. Może są trochę rozczarowane skromną liczbą potencjalnych karmicielei; kilkoro zawziętych Japończyków i my. Potem powrót zatłoczoną autostradą, w porównaniu z którą jazda gierkówką to przechadzka przedszkolaków. Tyle że nawierzchnia jakby nieco lepsza.

Przyjemnie w grudniowy wieczór wspominać małą jesienną wyprawę i wrócić do tych miejsc oglądając zdjęcia. Można zaplanować kolejną, do innych miejsc, by poznać inne historie. Jest ich wiele, także w mojej okolicy. Trzeba tylko uważnie patrzeć. Prawdą jest, iż wielu rzeczy, mając je na co dzień, nie dostrzegamy. Taka wyprawa w odległą geograficznie historię znakomicie wyostrza wzrok.

W Górkach mogłem sobie o St. Germain i tamtejszych dziejach poczytać, ale zobaczyć i usłyszeć – tylko tam. A więc jest tak jak podejrzewałem – świat nie kończy się za horyzontem widzianym z mojego domu. Wydaje mi się, że dobrze mieć zawsze coś do odkrycia. Dobrze oderwać się od jazgotu swoich mediów i polityki. Tamtejszego jazgotu, będąc obcym, po prostu się nie słyszy.



Apollo z wieńcem wawrzynu, centralna scena malowidła, fragment polichromii Karla Dennera.

Tryumf Apollina

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Na planie Katowic, posesja dawnego Królewskiego Gimnazjum Klasycznego zajmuje prostokątną parcelę u zbiegu dzisiejszych ulic: Mickiewicza i Słowackiego. Od października 1900 roku góruje nad nią budowla w stylu niemieckiego renesansu. Była jeszcze w budowie, gdy w Paryżu oddawano do użytku ostatnie pomieszczenia nowych gmachów Sorbony a wśród nich słynną aulę z amfiteatrem i malowidłami Pierre Puvis de Chavannes'a.

Za projekt nowoczesnego budynku, architekt inż. Max Grünfeld, otrzymał cesarski „Order korony”. Był absolwentem katowickiego gimnazjum klasycznego, które ukończył w roku 1884. Miało renome jednego z najlepszych w prowincji śląskiej. W mieście, przez pół stulecia było jedyną szkołą tego typu.

Nowy gmach projektował ze szczególnym sentymentem. W starym (przy obecnej ulicy 3 Maja) kształcił się przez 9 lat. Gdy po ukończeniu Wyższej Szkoły Technicznej w Charlottenburgu, wrócił do Katowic, w jego gimnazjum wciąż nauczali profesorowie – Ernst Müller i Georg Hoffmann. Zawsze czuł się wychowankiem tych dwu filologów, którzy zaszczepili w nim upodobanie do kultury Greków i Rzymian.

Reprezentacyjna fasada nowego budynku znajdowała się vis a vis Synagogi Wielkiej Reformowanej – skupiającej wyznawców judaizmu postępowego, zaprojektowanej w tym samym czasie i na rajzbretach Maxa Grünfelda. Mury obydwu obiektów zwracały się do siebie frontonami. Upodobniał je charakterystyczny półkolisty łuk sklepiający ich okna i drzwi a jeszcze dobitniej monumentalne wielobarwne rozety. Bliźniaczo podobne – tworzyły oryginalny tandem.

Od strony wschodniej do gimnazjum prowadził portal z trzema półkoliście sklepieniami wejściami a nadto na tej właśnie ścianie, oświetlanej promieniami porannego słońca, w partii budynku nauczycielskiego znalazł się okazały kartusz z herbem Kato-

wic podpierający jeszcze większą wielobarwną rozetę ze skłanym witrażem. Wspólnie z herbem miasta stanowi najbardziej rozpoznawalny atrybut tego obiektu i jeden z ciekawszych przykładów niemieckiej architektury przelomu tamtych stuleci.

W abrysie Grünfelda półkolisty łuk i rozeta – symbole życiowej ekspansji wieńczą okna gimnazjum a także elewację z reprezentacyjnym trójarkadowym portalem, przypominającym majestatyczne pięcioarkadowe wejście do gmachu Nowej Sorbony w Paryżu albo łuki tryumfalne z czasów cesarstwa rzymskiego. W Europie było wtedy modne kreowanie nowoczesnych budowli z wielkimi, ściennymi malowidłami a szczególną popularnością cieszyły się panoramy o tematyce historycznej, batalistycznej i religijnej. Katowice – powiatowe miasteczko z ambicjami – nie chciało pozostawać w tyle!

Aula

Na poziomie drugiego piętra, za magicznym witrażem z rozetą, naturalne światło zamieniającym w pastelowe refleksy, inż. Grünfeld zaprojektował dwukondygnacyjną aulę, w której od ponad stu lat odbywają się najważniejsze uroczystości: szkolne i państwowe jubileusze a także egzaminy maturalne. Sklepienia na wysokości ponad 7 metrów, dysponują powierzchnią około 300 m kwadratowych.

Dzisiaj supraporty nad jej szerokimi wejściami zdobią medaliony z portretami polskich

wieszczów: Mickiewicza i Słowackiego. Poprzednio ich miejsca zajmowały popiersia Goethego i Schillera a na zachodniej ścianie bez okien, na wprost różnokolorowego witrażu uformowanego na wzór renesansowej różycy, prócz płaskorzeźby prusko-brandenburskiego czarnego orła ze szkarłatnym dziobem wisiały słusznej wielkości portrety trzech cesarzy: Wilhelma I, jego następcy Fryderyka III oraz Wilhelma II. Oprawione w grube ramy godne imperatorskiego majestatu, zostały tu przeniesione z budynku dawnego gimnazjum przy Grundmannstrasse (obecnie: 3 Maja). Ich fundatorem był jeden z najbogatszych ludzi miasta, senior i honorowy obywatel Katowic, żydowski bankier i przemysłowiec Eliaz Sachs, przez szereg lat pełniący funkcję gimnazjalnego kuratora. Popiersia poetów podarował jego rodak, kupiec Heimann Frölich, syn legendarnego arendarza i patriarchy katowickich Izraelitów. Dla szkoły i synagogi zawsze mieli wielki szacunek. W ich tradycji, jedna i druga uchodziła za dom nauki.

Wysoką aulę koronują bogato zdobione fryzy z motywami roślinnymi i geometrycznymi wzorowane na porządkach architektonicznych starożytnej Grecji. Podpiera je pseudokolumnada ośmiu pilastrów symetrycznie rozmieszczonych na przeciwległych ścianach. Każde z czterech, wysmukłych okien podzielonych pionowymi laskowaniami wieńczy kolisty maswerk wypełniony witrażem z kolorowych szyb zwanych szkłem antycznym. Wpadające przez nie światło pogłębia uroczysty nastrój tajemnic wiedzy i sekretów nauki. Całość zadziwia bogactwem i kunsztem sztukaterii. Drewniane sklepienie, w kształcie półkolebki pokrytej zaprawą i gipsaturą, przypomina refektarze i kapitułarze dawnych klasztorów a jednostronny układ głównych okien i dekoracje malarskie – XVIII-wieczne pałacowe galerie, w których odbywały się uroczyste przyjęcia, audyencje i występy artystyczne. Na renesansową modłę wymodelowany pułap zdobi – olejno malowany – alegoryczny plafon o tematyce dydaktyczno-obyczajowej.

Nowela pędzlem malowana

Głównym bohaterem szkolnego teatru historycznego, centralnie, na powierzchni 30 metrów kwadratowych, zdobiącego sufit gimnazjalnej auli jest mitologiczny Apollo – władca Helikonu, bóg Słońca i światła niosącego wiedzę, patron nauki i sztuki. Wieszczykom udzielał daru prorokowania a śpiewakom talentów wokalnych i muzycznych. Grecy nazywali go Febusem – utożsamiali z Heliosem. Wierzyli, że leczy choroby ciała i duszy. Byli przekonani, że wszystko widzi i słyszy. Wśród jego atrybutów ukazywali: lirę, łuk i wieniec z liści wawrzynu.

„Dobry Apollo, u kresowej próby

Zrób mię naczyniem swej mocy i łaski.

Abym wysłużył wawrzyn tobie lubyl!” – w „Boskiej komedii” zapisał Dante Alighieri wspinający się ku bramom niebiańskiego raju.

W intencji pedagogów malarska przypowieść z Apollinem miała pełnić funkcję swego rodzaju pendant harmonijnie i obrazowo dopełniający program ideowo-wychowawczy tutejszego gimnazjum. Podczas uroczystej inauguracji zajęć w nowym gmachu, której towarzyszyło odsłonięcie polichromii, dr Ernst Müller, ówczesny dyrektor gimnazjum podkreślał, że celem tej szkoły jest kształcenie „w duchu pruskim i niemieckim”, jej uczniowie mają „pielęgnować i rozwijać chlubne tradycje ojców”, mogą to osiągnąć poprzez „poznanie klasycznej starożytności, a przez nią głębsze

wniknięcie w literaturę i historię własnego narodu.”

Gdy śpiewano państwowotwórcze „Heil Dir im Siegerkranz” („Chwała Ci, w wieńcu tryumfatora”) dyrektor Müller, jego zastępca Hoffmann i kilku srebrnowłosych pedagogów z nabożną czcią wpatrywało się w blask bijący od laurowej girlandy zajmującej centralne miejsce na plafonie. Dla nich był to symbol zwycięstwa zdobiący skronie pruskich Hohenzollernów. W marzeniach gimnazjalistów podobnie jak generałska buława z żołnierskiego tornistra, ten sam wawrzyn uchodził za nagrodę oczekującą każdego absolwenta opuszczającego progi tej szkoły.

Katowicki Apollo, u Rzymian noszący przydomek Sol Invictus, tak jak Helios lub Febus, w świetlistej aureoli, z nieodłączną lirą, w czerwonej rozwianej eksomidzie używanej przez mieszkańców antycznej Hellady, z wieńcem laurowym w dłoni wyciągniętej w tryumfalnym pozdrowieniu – stoi w otoczeniu czterech mitycznych rumaków wynurzających się z chmur skąpanych w promieniach słońca. Wzrok kieruje w stronę tajemniczej, niezidentyfikowanej grupy postaci płynących w podniebnym obłoku.

Poniżej, nad ziemskim padolem, wśród ptaków, listowia i kwiatów krąży bóstwo mitycznego Parnasa a obok, putta z atrybutami apolliniskich Muz – mieszkanki zielonych łąk, pól, winnic i ogrodów.

Skrajem arkadyjskiego krajobrazu kroczy Hermes, posłaniec i jeden z 12 olimpijskich bogów. Tuż nad nim, niczym dobry duch unosi się kobieta z chustą w dłoni. To jego matka Maja, matka ziemi, bogini rozrostu. Jej syn niesie słup telegraficzny z baterią izolatorów symbolizującą potęgę nowego, rozpoczynającego się XX wieku, lansowanego jako stulecie elektryfikacji i telekomunikacji. Jak na patrona lokomocji i podróżników przystało występuje z kołem starodawnego powozu. Aż pod jego uskrzydłone stopy, z wysokości rydwanu boskiego Febusa, szerokim strumieniem spływa feston upleciony z zielonych liści wawrzynu. To szczególne wyróżnienie dla dobroczyńcy ludzkości, która w darze otrzymuje magiczne światło przemieniane w moc maszyn i dźwięk telefoniczny.

Nieco wyżej pośród stada szybujących ku ziemi jaskółek, w kierunku słonecznego obłoku Apollina unoszą się skrzydlate putta – jedno z płonącą pochodnią a drugie ze słuchawkami telefonicznymi Grahama Bella. To jeszcze jeden rekwizyt przypominający tryumfy inżynierii XX stulecia a na Śląsku instalację pierwszych elektrowni i central telefonicznych.

Opodal, przy kilku marmurowych schodkach symbolizujących kolejne stopnie szkolnego wtajemniczenia, gromadka dzieci skupia się wokół kobiecej postaci eksponującej globus. W dłoniach trzymają cyrkiel, zwoje papieru i książki. Tuż obok, tak jakby z rogu obfitości wysypują się liście i kwiaty a wśród nich lutnia. Jeden z półnagich chłopców podtrzymuje otwartą księgę do której zerkła niewiasta w powłóczyznych szatach. Może to Polihymnia – patronka śpiewaków i poetów.

Jej sąsiadka wodząca palcem po globusie, to zapewne Urania, powszechnie znana Muza Astronomii, która w poetyckich interpretacjach dawniejszych stuleci, występowała jako ucieleśnienie chrześcijańskiej mądrości. Pokrewna jej – Venus Urania, zwana boską (divina) i czystą (casta) oznaczała „miłość ku rzeczom niebieskim” i studium a w wykładni teologicznej określała wprost amor Dei (miłość Boga), „miłość duchową”. Jej legenda była dopełnieniem złotego mitu Apollina.

„Cyrklem uniesień duch”

Przez dziesiątki lat w murach tego gimnazjum kształcili się wyłącznie chłopcy i młodzi mężczyźni. Z upodobaniem czytali „Ars amatoria” Owidiusza a szczególnie te fragmenty, które nie należały do lektury obowiązkowej. Nie znajdujące aplauzu pedagogów strofy antycznego podręcznika sztuki kochania były im bliskie jak burszowska piosenka:

Kiedy tak śpiewałem – nagle
zobaczyłem Apollona
w wieńcu laurów... Słodko brzmiała
złotej harfy pieśń natchniona.

I powiedział wieszczo Febus:
Owidiuszu, piewco drogi,
mistrzu w sztuce miłowania,
wniźdź w świątyni mojej progi.
Na jej wrotach ujrzysz napis:

„Znaj sam siebie” – niechaj rzesza
uczniów twoich i wyznawców
do świątyni tej pospiesza.

Albowiem jedynie tego,
który zna siebie samego,
rozumne przewidywania
w miłości od zgrzytot strzegą.

Mierzy zamiary na siły,
nie zaś siły na zamiary.

Wyzyskuje wszelkie środki
do usidlenia ofiary.

Niech z tego mądrze skorzysta,
jeżeli ma piękne lica.

Niechaj śpiewa jak najwięcej,
jeśli śpiewem swym zachwyca.

Niech pije – jeśli jest z niego
sympatyczny pijanica...

Nieco inne echa pobrzmiewają w hymnie współczesnego nam liceum ogólnokształcącego, sukcesora dawnych gimnazjalnych tradycji. Licealiści śpiewają „Pieśń Filaretów” czyli „Pieśń miłośników enoty” napisaną przez ich patrona Adama Mickiewicza. Również i w jej strofach odnajdujemy swego rodzaju didaskalia do alegorycznego malowidła nad szkolną aulą:

„Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siły na zamiary,
Nie zamiar podług sił.
Bo gdzie się serca pała,
Cyrklem uniesień duch,
Dobro powszechne skala,
Jedność większa od dwóch.”

Zapomniani i nieznanymi

Przed 1922 rokiem, gdy Katowice znajdowały się w granicach rzeszy niemieckiej, plafon na sklepieniu gimnazjalnej auli był znany pod nazwą „Triumph der Wissenschaft” („Tryumf Wiedzy”), w Polsce przyłgnęło do niego określenie: „apoteoza nauki i techniki”. Choć pod dostojnym paneau, przez ponad 100 lat maturalne wypracowania napisało ponad 3 tysiące abiturientów, to nawet i dla nich pozostało dziełem zapoznanym. Dziś to rarytas przykuwający uwagę koneserów i miłośników starych polichromii. To plejada symbolicznych postaci i mitologicznych alegorii – wspaniała historyczno-artystyczna łamigłówka dla erudytów, miłośników kultury antycznej a ze względu na sposób narracji, także dla fanów współczesnego malarstwa komiksowego. Należy do kompozycji w secesyjnym guście. Nie rezygnuje jednak z metafory i poetyki, której nie powstydziłoby się postromantyczny mistrzowni symbolizmu. Została namalowana w czasach fin de siecle’u, ostatnim półro-

czu XIX wieku, jako sztandarowa dekoracja budynku gimnazjum klasycznego oddanego do użytku na krawędzi epok i stuleci.

Jej autorem jest śląski artysta specjalizujący się w malarstwie portretowym, dekoracyjnym i pejzażowym Carl Denner (1856 – 1935?). Mieszkał we Wrocławiu przy nieistniejącej już ulicy Moritzstrasse, doszczętnie zburzonej i spalonej przez hitlerowców wiosną 1945 roku. Tam, pod numerem 19 miał własną kamienicę, a w oficynie pracownię, w której namalował centralną scenę polichromii przedstawiającą Apollina i jego rumaki.

Poetyką i formą przypomina kilka lat wcześniej namalowany „Święty Gaj” francuskiego symbolisty Pierre Puvis de Chavannes’a, od 1895 roku zdobiący wielką aulę paryskiej Sorbony.

Czy był natchnieniem dla Dennera?

A może on tak jak i paryski artysta został zainspirowany przez Rafaela Santi i jego wspaniałą „Parnassus” z watykańskiej „Stanza Della Segnatura”.

Wszyscy trzej wpisali się w wielowiekową tradycję legendy Apollina niosącego światło wiedzy i zjednującego sympatię dla tego co mądre, dobre i piękne.

Po zrealizowaniu katowickiego zlecenia, Denner rozpoczął kolejne projektując i wykonując dekorację w auli Królewskiego Gimnazjum w Oleśnicy. Tutaj, pod gzymsem wieńczącym jej ściany umieścił kartusze z herbami 35 miast śląskich spowite w ornament złożony z zielonych liści dębu i białych róż. W kilka lat później, spod jego ręki wyszedł akwarelowy portret „Fechterbrunner” („Fontanny Sziermierz”) ukazujący spizowaną rzeźbę nagiego studenta z dawnego dziedzińca Uniwersytetu Wrocławskiego. Jego prace jako reprodukcje przetrwały na kartach pocztowych.

Do historii przeszedł jako autor pięknej wedy z „Mostem Cesarskim” (obecnie Grunwaldzkim) łączącym brzegi Odry we Wrocławiu – dawniej stolicy prowincji Śląskiej, wtedy zajmującej rozległe obszary pomiędzy Brynicą a Nysą Łużycką. Jako arcydzieło mostownictwa i techniki był zaliczany do szczytowych osiągnięć niemieckiej inżynierii. W 1910 roku, wielobarwny gwasz eksponujący wielkość i potęgę monumentalnej konstrukcji, porównywanej do paryskiej Wieży Eiffla, trafił na światową Wystawę w Brukseli. Dziś ta praca jest perełką pinakoteki wrocławskiego Muzeum Architektury.

O kartonach, projektach lub szkicach do katowickiego „Tryumfu wiedzy” nie mamy żadnych wiadomości. Denner nie pozostawił wskazówek umożliwiających identyfikację postaci przedstawionych w scenach alegorycznej polichromii. Najwybitniejszym znawcą jej sekretów pozostaje Adrian Poloczek, dyplomowany artysta konserwator dzieł sztuki współprowadzący specjalistyczną firmę konserwacji zabytków. Podczas prac zrealizowanych w przeddzień stulecia narodzin „Tryumfu wiedzy” odsłonił fragmenty pierwotnego malowidła, przez dziesiątki lat ukryte pod warstwą olejnej farby imitującej szare chmury na niebie. Zrekonstruował, zniszczone w czasie I wojny światowej, kute w spiżu kandelabry. Zidentyfikował niemal wszystkich bohaterów i rekwizytorium obrazu Dennera. Dzięki niemu dowiedzieliśmy się, że scena centralna (podobnie jak „Święty Gaj” w amfiteatrze Sorbony) została namalowana w technice olejnej na płótnie przyklejonym bezpośrednio do podłoża, a pozostałe fragmenty kompozycji – za pomocą szablonów, z imitacją folii złotych zwanych szlagmetalem.



Jeszcze nie tak dawno spacer wzdłuż odkrytego koryta Rawy w katowickim śródmieściu nie mieścił się w przysłowiowej głowie. Dziś zmieniający się pejzaż w przestrzeni tej rzeki, z jej bulwarami, nowym obliczem campusu uniwersyteckiego i odradzającą się przyrodą, zaczyna zaciekawiać, intrygować i zachwycać. Także za sprawą alei polskich drzew, które naprawdę „ruszyły” w drogę...

Przed dwoma laty, podczas dziesiątej edycji „Święta Drzewa” w obrębie modernistycznego Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Ekonomicznego posadzono klon polny, umieszczono też zagadkową dla wielu, kłodę martwego drzewa. Te symboliczne wydarzenia były zaczątkiem tworzenia niezwykłej edukacyjnej ścieżki ekologicznej, wytyczonej aleją drzew polskich pomiędzy dwiema uczelniami.

Jej pomysł zrodził się dzięki współpracy Stowarzyszenia Ekologiczno-Kulturalnego Klub Gaja z uniwersyteckim Centrum Studiów nad Człowiekiem i Środowiskiem oraz Wydziałem Biologii i Ochrony Środowiska.

W opinii dr. hab. Mirosława Nakoniecznego, prorektora Uniwersytetu Śląskiego, ds. umiędzynarodowienia, współpracy z otoczeniem i promocji, od lat związanego z Centrum Studiów..., zamysł ten mieścił się w misji uczelni. Chcieliśmy dać miastu, mieszańcom Śląska, coś więcej niż tylko aleję spacerową, wpisaną w przestrzeń kampusu nad Rawą. Również zwrócić uwagę na piękno rodzimych gatunków drzew i ich znaczenie. Dla ludzi, przyrody, ochrony klimatu. Nie zamierzamy poprzestać na jednej ścieżce pomiędzy Uniwersytetem Śląskim i Uniwersytetem Ekonomicznym w centrum Katowic. Będziemy zachęcać inne uczelnie, by poszły naszym śladem, mówili podczas otwarcia ścieżki edukacyjnej

Drzewa ruszyły w drogę

„Aleja drzew polskich” dr hab. M. Nakonieczny. Dodał równocześnie, że ten projekt mógł powstać tylko przy wsparciu partnerów uczelni. Wśród nich jest Urząd Miasta Katowice, Nadleśnictwo Katowice, LC Corp. i Klub Gaja oraz Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, który pokrył w 80 proc. jego koszty.

Dziekani w akcji

Kluczem do powodzenia tego pomysłu było zaangażowanie wszystkich, dwunastu uniwersyteckich wydziałów. Ich dziekani nie zawiedli. Posadzili w ub. roku 12 drzew z bogatej palety polskiej flory. Wiązało się to z opisami podopiecznych drzew, wykorzystaniem i zastosowaniem drewna. Oczywiście językiem i z punktu widzenia poszczególnych dziedzin nauki. Widnieją one na tablicy u wlotu ścieżki oraz w specjalnym wydawnictwie, opracowanym przy współudziale Działu Promocji i Informacji UŚ.

Miejska ścieżka edukacyjna „Aleja drzew polskich” została otwarta podczas inauguracji 12 edycji „Święta Drzewa” – programu Klubu Gaja, 24 października br. Jego przesłaniem była ochrona klimatu.

Każdy mógł to zauważyć, gdy uczniowie zawieszali na „wydziałowych” drzewach alei, wykonane z materiałów z odzysku, kolorowe liście z hasłem („Każdy

liść pochłania dwutlenek węgla”) i kodem, umożliwiającym połączenie się ze stroną www.chronklimat.pl, na której można znaleźć odpowiedź – w jaki sposób?

Dlaczego jest to ważne?

Drzewa są niezastąpione. Produkują tlen i pochłaniają dwutlenek węgla, który niszczy klimat i życie na Ziemi. Mimo to, każdego roku znika z powierzchni naszej planety kilkanaście milionów hektarów lasów. Wycinane są drzewa, niszczone zielone połacie na terenach zurbanizowanych.

Katowice i tak mają szczęście. Są jednym z najbardziej zielonych miast w kraju. Z wdzięcznością to lasom, które pokrywają ponad połowę ich powierzchni. Dlatego w tworzeniu uniwersyteckiej alei drzew nie mogło zabraknąć Nadleśnictwa Katowice. Rośnie w nim aż czterdzieści gatunków drzew rodzimych. Po przebudowie lasów, przeważają te odporniejsze – liściaste. Jak rodzime lipy, graby i wiąz, buki, jesiony oraz dęby. Między innymi i te gatunki posadzono w „Alei drzew polskich”.

Autorami jej koncepcji są: mocno zaangażowana w projekt dr hab. Agnieszka Babczyńska oraz dr hab. Mirosław Nakonieczny. Oboje z Centrum Studiów nad Człowiekiem i Środowiskiem. Wybór optymalnych drzew na ścieżkę oraz ich merytoryczne opisy były zadaniem dr. hab. Adama Rostańskiego z Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska.

Na ścieżce

Już rośnie na niej: klon polny, klon jałowor i klon pospolity. Dalej grab pospolity, dąb szypułkowy, wiąz górski, jarząb pospolity i wierzba iwa. Nieco dalej brzoza brodawkowata, jesion wyniosły, buk pospolity, lipa drobnolistna i lipa szerokolistna. Wybór tych 13 drzew, tak uzasadnia dr hab. A. Rostański: „dobór gatunków do nasadzeń w miastach nie może być dowolny. Zanieczyszczone środowisko miejskie im nie sprzyja. Wręcz zabójcze są dla nich upały, susze czy mocno zanieczyszczone powietrze. Dlatego nierzadko w miastach można zauważyć gatunki drzew egzotycznych, które nie zawsze sprawdzają się w naszym klimacie.

Ideą stworzenia alei drzew, od początku przyświecał ich związek z regionem, krajem, nauką. Zwłaszcza że mamy z czego wybierać. Gama gatunków polskiej flory jest bardzo bogata, a pięknych drzew nie brakuje. Jest jeszcze jeden ważny szczegół, dotyczący ich doboru na terenach zurbanizowanych. Nie mogą to być sadzonki drzew, pobranych z ich naturalnego środowiska, lecz odmiany hodowlane, przystosowane do życia w aglomeracjach. Tylko takie mają szansę trwać w zanieczyszczonym środowisku”.

Drzewa w uniwersyteckiej alei wystartowały z szansą na rozwój. Mają swoich opiekunów – naukowców z 12 wydziałów UŚ, którzy poznali je z bliska, pokochali, docenili ich pełną wartość i znaczenie nie



Uroczystość otwarcia ścieżki dydaktycznej na Uniwersytecie Śląskim

tylko dla ochrony klimatu. I stworzyli, dzięki ponadwydziałowej współpracy, niezwykle kompendium wiedzy na temat drewna, historii jego wykorzystywania i tysięcy sposobów zastosowania.

Ta wiedza wzbudza zaciekawienie. Opis pod szyldem klonu polnego, podopiecznego Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej przypomina, że drewno to surowiec, z którym nierozzerwalnie wiąże się historia i kultura książki, rozwój sztuki drukarskiej, ewolucja procesu komunikacji społecznej.

Już w 1665 roku z użyciem prostego mikroskopu Robert Hooke odkrył „komórki” w korku okrywającym drewno. Dopiero jednak w latach 20. XX wieku amerykański astronom A.E. Douglass opracował podstawy stosowanej do dziś dendrochronologii do analizy np. zmian w ekosystemach... Tę wiedzę przybliżył nam Wydział Biologii i Ochrony Środowiska, opiekujący się długowiecznym z natury, klonem jaworem.

Z kolei Wydział Nauk o Ziemi (przypisano mu piękną brzozę brodawkowatą) przywołał w swoim opisie Leonarda da Vinci, który zwrócił uwagę na związek rocznych przyrostów drzew z warunkami pogodowymi. Dziś informacje zapisane w nich są istotnym elementem dyskusji nad współczesnymi zmianami klimatu.

Naukowcy z Wydziału Prawa i Administracji przyznali: żadna z polskich ustaw nie definiuje pojęcia „drewno” czy „drzewo”, a jedynie pojęcie „zadrzewienia”. Ale opiekę nad klonem pospolitym przyjęli ochoczo.

Wydział Etnologii i Nauk o Edukacji w Cieszynie, któremu trafił się grab pospolity, w opisie drewna z perspektywy antropologicznej zwrócił uwagę na jego element żeński. Związane jest ono przecież z narodzinami i wzrostem. Kojarzone z plastycznością i uniwersalnością. Drewno symbolizuje także podatność na zewnętrzne wpływy środowiska, zwłaszcza w młodym wieku. Przekrój drewna ukazuje słoje będące odbiciem przeżyć i doświadczeń, nabywanych przez długie lata.

Według opinii Wydziału Informatyki i Nauki o Materiałach (przypisano mu dąb szypułkowy), drewno w stałej temperaturze zachowuje swoje właściwości przez 1000-2000 lat. Drewno dębu po kilkusetletnim leżeniu w wodzie czerwienieje, zachowując swoje właściwości mechaniczne – jest to tzw. czarny dąb lub inaczej „polski heban”.

Przez pryzmat filmu spojrzal na drewno, a nie tylko swoją lipę drobnolistną, Wydział Radia i Telewizji im. K. Kiesłowskiego pisząc m.in.: w przełomowym dla technologii filmowej (3D) obrazie Jamesa Camerona „Avatar”, to właśnie drzewa, drzewo życia i drzewo dusz, skupiają całą energię życia i łączą je z transcendencją.

Wydział Artystyczny, związany z więzaniem górskim przywołał w drewnie przede wszystkim świat muzyki, sal koncertowych, akustyki i instrumentów.



Wydział Filologiczny, któremu przypadł buk pospolity nie zawiódł. Drewno jako słowo mieni się jako pojęcie wieloznaczne, słowotwórcze bez granic. Pokazuje historię i bogactwo języka polskiego z nim związaną. Samo drzewo z lipą Jana Kochanowskiego na czele, wciąż pozostaje natchnieniem dla poetów i pisarzy.

Jarząb pospolity czyli potocznie jarzębina czerwona ze ścieżki należy do Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii. Dla tej grupy naukowców drewno to naturalny materiał kompozytowy o osnowie polimerowej, wzmocnionej ciągłymi włóknami polimerowymi, zbudowanymi głównie z celulozy – 45 proc., hemiceluloz – 30 proc., ligniny – 20 proc. oraz białka, skrobi, garbników, olejków eterycznych i substancji mineralnych. Przypomnieli też, że proste, drewniane przyrządy przyczyniły się do wielu odkryć i wynalazków.

Wydział Teologiczny skupił się na symbolice religijnej drewna. Ta symbolika ujawniła się podczas otwarcia ścieżki dydaktycznej. Wydziałowa wierzba iwa wystrzeliła dzikim pędem ku niebu.

Trudno pominąć ciekawe opisy drewna i drzewa z Wydziału Pedagogiki i Psychologii. Przywołał oni słowa Czesława Miłosza, który słowami: „naprawdę to drzewa są naszymi rodzicami. Poczuliśmy się z dębem, może, jak chcą Grecy, z jesionu” określili pokrewieństwo drzew i ludzi.

Tak jak drzewo nie jest jedynie tym, co na pierwszy rzut oka widoczne, kryje w ziemi to, czemu zawdzięcza życie, tak ważnym punktem zainteresowań obydwu dyscyplin, wydają się być „korzenie”. To, co niewidoczne, acz kluczowe dla kształtu ludzkiej myśli i zachowań. Tak, jak słoje drewna, wytworzone przez tkankę tworzącą są śladem „przeżyć” drzewa, tak na całej długości ludzkiej biografii odciskają się towarzyszące jej okoliczności, genetyczne podłoże, z którego wyrósł człowiek i kulturowa gleba, w którą wrasta.

W tej alei brakuje jeszcze pięciu drzew iglastych. Posadzą je wiosną dziekani wydziałów Uniwersytetu Ekonomicznego. Ciekawe jak je opiszą, na ile wycenią?

Martwą kłodę drewna, wpisaną w pejzaż alei wycenić trudno. Tak o nim pisze w wielkim folderze ścieżki, pomysłodawca jej umieszczenia dr hab. Piotr Skubała z Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska: „śmierć drzewa jest naturalnym epizodem w życiu, trwaniu lasu. Roli martwego drewna przecenić nie można. W przyrodzie ważne są zarówno procesy tworzenia biomasy, jak i jej rozkładu. Martwe drewno nie tylko w lesie wpływa na życie tysięcy gatunków mikroorganizmów, roślin i zwierząt. Martwe drewno nie umiera. Żyje dalej. Rozkłada się całkowicie po 10 – 100 latach w zależności od gatunku, rozmiarów, warunków środowiskowych i innych czynników”.

Wojciech Eichelberger ujął ten proces poetycko: „to takie proste, naturalne, właściwe i potrzebne być starym, umiającym drzewem – być tym, co nigdy nie umiera, lecz przyobleka się jedynie w inne, niezliczone i zachwycające formy życia”.

Z punktu widzenia bioróżnorodności, pnie, kłody martwych drzew, biją na głowę te żywe... Najlepiej wiedzą o tym leśnicy. Zdrowy las bez nich nie mógłby trwać! Są największą skarbnicą bioróżnorodności. Na świecie, w Polsce i w śląskiej skali.

To też przesłanie otwartej, miejskiej ścieżki edukacyjnej „Aleja drzew polskich”. Przybliża ona w opisach Grzegorza Skurczaka i Czesława Grenia z Nadleśnictwa Katowice wiedzę o lesie i zachęca do jej pogłębiania. Warta jest tego. Podobnie jak wiedza o historii wykorzystania drewna i gatunkach drzew polskich.

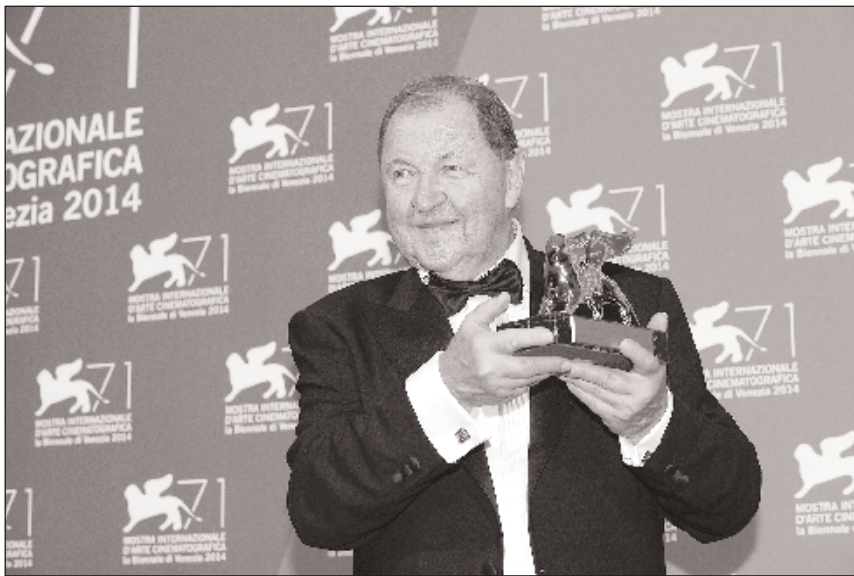
Teraz musimy tylko czekać, by dotarły one i na inne wyższe uczelnie w kraju.

JOLANTA KARMAŃSKA



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Złotego Lwa otrzymał Roy Andersson za „A Pigeon Sat on a Branch Reflecting on Existence”

Umiarkowane zachmurzenie na Lido

MARTA
BAŁAGA

bawny, choć z pewnością nie jest to humor, który trafi w gust każdego – pierwsze scenki ukazują między innymi tragiczny finał próby otwarcia butelki wina i pasażera promu, którego nagła śmierć stawia załogę w kłopotliwym położeniu, bo zdążył już zapłacić za nieknięty posiłek i nie bardzo wiadomo, co z nim zrobić. Dzieła Anderssona się nie ogląda, tylko się przez nie wędruje zaglądając w odległe kąty, nigdy nie wiedząc, co czai się za rogiem. „Nie czytałem wcześniej niczego na temat filmów w konkursie, pojawiałem się w kinie zupełnie nieświadomy tego, co mnie czeka” – powiedział Alexandre Desplat uzasadniając decyzję jury. „Byłem zaskoczony, poruszony i pełen podziwu dla tego, co udało się osiągnąć Anderssonowi.” Zupełnie jak w przypadku dowcipów Monty Pythona, próba tłumaczenia jego sensu odarłaby go z uroku. Najlepiej chyba podejść do niego tak, jak Desplat i pozwolić na to, by po prostu nas zaskoczył.

Wojna włosko-francuska

Werdykt Jury zaskoczył niewiele osób, narzekali jedynie Włosi – z trzech filmów w konkursie tylko opowiadający historię młodej matki, której obsesja na punkcie zdrowego żywienia zaczyna zagrażać zdrowiu i życiu niemowlęcia *Hungry Hearts* Saverio Costanzo zdobył ważne wyróżnienia; prestiżowe Coppa Volpi dla najlepszego aktora i aktorki, tym samym zostawiając uważanego za faworyta *Il Giovane Favoloso* daleko w tyle.

Il Giovane Favoloso stanowił jeden z najbardziej oczekiwanych filmów festiwalu na Lido. Mario Martone, autor znanego także w Polsce dramatu *Wierzyliśmy* o ruchu politycznym Młode Włochy, wziął na siebie spore ryzyko i zdecydował się opowiedzieć o człowieku, którego dzieła przerabia się we włoskich szkołach równie intensywnie co *Boską komedię* Dantego – Giacomo Leopardim. *Il Giovane Favoloso* to elegancki, dość tradycyjny film biograficzny z udziałem rzymskiego aktora Elio Germano, który przeszedł dla dobra filmu prawdziwą transformację i nauczył się wiernie odtwarzać postępujące kalectwo Leopardiego. To niezła rola, ale sam film jest trochę za długi i odrobinę zbyt grzeszny, bo Martone rzadko pozwala sobie na więcej swobody – czasem tylko zaskakuje współczesnym motywem muzycznym lub interesującym cięciem montażowym. Filmowi Martone z pewnością pomógł fakt, że sam Leopardi to postać dość nietypowa, ironizujący kaleka nieuznający kompromisów i uparcie głoszący niepopularne poglądy ma szansę zainteresować nawet osoby, które nigdy wcześniej o nim nie słyszały. Nie zmienia to jednak faktu, że jest to dzieło dość hermetyczne.

Wenecja wydawała się w tym roku nieco pozbawiona blasku; pogoda nie dopisała, duża część dziennikarzy i filmowców wybrała festiwal w Toronto, którego prestiżu nikt nie poddaje już w wątpliwość, a zeszłoroczne dekoracje przypominały o postępującym kryzysie. Jak zauważył czolowy satyryk festiwalu, Stefano Disegni, w tak niepewnych czasach nie można niczego wyrzucać. Dyrektor festiwalu Alberto Barbera dobrze o tym wie.

Nie oznacza to jednak, że 71. edycja była nieudana, mimo że obecność niektórych tytułów w konkursie głównym można by wytłumaczyć jedynie przewlekłą chorobą Barbery. Choć daje do myślenia fakt, że wydarzeniem festiwalu ostatecznie okazał się... serial.

Złoty Lew i siedzący na gałęzi gołąb (rozmyślający nad egzystencją)

Jury pod przewodnictwem francuskiego kompozytora Alexandra Desplata, w którym zasiadli Joan Chen, Philip Gröning, Jessica Hausner, Jhumpa Lahiri, Sandy Powell, Tim Roth, Elia Sulejman i Carlo Verdone przyznało Grand Jury Prize dokumentowi *The Look of Silence*, Srebrnego Lwa – filmowi *Belye Nochi Pochtalonu Alekseja Tryapiysyna* w reżyserii Andrieja Konczalowskiego, Złotego Lwa otrzymał natomiast kultowy reżyser Roy Andersson za *A Pigeon Sat on a Branch Reflecting on Existence*, który na nagrodę zasłużywał już choćby za sam tytuł.

Odbierając nagrodę Andersson nie krył wzruszenia: „Włochy to kraj, który dał nam tak wiele wyjątkowych filmów i gdybym nie obejrzał niektórych z nich nie zostałbym pewnie reżyserem.

Moją nieustającą inspiracją jest Vittorio de Sica, zwłaszcza jego *Złodzieje rowerów* – jest w nim tyle empatii. Myślę że takie właśnie powinny być filmy. Postaram się więc podążać dalej swoją ścieżką i próbować robić tak dobre filmy jak de Sica.”

Szwed kręci filmy raz na kilka lat, ale zwykle warto na nie czekać. Tak jest też w tym przypadku – zamykający rozciągniętą na 15 lat trylogię, na którą składają się *Pieśni z drugiego piętra* i *Do ciebie, człowieku, A Pigeon...* stanowi prawdziwe osiągnięcie reżysera i jednocześnie idealny przykład jego stylu. Pokryte białym pudrem twarze, dominujące blade zielenie i zimne szarości, nieruchoma, pozostająca w pewnym oddaleniu kamera, podział filmu na 39 scenek – można by napisać na jego temat kilka prac magisterskich. Najbardziej zaskakujące jest jednak to, że będąc dziełem dość ambitnym i bardzo specyficznym jest jednocześnie za-

O ile filmy włoskie nie zachwyciły, ale też nie rozczarowały, sąsiedzi znad Sekwany niestety nie mogli pochwalić się tym samym. Po zeszłorocznym *La Jalousie* Philipa Garrela po raz kolejny w konkursie głównym weneckiego festiwalu znalazły się filmy skupiające w sobie wszystko, co w kinie francuskim najgorsze. Nigdzie nie było to bardziej widoczne niż w niezamierzenie śmiesznym melodramacie *3 Coeurs*. Film, który do polskich kin trafi już niedługo, oparty jest na oryginalnym scenariuszu, ale odnosi się wrażenie, że stanowi raczej adaptację wyjątkowo długiej sagi, z której pośpiesznie wycięto wiele wątków a resztę brutalnie skrócono. O aktorstwie właściwie nie ma co wspominać – jak przystało na stereotypowych Francuzów bohaterowie wciąż tylko jedzą, wydymają usta i palą. Jakby tego było mało, reżyser najwyraźniej oczekuje od widzów, że uwierzą w to, że mało atrakcyjny Benoit Poelvoorde potrafi rozkochać w sobie kobiety jednym skinieniem palca. Istnieje coś takiego jak nieuzasadniony optymizm. O ile w przypadku melodramatu brak subtelności można by jeszcze wybaczyć, *3 Coeurs* ma jednak na swoim sumieniu inny, śmiertelny wręcz grzech – nawet przez chwilę nie pozwala uwierzyć w więź łączącą kochanków. Bez atrakcyjnej otoczki to zaledwie kolejna przeciętna opowiadka, których setki można znaleźć na Hallmarku. I to za darmo.

Teatralny film

PO zeszłorocznej *Grawitacji* już drugi rok z rzędu na otwarcie festiwalu wybrano film, obok którego trudno przejść obojętnie. *Birdman* w reżyserii Alejandro Gonzáleza Iñárritu to przyprowadzająca o przyspieszony puls jazzowa improwizacja w gwiazdorskiej obsadzie. Akcja wspomaganą rytmem reagującej na ruchy kamery perkusji meksykańskiego muzyka Antonio Sanchez'a nie przystaje nawet na chwilę, a długie, nieprzerwane cięciami montażowymi ujęcia przypominają popisy Scorsese w *Chłopcach z ferajny*. Iñárritu od początku bardzo zależało na takim formacie filmu: „Nasze życie ostatecznie też jest jednym wielkim nieprzerwanym ujęciem. Budzimy się rano i nie możemy uciec, nie przenosimy się nagle do innej rzeczywistości. Jesteśmy uwięzieni w naszej. Tak doświadczamy życia i chciałem, żebyśmy tak doświadczali życia Riggana” – powiedział w Wenecji reżyser.

Film kręci się wokół opartej na podstawie opowiadania Raymonda Carvera sztuki, którą postanawia wystawić na Broadway'u zapomniany gwiazdor filmowy Riggan Thomson (Micheal Keaton) i właściwie nie opuszcza teatru.



Dokument „The Look of Silence” – Grand Jury Prize

Iñárritu pokazuje odchodzących od zmysłów aktorów, nerwowego producenta i przemykających korytarzami techników o imionach, których nikt nie pamięta. Nikt nie jest tu zadowolony z tego, co ma i nade wszystko pragnie uwielbienia. Aktorzy teatralni zazdroszczą gwiazdorom sławy, gwiazdorzy – prestiżu, jaki daje teatr. W tym świecie człowiek podczas turbulencji martwi się wyłącznie tym, że w przypadku katastrofy w gazetach wspomni się tylko o podróżującym tym samym samolotem Clooneyu.

Oprócz zachowującej względny spokój delikatnej Amy Ryan grającej byłą żoną Thomsona, aktorzy wydają się rozkoszować faktem, że mogą wyśmiać wątpliwe uroki uprawianej profesji; demolują garderoby, flirtują, krytykują technikę kolegów. Keaton, wciąż znany głównie jako Batman, jest odważny w roli Riggana znanego głównie jako superbohater Birdman. Zmęczone oczy, niechlujny zarost, nieco zaniedbane ciało – o jego przeszłości przypomina tylko nieodłączny głos poprzedniego wcielenia.

„Zawsze powtarzałem, że po czterdziestce nie ma sensu robić niczego, co cię naprawdę nie przeraża” – opowiedział dziennikarzom reżyser. „Ten film mnie przeraził. Stanowił zupełnie nowe doświadczenie i nagle znalazłem się na gruncie, na którym nie czuję się pewnie.” Choć nie jest może arcydziełem na miarę *Amorres Perros*, *Birdman* stanowi namacalny dowód na to, że warto czasem zmierzyć się z lękami.

Trudne życie Frances McDormand

Znana z filmów braci Coen i żona jednego z nich aktorka Frances McDormand w Wenecji odebrała nagrodę Persol za całokształt twórczości, zaprezentowała też najnowszy miniserial HBO w reżyserii Lisy Cholodenko, *Olive Kitteridge*. Dla wielu osób oparty na podstawie nagrodzonej Pulitzerem

powieści Elizabeth Strout słodko-gorzki serial pobił na głowę najambitniejszego tytułu festiwalu.

Olive to nauczycielka matematyki w małym miasteczku w Nowej Anglii i towarzyszy jej przez 25 lat życia (akcja rozpoczyna się w połowie lat 80. i kończy w 2005 roku), podczas których rozpadają się związki, popełniane są przestępstwa, a młodzi ludzie zapadają na depresję tak jak wcześniej ich rodzice. Przeniesienie książki na ekran zajęło 5 lat i motorem przedsięwzięcia była właśnie McDormand. „Możliwość stworzenia, wyprodukowania i zagrania w *Olive Kitteridge* stanowi zwiędzenie wszystkiego, co udało mi się dotychczas osiągnąć” – powiedziała laureatka Oscara. „To, że udało mi się opowiedzieć historię kobiety żyjącej jakby na obrzeżach żyć innych ludzi – nie tylko jej męża i syna, ale całego miasteczka – i wywrzeć taki wpływ jaki wywiera ona było dla mnie bardzo satysfakcjonujące. Miałam wrażenie, że mogłam wnieść w rolę Olive każdą rolę, którą kiedykolwiek zagrałam, moje życie jako matki, żony, córki, ciotki. Mogłam to wszystko przywołać i z tego skorzystać.”

Pełna niezapomnianych postaci historia zainteresowała doskonałych aktorów, oprócz McDormand w *Olive Kitteridge* zagrał między innymi Richard Jenkins, Bill Murray i Rosemarie DeWitt. Po zaprezentowanym rok temu na festiwalu w Berlinie serialu Jane Campion *Top of The Lake* po raz kolejny udowodniono, że złoty czas telewizji trwa w najlepsze i dawne podziały przestają obowiązywać.

Wyższa szkoła dokumentu

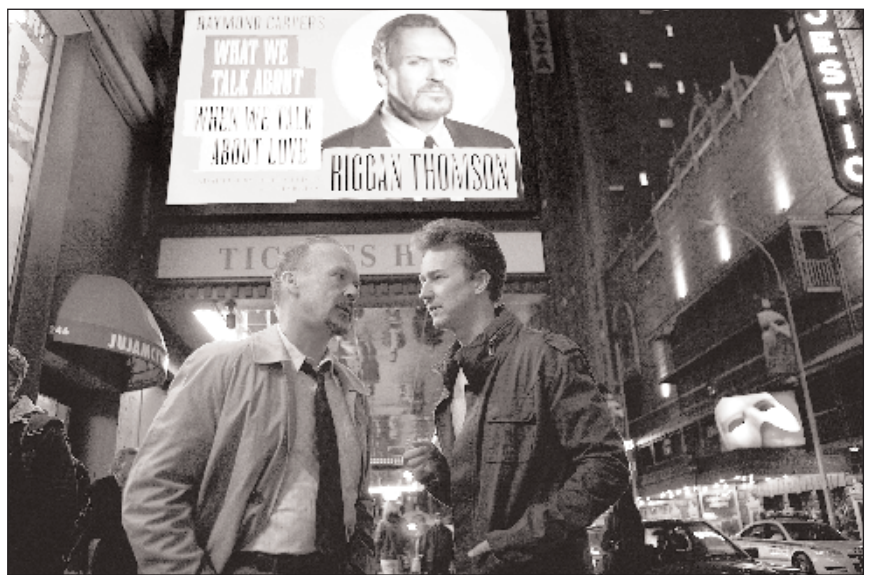
PO zeszłorocznym zwycięstwie filmu *Sacro GRA* uważniej przyglądano się dokumentom stanowiącym ważną część festiwalowego programu. Wielokrotnie nagradzany reżyser Ulrich Seidl w *In The Basement* po raz kolejny zdecydował się ukazać wstyd-

liwe obsesje Austriaków. Po seksie, religii, nadwadze i przesadnym przywiązaniu do zwierząt wreszcie nadszedł czas na... piwnice. Przywodzi to na myśl dość mroczne obrazy, warto jednak ustalić coś na samym początku – film Seidla nie ma nic wspólnego ze sprawą Fritzla czy Nataschy Kampusch. Nie zmienia to jednak faktu, że trzeba mieć naprawdę wytrawne poczucie humoru, żeby w okresie, kiedy austriackie piwnice budzą niejednoznacznie negatywne skojarzenia nakręcić film właśnie na ten temat. I to jeszcze zabawny.

Michael Haneke porównał kiedyś filmy Seidla do śmierdzących skarpetek i trudno się z tym nie zgodzić; z lubością wydobywa on na światło dzienne to, co społeczeństwo najchętniej zamiotłoby pod dywan. *In The Basement* dumnie kontynuuje tę tradycję. „Piwnica odgrywa w życiu Austriaków ogromną rolę, znacznie większą niż w innych krajach” – zauważył reżyser. „To właśnie tam mężczyźni, ojcowie, panie domu, pary lub dzieci mogą być wreszcie tym, kim chcą, mogą spełniać swoje potrzeby, poświęcać się hobby, pasjom i obsesjom.” Czyste domki i schludne ogródki są tylko na pokaz – dopiero pod ziemią żyje się naprawdę i oddycha pełną piersią. Do piwnic w filmie Seidla prowadzą wąskie, kręte schodki i chyba lepiej się w nie nie zapuszczać – nigdy nie wiadomo, co można tam znaleźć: masochistkę związaną sznurkami jak święteczna szynka, grającego na trąbie naziste, gigantycznego pytona i mającą bardzo zły dzień świnkę morską. A może coś jeszcze gorszego.

Zupełną powagę zachował natomiast Joshua Oppenheimer, który po świetnie przyjętej *Scenie zbrodni* ponownie ukazał wciąż odczuwalne skutki krwawego przewrotu dokonanego przez indonezyjskie szwadrony śmierci w 1965-66 roku. Tym razem nie zrobił tego jednak samodzielnie – w *The Look of Silence* towarzyszy bratu okrutnie zamordowanego człowieka, który postanawia zwrócić się do ludzi bezpośrednio odpowiedzialnych za jego śmierć.

Dla wielu ludzi w Indonezji przetrwanie oznacza przebywanie w otoczeniu dawnych katów, z których większość żyje w bogactwie i sprawuje państwowe urzędy, oznacza to więc także zmoje milczenia wokół wydarzeń z tamtych lat. Osoby, z którymi Oppenheimer rozmawia przypominają Trzy mądre małpki – nie chcą słyszeć, nie chcą mówić i z całą pewnością nie chcą widzieć nic złego. To, że główny bohater jest... okulistą badającym wzrok zarówno ofiarom, jak i oprawcom wydaje się ponurym żartem. Widzom znającym *Scenę zbrodni* niektóre wątki mogą wydać się znajome, nie oznacza to jednak, że *The Look of Silence* ma mniejszą siłę oddziaływania. To nie tylko film o ka-



Na otwarcie festiwalu wybrano film, obok którego trudno przejść obojętnie, był to „Birdman” w reżyserii Alejandro Gonzálezę Iñárritu. Na zdjęciu Micheal Keaton i Edward Norton.

tach, ale też o ofiarach, które żyjąc w ciągłym strachu przed mordercami nie upominają się o sprawiedliwość i o rodzinach udających przed sobą nawzajem, że przeszłość ojców i dziadków jest im nieznana. Sceny przedstawiające reakcje rodzin na rewelację, że zniechęcał ojciec miał w zwyczaju pić krew swoich ofiar, by uchronić się przed szaleństwem to kino najwyższej próby.

Woody według Petera

Dzięki takim filmom jak *Ostatni seans filmowy* i *Papierowy księżyc* Peter Bogdanovich stał się jedną z najważniejszych twarzy Nowego Hollywood lat 70. Nie na długo – po przeżyciu osobistej tragedii jego kolejne filmy rozczarowały, a on zaczął być utożsamiany głównie z drugoplanową rolę w serialu *Rodzina Soprano*. Nakręcona po 13 latach przerwy komedia *She's Funny That Way* stanowi dowód na to, że Bogdanovich wciąż nie powiedział jeszcze ostatniego słowa – jest lekka, przyjemna, miejscami nawet dowcipna. Jedyne problem polega na tym, że ta sympatyczna komedia pomyłek z jazzową ścieżką dźwiękową i nerwowym Owenem Wilsonem do złudzenia przypomina dzieła innego nowojorskiego intelektualisty noszącego okulary.

Woody Allen nie jest jedynym reżyserem, do którego twórczości nawiązuje Bogdanovich. Film początkowo miał się nazywać *Squirrels to Nuts* na cześć wypowiedzianej przez Charlesa Boyera kwestii w ostatnim filmie Ernesta Lubitscha, *Cluny Brown*. Bogdanovich czerpie w szczególności ze „screwball comedy”, popularnego w latach 30. gatunku rozśmiałego takimi filmami jak *Ich noce* czy *Dziewczyna Piętaszek*. O ile swoim filmem udowadnia, że taki rodzaj kina wciąż może jeszcze sprawić widzom radość, nie da się

ukryć faktu, że *She's Funny That Way* trąci myszką. Scenariusz filmu, napisany przez reżysera i jego byłą żonę Louise Stratten, powstał 15 lat temu i niestety wyraźnie to widać, zwłaszcza w sposobie ukazania postaci kobiecych – raczej nie korzysta się tu ze zdobywczy feminizmu. Poza tym film pełen jest zaskakujących anachronizmów – atakujący gwiazdę fani uzbrojeni są... w ołówki i notesy, bohaterowie rozmawiają o „długodystansowych” połączeniach a prostytutka z Brooklynu cytuje Audrey Hepburn i wspomina Cary Granta. Przez te ostatnie 13 lat Bogdanovich nie wychodził chyba zbyt często z domu.

Podsumowując...

Co się zapamięta z tegorocznego festiwalu? Tytuł filmu Roya Anderssona czule głoszącego Złotego Lwa; kultowego reżysera Joe Dante, który uczcił 30. rocznicę premiery *Gremliny rozrabiają* odą do kina klasy *B Burying The Ex* i którego pojawienie się na festiwalu za pośrednictwem... skypa wzruszyło wielu dziennikarzy pamiętających jego filmy z dzieciństwa; wciąż pytanego o polityczne przekonania Andreja Konczalowskiego, który na Lido przyjechał z najmniej politycznym filmem świata; obwieszzonego biżuterią Ala Pacino udowadniającego nie w jednym, a w dwóch filmach (*The Humbling* i *Manglehorn*), że stara gwardia może i umiera, ale się nie poddaje; porażający *The Look of Silence* potwierdzający, że zło żyje i ma się dobrze; idola nastolatka Paula Wesleya, który okazał się... Pawłem Wasilewskim z Warszawy.

Bez względu na wszystko Wenecja nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. No i kawa z całą pewnością jest tu lepsza niż w Toronto.

Szcena widziana na południu Francji, skrzyżowanie w małej miejscowości niedaleko Nicei. Dziadek jadący skuterkiem wbija się w bok „renówki”. Nikomu nic się nie stało, ale samochód ma wklęsły, szpetny ślad w drzwiach. Uczestnicy stłuczki podchodzą do siebie czerwoni, napompuwani. Nagle napięcie opada. Ściskają sobie dłonie i gadają, gestykulując i śmiejąc się. I już okazuje się, że mają wspólnych przyjaciół. Nad nimi ciepły mur starego młyna, muzyczka z otwartego okna, oni są w plamie cienia, a wszystko wokół rozplywa się w świetle.

Zawsze, gdy w Muzeum Śląskim oglądam obraz Jana Wacława Zawadowskiego „Widok z okna” przypominam sobie tę scenę. Ten obraz działa kojąco. I myślę sobie, nie ma co się stresować, gdy jest słoneczne popołudnie i rośliny kwitną tak bujnie. W tym obrazie malowanym szybko, zamasyście jak to zwykle u Zawado, roślinność zaokienna zlewa się z kwiatami w oknie. Róże, fiolety, błękity, zielenie. Kontrasty kolorów jak u fowistów, ale wszystko pięknie zestrojone. Radość z malowania, zestawiania barw, z kompozycji.

Pod koniec lat 30. Zawadowski osiedlił się w Prowansji i pozostał tam do końca swojego długiego życia. Podpisywał się Zawado (ten podpis na obrazach jak ptak w locie) pielęgnował winnicę i malował. Był człowiekiem wyjątkowo pogodnym, o ujmującym usposobieniu – wynika to ze wspomnień tych, którzy odwiedzali dom – pracownię malarza w Orcel. Jego pogoda ducha cudownie zgrała się z pogodą Prowansji.

Chcę zobaczyć więcej obrazów Zawado, mam tylko kilka reprodukcji w katalogu z wystawy. Szukam w necie: Zawado. Wyświetla mi się portret Lutki Pink jego autorstwa. Jakie rozgałęzienia się tworzą! Lutka Pink uczyła się w paryskim oddziale ASP założonym przez Pankiewicza. I buszuję dalej. Obrazy Lutki: intensywny kolor, rytm, muzyczność. Odszedłem od Zawado? Tylko pozornie. To ta sama radość z harmonii kolorystycznej co u niego. A jeszcze dodam, że Zawado prowadził po Pankiewiczu paryską filię ASP i Lutka u niego się uczyła. I warto zobaczyć jak widzenie Zawadowskiego przeistacza się w abstrakcję Lutki. „Radość życia, nic tylko radość życia” – pisała we wspomnieniach artystka.

Zawado czerpie z Cézanne’a, z jego konstruowania obrazu, ale jest bardziej żywiołowy. Samotnik z Aix ukazał artystom nieznaną dotąd perspektywę, ale sam nie był szczęśliwy. Traktował sztukę jako ofiarę, wyrzeczenie, dążenie do wymyślanego celu, którego tak naprawdę nie można osiągnąć. „Poczyniłem niejake postę-

KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO



Jan Wacław Zawadowski (Zawado), „Widok z okna”, olej, płótno, ok. 1930.

Jan Wacław Zawadowski

py. Dlaczego tak późno i z takim trudem?” itd.

A Zawado to pokolenie tych malarzy, którzy potrafili zdobyć Cézanne’a wykorzystając dla czystej przyjemności malowania.

Drugi obraz z MŚ: „Wierzyby w Creuse”. Wszystko tam dąży do jasności, całymi plamami. Powierzchnia obrazu wibruje, wiatr miota liśćmi i jeszcze drży płótno od uderzeń

pędzla. Konstrukcja rozplywa się w świetle, ale wciąż jest mocna, solidna. I to Zawado zawdzięcza Cézanne’owi. Ale sobie, swym genom, szczęśliwemu dzieciństwu, a może soczystej zieleni Prowansji (kto wie czemu jeszcze?) zawdzięcza tę niepojętą radość emanującą z jego obrazów.

WOJCIECH GRABOWSKI

„Rocznik '70” – to brzmi jak rocznik szlachetnego trunku. Co tu dużo mówić: dobre wino im starsze tym lepsze... Artyści kończący wówczas katowicki Wydział Grafiki krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pokazali swoje prace w Galerii Związku Polskich Artystów Plastyków. Z wielką satysfakcją obejrzałem to „Artystyczne spotkanie po latach”.

Prace wystawia 6 z 9 osób, które obroniły w 1970 r. dyplom. Oto oni: Jan Dubiel, Helena Golda-Błahut, Zofia Grzeganeek-Szczepaniec, Dorota Kabiesz, Jerzy Miciak i Henryk Waniek. Wszyscy w swoim dorobku mają wiele znaczących osiągnięć w dziedzinie grafiki, ilustracji książkowej, wystawiennictwa czy plakatu – wspomnę w tym miejscu światowe sukcesy plakatów Henryka Wańka czy słynny plakat Jerzego Miciaka do legendarnej „Balladyny”, wyreżyserowanej przez Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Narodowym. Myślę, że łączy ich przede wszystkim wielka miłość do najszlachetniejszej z dziedzin sztuk plastycznych – do malarstwa sztalugowego i ono w ich życiowym dorobku liczy się najbardziej. Niewątpliwa w tym zasługa doskonałych profesorów Stanisława Krzysztalowskiego, Jana Dutkiewicza, Rafała Pomorskiego, Andrzeja S. Kowalskiego, Aleksandra Raka, Zbigniewa Kowalewskiego. Każdy z tych artystów zapisał ważny rozdział w historii polskiej sztuki współczesnej. Trzeba dodać jeszcze takich arcy mistrzów jak profesorowie Tadeusz Grabowski (wybitny plakacista) i Adam Hoffmann (nieodświeżony do dzisiaj genialny rysownik).

Zofia Grzeganeek-Szczepaniec wspomina: *Atmosfera na naszym wydziale panowała nader familiarna. Studenci, jak większość studentów na całym świecie, oprócz talentów większych czy mniejszych i różnego przykładania się do studiowania, mieli na ogół „pstro” w głowie, i nade wszystko cenili zabawę. Ale byli wśród nas i tacy, którzy już na studiach ukształtowali swój indywidualny styl w malarstwie czy grafice. (...) Im więcej czasu upływa od naszego studiowania, tym czulej ten okres wspominam. Dlaczego tak jest? Bo to była „...ta nasza młodość, ten szczęśny czas, ta para skrzydeł zwinęta w nas...”. To był ten czas, kiedy wszystko wydawało się nam możliwe...*

I było możliwe... i były te wszystkie lata dobrymi, choć momentami pewnie i trudnymi, dla artystycznych poczynań „Rocznika '70”. Któż kochający sztukę nie śledził kariery Henryka Wańka i nie podziwiał stworzonego przez niego tajemniczego świata pełnego bardziej i mniej czytelnych symboli. Jego sztuka przynosiła ukojenie w najgorszych momentach, była ucieczką do wymyślonej przez artystę doskonałości. Jaki to pozerak prasy nie spotkał się z drapieżną kreską gorzkich rysunkowych żartów Jurka Miciaka czy jego ilustracji? Bywalcy galerii doskonale

Artystyczne spotkanie po latach



Fot. Stanisław Rasek

Niczym szlachetny trunek

znają spokojne obrazy Jana Dubiela – będące hołdem złożonym przyrodzie, czy bardzo dekoracyjne dzieła Zofii Grzeganeek-Szczepaniec i Heleny Goldy-Błahut, ciągle pełne młodzieńczego zachwytu nad otaczającym nas pięknem.

Pora jednak na spokojny spacer wśród zaprezentowanych na wystawie dzieł. Na początku dostojne, wielkoformatowe płótna Jana Dubiela, najpiernie „Bliskie spotkanie” – emanujące spokojem pnie brzozy (?) a może innego obdarowującego nas dobrą energią drzewa, czy pełen ruchu obraz „Ku jesieni”, jeszcze króluje zieleń, ale coraz śmielej wkraczają w leśne ostępy zółcie... Warto podumać przy akrylu z cyklu „Drzewa – Chodź ze mną”. Takim zaproszeniu trzeba się poddać. Warto dodać, że artysta związał się z macierzystą uczelnią, w 1997 r. uzyskał tytuł profesora sztuk plastycznych i obecnie kieruje – w katowickiej Akademii Sztuk Pięknych – Pracownią Malarstwa i Rysunku na kierunku Wzornictwo. Zupełnie inne „Piękno lasu” pokazuje na tak zatytułowanym oleju na desce Helena Golda-Błahut – to las zwirowanych kolorów w końcówce lata, las z dobrej bajki, na który można patrzeć i patrzeć, las rozpromieniony, wesoły, ale raczej nas nie zaprasza – mówi: zostaw mnie w spokoju, nie niszc... tuż obok na dłużej zatrzymują wzrok pływające bukiety wodnych lilii na płótnie „Staw” – pełen relaks dla oczu i dla duszy i „Park w Ustroniu”, w którym tak bardzo brakuje ludzi... Podobają mi się także „Okno Zamku w Mosznej” – za każdą szybą samodzielnym obrazek. Trochę nerwowy – albowiem tej disneyowskiej architektury jest stanowczo... za dużo, chociaż ją na swój sposób lubimy.

Od dawna podziwiam świat wykreowany przez wyobraźnię Zofii Grzeganeek-Szczepaniec. Najbardziej na świecie kochamy to samo miasto – Wenecję. „Teatr weneckiego karnawału” czy „Tęsknota

za słodką Wenecją” to płótna przepelnione miłością do świata, dla którego w tym niezwykłym miejscu zatrzymał się czas. Zagadki, tajemne znaki przywołane z przymrużeniem oka, ucieczka w bogaty ponadczasowy kostium. Pływające po falach kuliste piorny na płótnie „Sztorm na Morzu Egejskim” nie budzą lęku i za to śmiałe opowiadanie optymistycznych, mimo wszystko, historii bardzo ją cenię. Nie miejsce tu na krytyczną uwagę, ale muszę to napisać: przeszkadzają mi pocztówkowe kadry wpisane w „Plener malarski zimą w górach” – zarówno I, jak i II. Psują mi one dostojność świetnie namalowanych ośnieżonych górskich szczytów.

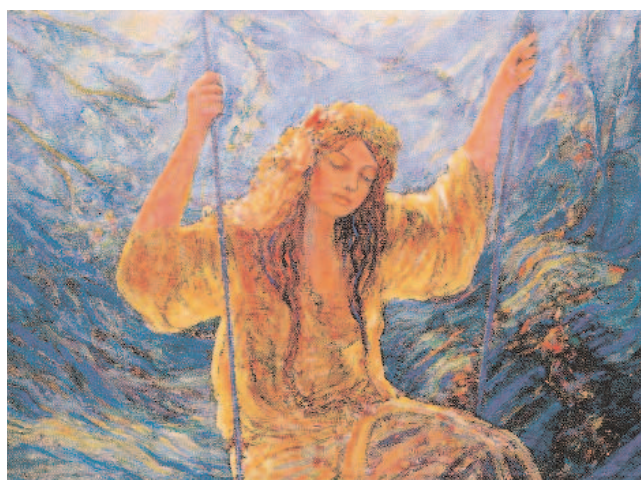
Artystyczne dokonania Jerzego Miciaka są mi szczególnie bliskie, przepracowaliśmy bowiem wspólnie wiele, wiele lat („Katolik”, „Gość Niedzielny”). Byłem często pierwszym (oczywiście po rodzinie) krytykiem jego obrazów, zwłaszcza tych o treści religijnej. Był w pewnym sensie moim nauczycielem odbioru sztuki. Ceniłem go w sposób wyjątkowy a on denerwował mnie często niezrozumiałym dla mnie brakiem wiary w efekty swojej pracy. Jego sztuka sakralna to nie tylko wysokich lotów profesjonalizm, to także umiejętność przekazania duchowości. Nudziłem go i nadal będę nudził niekończącymi się pytaniami o to, co aktualnie maluje, zwłaszcza odkąd przeszedł na emeryturę. Na wystawie pokazał znakomity, malarsko wręcz wzorcowy, widok Pragi, pofantazjował w obrazie „Na huśtawce”, będącym portretem córki w roli leśnej boginki, oddał hołd swojemu mistrzowi, któremu kiedyś spletał psikusy (ale o tym napiszę przy innej okazji) – znakomitemu malarzowi – Stanisławowi Krzysztalowskiemu – płótnem „Widok ze Skrzyżnego” – brawurowym kolorystycznie i kompozycyjnie. No i wreszcie mój ulubiony na tej wystawie obraz Miciaka „Rynek w La Ferte sous Jouarre” – to nie tylko świetna kompozycja, ale również znakomita charakterystyka osób odpoczywających na kamiennej ławie. Niecierpliwie czekam na kolejne prace Jurka.

No i wreszcie artysta w tej grupie wyjątkowy, niezaprzeczalnie jeden z liderów polskiej sztuki współczesnej: Henryk Waniek. Napisano o nim tomy, znany jest na całym świecie. Nie będę się powtarzał, powiem tylko, że był dla mojego pokolenia ucieczką od szarości, pokazywał nowe ścieżki, proponował filozofię, która była szokiem. Każda jego praca daje niekończące możliwości interpretacyjne, każe odkrywać niemożliwe od odkrycia...

Z kronikarskiego obowiązku dodam, że Dorota Kania wystawia rysunki o śmiałej tematyce erotycznej, ale to całkiem inna bajka.

Tę wystawę trzeba obejrzeć! Towarzyszy jej pięknie wydany katalog.

WITOLD KOCIŃSKI



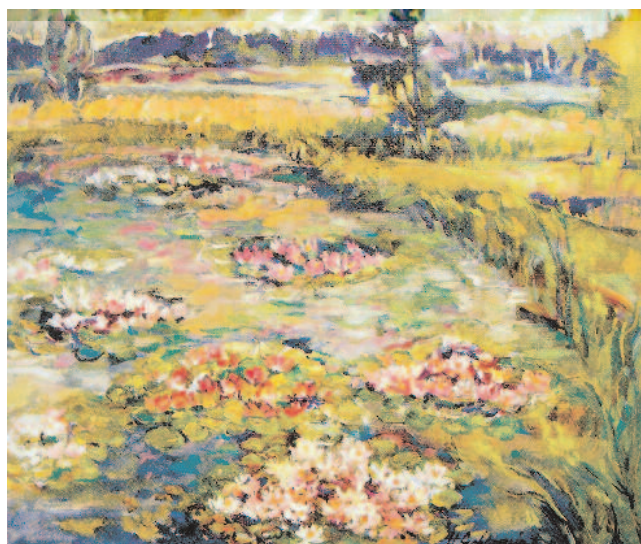
Jerzy Miciak, *Na huślawce*, olej, płótno



Zofia Grzegarek-Szczepaniec, *Tęsknota za słodką Wenecją*, olej, płótno

Katowicka Galeria ZPAP

Rocznik '70



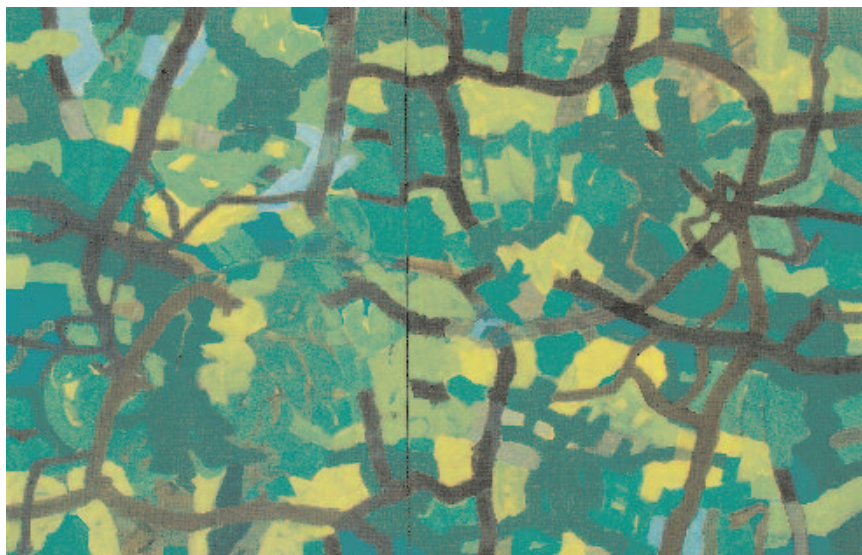
Helena Golda-Blahut, *Staw*, olej, płótno



Henryk Waniek, *Ncja*, olej, płótno na desce



Dorota Kabiesz, *Wiosna II*, rysunek ołówkiem i kredka



Jan Dubiel, *Ku jesieni*, akryl, płótno

Zdjęcia: z arch. artystów

Teresa Strojniak

MALARSTWO



Wspomnienie, olej, płótno, 120x90, 2014



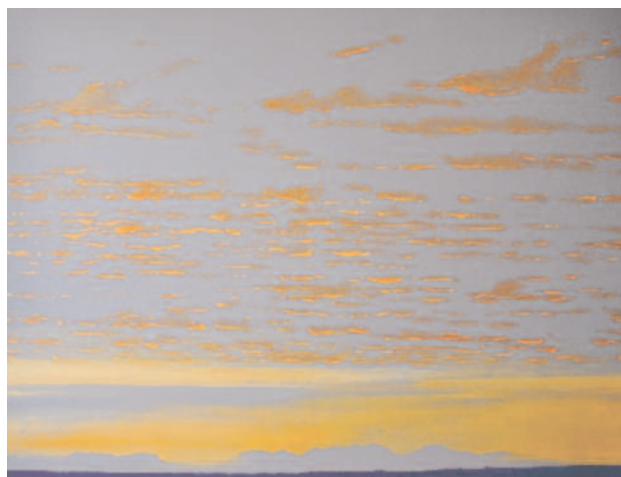
Morska bryza, olej, płótno, 140x40, 2010



Pejzaż X, olej, płótno, 160x60, 2013



Pejzaż VI, olej, płótno, 120x90, 2014



Przed zmrokiem, olej, płótno, 120x90, 2014

Namalować przestrzeń zapamiętaną, ale przetworzoną przez tryby wyobraźni i wrażliwości, by w ostateczności stać się ledwie impresją. Dojrzeć go na nowo w rozciągającej się po horyzont płaszczyźnie, skupić na detalu, ale nie odwzorowywać jego rzeczywistego kształtu, lecz zasugerować obecność, przenicować i rozświetlić światłem. Tak widzi swoje krajobrazy Teresa Strojniak – artystka nie bardzo znana szerokim kręgom odbiorców sztuki, bywalcom salonów, tłumnych wernisaży. Nieczęsto przygotowuje wystawy indywidualne, sporadycznie uczestniczy w wystawach zbiorowych.

Nie ma też jej prac na rynku sztuki, bo ten jest bardzo wymagający: trzeba mu poświęcić wiele zachodu, wykonać dziesiątki zabiegów, by przebić się z własną twórczością do tego zamkniętego kręgu. Ona maluje w zasadzie dla siebie, czasem dla przyjaciół. Pracę nad każdym obrazem traktuje jako coś intymnego, co jest świadectwem jej wewnętrznych przeżyć, ale niekoniecznie trzeba się tym dzielić, upubliczniać, oceniać. Ma jednak duży dystans do swoich obrazów, potrafi krytycznie spojrzeć na swoje kolejne dzieło. Nie ma to jednak związku z niepewnością – raczej z dążeniem do perfekcji.

Jednak kto pozna prace tej artystki jest w stanie się nimi zachwycić. A nie są to wyłącznie prace olejne, ale także pastele, których powstaje bardzo wiele i nie są li tylko szkicami, czy wprawkami poprzedzającymi obraz właściwy. Niezwykle zresztą jest to jej zamiłowanie do pasteli. Prace malarskie to na ogół dość duże formaty płócien. Pozwalają na inną dynamikę, gest, budowanie przestrzeni. Pastele są kameralne – to miniatura tamtej ekspresji.

Jak zatem malarstwo Teresy Strojniak wpisuje się w nowoczesne trendy, jak może współistnieć bądź konkurować z tymi, którzy także zajmują się pejzażem. Pierwsze jednak będzie pytanie o obecność pejzażu w malarstwie.



Fot. Paulina Strojniak

Jej pejzaż wewnętrzny

Wydawać by się mogło, że malowanie pejzażu zbanalizowało się, że coraz trudniej o świeżość w jego przedstawianiu, o zaskoczenie. Ciągłe jednak pozostaje inspiracją dla wielu twórców. Ale tylko nieliczni prawie wyłącznie poświęcają mu swą twórczą uwagę. Dla wielu jest czasem znaczącą częścią dorobku, początkiem drogi lub punktem dojścia. Rzadko jest tematem na całe życie. Oczywiście, trudno przewidzieć, czy Teresa Strojniak pozostanie wyłącznie przy pejzażu – ale zdaje się, że ma jeszcze wiele do powiedzenia na jego temat. Wynika to też zapewne z jej stosunku do malarstwa jako przestrzeni, która jest jej miejscem na ziemi. Pejzaż ten zmienia się, jest w ciągłym ruchu – wszystko to stara się zauważać, ale jednocześnie odnajduje w nim swój wewnętrzny spokój, przekonanie o trwałości doświadczenia pierwotnego, zastygłego niczym lawa, która użyźnia glebę.

W podejściu Teresy Strojniak do sposobu patrzenia na krajobraz odnajduję pewną analogię z malar-

stwem pejzażowym wielkiego kolorysty Stanisława Rodzińskiego. Oczywiście to dwa różne sposoby przedstawiania, ale spójne jest owo pierwotne zapamiętanie, do którego owszem wraca się po czasie, konfrontuje ze stanem obecnym, lecz mimo nowych doświadczeń pozostaje niezmaconym obrazem czasu minionego. U Rodzińskiego płaszczyzny barwne przemierzają w sposób geometryczny płótno od krańca do krańca! Gorące kolory układające się warstwami zadziwiają! Za nimi zawsze kryje się ciągle powracające, przeżyte w podkrakowskiej Nawojowej dzieciństwo.

A Teresa Strojniak mówi o sobie: Urodziłam się w Jędrzejowie. To dla mnie bardzo ważne! Jej pejzaż to zachodzące na siebie lub ciągnące się poza horyzont, albo pozostające w zawieszeniu między niebem a ziemią obrazy zapamiętane. Znakomite wycucie koloru, zestawianego w uspokajające lub dynamiczne formy. Smakowanie, poszukiwanie subtelного ekwiwalentu z jednej strony, z drugiej linearne gesty – poziomy, pionowy, ukosy skrywające w zaciemnieniu majaczące świetlistości.

Nie ma w tym pejzażu postaci; czasem pojawia się a raczej jest instynktownie wyczuwalne pojedyncze drzewo czy bliżej nieokreślony obiekt – zapewne kapliczka, może zwyczajna stodoła czy po prostu dom. Lecz w tych obrazach nie ma pustki. One przekazują emocje, nastroje i różnorodne stany artystki. Jest w nich przede wszystkim spokój, jakaś tajemnica, której nie próbujemy poznać. Wkraczamy dość odważnie w ten wewnętrzny świat, ale po chwili zatrzymujemy się na progu, by popatrzeć z daleka, by poczuć wiatr,

przysłonić oczy przed zalewającym słońcem. Widzimy tyle, ile autorka tych prac chce nam pokazać. Nie ma w nich emocjonalnego ekshibicjonizmu, próby zmiany świata na inny (lepiej?), ale jest w nich sporo wewnętrznej, dobrej energii.

WIESŁAWA
KONOPELSKA

Teresa Strojniak – urodzona w Jędrzejowie. Mieszka w Sosnowcu. Studia w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach na Wydziale Grafiki. Dyplom w Pracowni Grafiki Warsztatowej i Rysunku prof. Mariusza Pałki i w Pracowni Projektowania Książki prof. ASP Mariana Słowickiego.

Uczestniczyła w cyklu wystaw zbiorowych „Stąd – Dokąd?” w galerii „Odeon” w Czeladzi. Wystawy indywidualne: galeria „Exlibris” MBP (2002) Czeladź, galeria „Pod filarami” (2005) Czeladź i w Muzeum Saturn (2014) Czeladź.



Fot. z archiwum Z. Stuchlika



Zarazony pogodą ducha i nadzieją

Rozmowa z ZYGMUNTEM STUHLIKIEM

– Witaj rodowity katowiczanie uhonorowany Nagrodą Burmistrza Orzesza.

– No tak, rodowity katowiczanie, ale Katowice nagrody mu nie przyznały. Znasz przecież truizm o losie proroków we własnym kraju? Zresztą od czasu abdykacji Skiby z urzędu sołtysa, katowiczanie nie decydują już o losie swojego miasta. A serio: w końcu pięćdziesiątych lat minionego wieku, napotkałem na trudności, które skompli-

kowały moje plany życiowe. Najpierw były to problemy ze studiowaniem na ASP, pobór do wojska i w końcu po powrocie do cywila, utrata mieszkania w Katowicach. Ucieczka na wieś dała szansę na zrewidowanie dotychczasowego i stworzenie nowego, realnego programu na przyszłość. Po dwu latach życia w komitywie z przyrodą, zamieszkałem we wsi Orzesze, której niestety, po trzech miesiącach, przyznano prawa miejskie.

– ... w wyniku których otrzymałeś nagrodę Burmistrza, a nie Sołtysa.

– Co do nagrody: kojarzy się ona zwykle z korzyściami materialnymi, natomiast mnie uhonorowano za kilka (do 1995) lat działalności publicznej przy samorządzie i w dziedzinie kultury, tytułem „Zasłużony dla miasta”. Jest to od czasu przeobrażeń ustrojowych, przyznawane co roku wyróżnienie, z okazji Dni Orzesza. Myślę, że w roku 2013, po dwudziestu prawie latach, wytypowano mnie z powodu braku godnych kandydatów.

– ... znaczyłoby godniejszych, ale kontynuuj.

– Jesienią 1989 roku zaangażowałem się przy tworzeniu powszechnego ruchu społecznego jakim były lokalne Komitety Obywatelskie. A więc, nawiązywanie kontaktów z ludźmi, którzy mogli pomóc w tworzeniu samorządu, zebrania w dzielnicach miasta, przygotowywanie mieszkańców i ich kandydatów do nadchodzących wyborów, wydawanie miejskiego czasopisma. Po powołaniu w pierwszych wolnych wyborach nowego samorządu, należało przeorientować utrwaloną w czasie poprzedniej, trwającej pół wieku rzeczywistości, świadomość mieszkańców. Po kilku latach siłowania się z „oporną materią”, doszedłem do wniosku, że ludzie zajmujący się na co dzień sztuką, ludzie o wyidealizowanej wizji świata, są w dziedzinie polityki bezyteczni. O moim wycofaniu zdecydował ostatecznie fatalny stan naszego budżetu domowego, który w okresie mojej działalności publicznej, znalazł się już na skraju bankructwa. Komitety Obywatelskie natomiast, które były jedyną szansą na szybkie przekształcenie centralnie zarządzanego państwa, w sprawnie działające w regionach samorządy lokalne, zostały zneutralizowane przez grupę polityków z przerostem ambicji i pierońskim cugiem do władzy. I chociaż niewiele mieli do zaoferowania krajowi, udało im się po szczeblach terenowych struktur Komitetów Obywatelskich wspierać na wygodne fotele tzw. Porozumienia Centrum.

– Dobrze, że cię nie poniosło, zostałeś wśród nas i jesteś widziany jako prawy kolega.

– Wyjaśnij, co znaczy „być prawym kolegą”? Czy jest on przeciwieństwem „lewego kolegi”? Jeśli tak, to godzę się być kolegą prawym. Dziękuję!

– Sam sobie sternikiem, znalazłeś docelową przystań wśród artystów...

– W środowisko „wskoczyłem” w 1957 roku, kiedy korzystając z urlo-

pu dziekańskiego, przerwałem studia w Krakowie i rozglądałem się w Katowicach za jakąkolwiek pracą.

Trafiłem wtedy, dzięki koledze, do tzw. pracowni mebli wzorcowych Klaudiusza Jędrusika, uruchomionej w ramach ambitnego programu Pracowni Sztuk Plastycznych, zakładającego pozyskiwanie wartościowych projektów mebli, sprzętów i innych przedmiotów dla naszych wnętrz i naszego szarego wówczas otoczenia. W takiej pracowni mieszczącej się w garażu przy ul. Rysiej w Welnowcu, zostałem zatrudniony w charakterze zaopatrzeniowca ze skromną pensją wypłacaną przez PSP. Przez Klaudiusza Jędrusika poznałem środowisko ludzi zajmujących się sztuką, twórców z grupy St-53. W okresie preferowanego wówczas przez peerelewskich decydentów prymitywnego socrealizmu, odkryte przeze mnie w Bibliotece Śląskiej pierwsze, przedwojenne wydanie „Unizmu” Władysława Strzemińskiego, musiało wzbudzić moje zainteresowanie, bo poszerzało znacznie mój ogląd rzeczywistości.

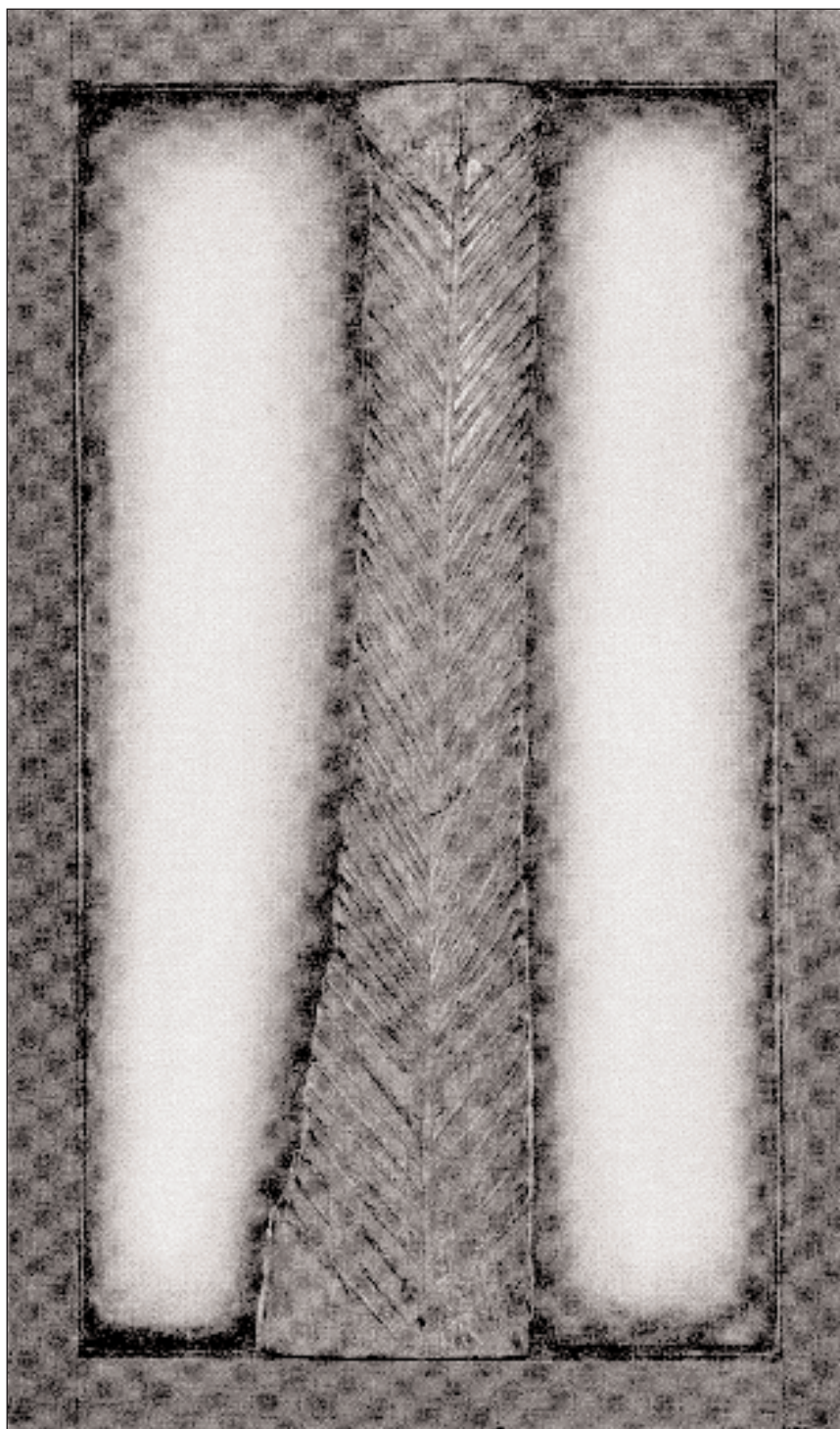
– **Pamiętam jego „Teorię widzenia”** wydaną w 1958 roku, była ona również podmiotem dyskusji, do dziś zajmuje miejsce w mej bibliotece bardziej jako nostalgiczne wspomnienie rozgwarzonych lat młodzieńczych, niż teoria do przyjęcia, ale i ty jesteś autorem ciekawej książeczki...

– Zbiorek tekstów zawartych w „Relacjach z nocnych podróży” jest podsumowaniem czasu współpracy w latach 1962–1970 z przyjaciółmi w grupie nazwanej później „Oneironem” czyli „śnialnią”.

– ... w kręgu ze znanymi kolegami: **Andrzejem Urbanowiczem, Urszulą Broll, Henrykiem Wańkiem i Antonim Halorem** tworzyliście grupę „Oneiron”...

– Na temat grupy już wystarczająco napisano, dużo mówiono, z dowcipami w rodzaju „non-iron” włącznie. Powstało też trochę anegdot, a w obiegu funkcjonuje kilka, co najmniej pięć wersji dziejów „Oneironu”. Każda zabarwiona subiektywnie innymi doświadczeniami. Pomijam oczywiście te, które zalegają w tomach IPN-u. Potwierdza to tylko wagę i znaczenie zjawiska, jakim w świecie sztuki i kultury śląskiej była działająca w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku nasza mała grupka twórców. Dla mnie była to również okazja do samokształcenia. Książeczka powstała z niewielkiej części zgromadzonych przed laty zapisków, notatek.

– **Doprowadziłeś także do wydania publikacji o Pawle Szneli. Śledziłem twoje zabiegi, w wyniku których**



Zygmunt Stuchlik „!”, 1968, technika własna, olej, płótno, deska, wł. Muzeum Śląskie w Katowicach

nasz kolega z Bytomia zyskał książkowo przedłużone życie w naszym środowisku.

– Doprowadzić dzisiaj na Śląsku do wydania najskromniejszego albumu na temat życia i działalności twórcy, wymaga rzeczywiście cierpliwości i uporu. Na początku potrzeba jednak wyjątkowego szczęścia, aby znaleźć przekonanego do pomysłu, życzliwego wydawcę.

W sumie zajęło mi to dwa lata usilnych starań. Dlaczego o Pawle Szneli? To człowiek z pokolenia naszych ojców, ludzi, których życiorysy zostały w okrutny sposób, przez wydarzenia

pierwszej połowy dwudziestego wieku, zdeformowane. Ludzie, którzy mimo wszelkich przeciwności, zdołali w niesprzyjających warunkach zachować wiarę w sens aktywnej, twórczej postawy w życiu oraz tchnąć w młodych pogodę ducha, zarażać nadzieją.

Paweł Sznela pozostawił nam dzieła piękne, wyjątkowe.

– **Przeżył swoje lata utrzymując się z twórczości, a dziś....**

– Ooo tak!! Życ z twórczości to wyjątkowo ciekawe zadanie, to życie z pewnością nie nudne. W zmiennej naszej rzeczywistości (np. w stanie wo-

jennym), aby utrzymać się na powierzchni, trzeba było jednak czasem robić rzeczy niekoniecznie związane z sztuką.

Nie byłem na szczęście sam: miałem dzieci, żyję z kobietą, odporną jak i ja na przeciwności losu. Jesteśmy z roczników, które dzieciństwo i młodość przeżyły w czasach wojny a potem w niełatwych latach komunizmu. Zostawmy ten temat! Jak mówi nasz wnuk: „to prehistoria”. Cieszymy się, że wnuki żyją w lepszych czasach. Szkoda jednak, że one o tym nie wiedzą.

– **A twoja droga do uprawianej profesji jak cię wiodła?**

– Miałem szczęście, bo trafiłem do wyjątkowej w czasach powojennych szkoły, do Gimnazjum i Liceum św. Jacka w Katowicach. Byłem uczniem przeciętnym (skromnie nie powiem, że słabym), jednak wyniosłem z tej szkoły umiejętność zdobywania wiedzy, nie tylko tej wyznaczonej programem szkolnym, a co dla mnie najcenniejsze, zdolność samodzielnego myślenia. Nie dano mi okazji do studiowania sztuki w państwowej uczelni, wobec czego pozostało mi przygotować się do wykonywania zawodu plastyka samodzielnie. Przeznaczyłem na ten cel okres pięciu lat. Udało mi się zrealizować plan nie po pięciu, a po siedmiu latach i w 1967 roku otrzymałem legitymację członka ZPAP. Wcześniej brałem już jednak udział w wystawach ogólnopolskich, w tym wystawie indywidualnej moich prac w Warszawie. Kariery naukowej tym sposobem nie zrobiłem, lecz stworzyłem sobie warunki do zarabiania pędzlem i twórczej pracy.

– **Patrząc na twój komputer zajmujący ważne miejsce w twojej pracowni, widzę i wiem, że potrafisz się dobrze godzić także z nowymi narzędziami, jakie to urządzenie udostępnia...**

– Komputer znalazł się u mnie z kilkuletnim opóźnieniem, bo dopiero w końcu lat dziewięćdziesiątych. Jak wiesz, najtrudniej zrezygnować z własnych nawyków, pokonać niechęć do zmian. Człowiek w wieku tzw. podeszłym, bezwiednie ciężko, jaka by nie była, małej czy zaawansowanej, stabilizacji i zapomina, że to dla naszej profesji objaw niezwykle groźnej drętwoty umysłowej. Myślę, że umiejętność wykorzystania przez nas w pracy nowych narzędzi, między innymi i komputera, to nasz duży sukces, sukces ludzi, którzy kiedyś z trudem uczyli się zawodu mając w praktyce do dyspozycji tylko proste, czasem nawet prymitywne narzędzia. Czy nie masz jednak czasem, drogi Henryku, wrażenia, że w porównaniu z efektami naszej pra-

cy wtedy, tym dzisiejszym komputerowym, technicznie doskonałym pracom, brakuje często ducha?

–... **Myślę, że to zbyt świeże narzędzie by je jednoznacznie definiować, Gutenberg, też nie od razu został doceniony.... a kolej żelazna, powszechny środek lokomocji miała równie przesądne początki. Mówią, że i ty z niej oszczędnie korzystałeś, idąc podobno na piechotę do Wiednia.**

– Patrzcie, a ja nic o tym nie wiem! Mówisz do Wiednia? A to, to zwyczajna historia. W 1989 roku dostałem pierwszy w życiu paszport i postanowiłem odwiedzić syna w Wiedniu.

Gdybym wszedł do pociągu pociągowego, niewiele świata, którego byłem ciekawy, mógłbym wówczas zobaczyć a straciłbym na bilet niemało grosza z mojego chudego portfela.

Wsiadłem więc o piątej rano do osobowego drugiej klasy w kierunku Chłupka. Tam z dworca do granicy nie daleko. Minąłem z moim plecaczkiem długą, podwójną kolejkę samochodów, osobowych i ciężarowych. Dość szybko odbyłem odprawę celną, jako że więcej piechurów tam nie było. Celnicy byli chyba miłośnikami sztuki, bo ich szczególne zainteresowanie wzbudził mój blok rysunkowy z kilku akwarelkami. Ruszyłem więc poboczem drogi w kierunku Bohumina. Już w mieście postanowiłem sprawdzić moją umiejętność komunikowania się z obcokrajowcami i zapytałem wczesnego przechodnia o drogę do nadraży. Ten spojrzał na mnie i powiedział: „niech pan mówi po polsku”.

Pechowo trafiłem na dojrzałego poliglotę. Na dworcu kupiłem u czeskiej kasjerki bilet na osobowy do Breclavia. W drodze mogłem w pełniowym wagonie podsłuchiwać współpasażerów jadących do pracy i obserwować przez okno mijane krajobrazy.

Szybko, mimo planowej przesiadki, znalazłem się na południowym krańcu Czech.

Jeszcze tylko kolejką, czy tramwajem do Mikulowa, bezludnego miasteczka z górującym nad okolicą zamkiem na wzgórzu. Idąc w kierunku granicy spotkałem tylko, skubiącą obok chodnika trawę białą kozę. Nudzący się beczynnością na pustym przejściu granicznym czeski celniczy, potraktował mnie podejrzliwie: dokąd, po co, dlaczego? W drodze do ich austriackich *vis a vis*, miałem okazję podziwiać druty kolczaste, drewniane wieże strażnicze i szerokie pole zaoranego ugoru. Austriacki celniczy o nieprzystępnej twarzy (widziałem tylko jednego), udawał, że pieszy podróżny z plecakiem to dla niego chleb powszedni, zabrał paszport i zniknął wśród za-

budowań na dziesięć minut, pozwalając mi stać na pustym przejściu. Kiedy się w końcu zjawił, wypowiedział mi jeszcze z ilości papierosów i butelek alkoholu, zwrócił paszport i życzył szczęśliwej podróży. I znowu, pustą szosą, tym razem wśród pól wysokiej, dojrzejącej kukurydzy, zawędrowałem do wyludnionego, jak się wydawało, miasteczka. Na małym ryneczku stała nieczynna karuzela z wiszącymi na łańcuchach fotelikami. Na jeden z nich starał się bez powodzenia wdrapać kilkuletni chłopaczek. Zobaczyłem też otwartą, pustą restaurację, w której zaskoczony barman poinformował mnie o odchodzącym za godzinę autobusie do Wiednia. Moja kilkugodzinna podróż przez prowincjonalną Austrię, jej nieznanne krajobrazy, architekturę miasteczek i zagospodarowanie wsi, dostarczyły mi niecodziennych wrażeń. Do stolicy Austrii dojechałem o zmroku.

– **Wyprasowałeś mi, opowiedzianą z dużym poczuciem humoru historijką...**

– Naturalną reakcją naszej psychiki na różne sytuacje życiowe, i te zwyczajne, tragiczne czy komiczne, może być śmiech. Dziecko, na które krzyczymy, reaguje czasem płaczem czasem śmiechem, co u niedoświadczonego rodzica wywołuje zwykle nieuzasadnioną wściekłość. Śmiech jest tworem mechanizmu obronnego psychiki, wentylem bezpieczeństwa. Nie bez powodu kojarzy się śmiech ze zdrowiem. Drogi Henryku, *a propos*, przy twoim poczuciu humoru, czuję się ponurakiem.

– **Znam cię z wielu ciekawych przyzwyczajzeń, kultu dla tradycji i wiedzy z zakresu medycyny naturalnej.**

– Większość z nas wywodzi swój rodowód z chłopstwa. Tak zwana klasa robotnicza to wynalazek XIX-wieczny. System feudalny zakończył żywot, po dłuższych męczarniach dopiero 150 lat temu. U nas oczywiście, bo są państwa, w których funkcjonuje do dzisiaj i ma się dobrze. Trochę mniej z nas pochodzi od małomiasteczkowych rzemieślników czy kupców, jeszcze mniej z ziemiaństwa. Natomiast potomków koturnowej szlachty spotykamy niewielu, jak rodziny w społemowskim keksie. Więcej za to ujawniło się w ostatnich latach kandydatów na króla Polski. Tradycje ludowe, chłopskie naszych przadków są nam bliskie dzięki ich barwnej egzotyczności, sielskości. Są nadal żywe, bo wartościowa kultura plebejska o odrębnym, wyrazistym charakterze, nie zdołała jeszcze na Śląsku zaistnieć. ■

II Katowickie Dni Henryka Mikołaja Góreckiego W hołdzie Patronowi

Zakończyły się II Katowickie Dni Henryka Mikołaja Góreckiego. To wydarzenie muzyczne jest hołdem składanym patronowi Filharmonii Śląskiej przez instytucję, której związki z twórcą „Symfonii pieśni żalostnych” sięgają czasów młodości kompozytora. *Muzycy Filharmonii Śląskiej urządzili mój PIERWSZY w życiu koncert kompozytorski – studentowi III roku Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach. To były moje muzyczne narodziny – wielkie i ważne dla mnie przeżycie* – pisał we wspomnieniach Henryk M. Górecki. W ubiegłym roku, w którym Śląsk honorował 80. rocznicę urodzin twórcy, zainaugurowano cykliczne wydanie muzyczne: Katowickie Dni Henryka Mikołaja Góreckiego. Ich data nie jest przypadkowa, ramy czasowe wyznaczają daty: śmierci (12 listopada) i urodzin (6 grudnia) kompozytora. W programach koncertów zaplanowano dzieła patrona Filharmonii Śląskiej w kontekście dorobku minionych epok i utworów innych kompozytorów, których twórca cenił.

Tegoroczną edycję otworzył 12 listopada w siedzibie Filharmonii koncert, w którym wystąpili muzycy Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Śląskiej i RTV Slovenia Symphony Orchestra pod batutą Jerzego Salwarowskiego. Zespoły współpracują ze sobą w ramach unijnego projektu ONE – *an Orchestra Network for Europe*, w którym bierze udział sześć orkiestr: z Francji, Polski, Słowacji, Słowenii, Czech i Niemiec. W programie koncertu inauguracyjnego znalazły się Pieśni z dwóch opusów „Szeroka woda” (op. 39) i „Wieczór ciemny się unia”

(op. 45) Henryka M. Góreckiego, które wykonał chór filharmoniczny pod dyrekcją Jarosława Wolanina oraz ceniona przez H.M. Góreckiego *VII Symfonia*, słynna *Leninградzka* Dymitra Szostakowicza. Kolejny koncert (15 listopada) uświetnił swoją obecnością Marek Toporowski, który ze Śląską Orkiestrą Kameralną pod dyrekcją Roberta Kabary wykonał *Koncert na klawesynie i orkiestrę smyczkową op. 40* Henryka M. Góreckiego. Wieczór zakończyła *Orawa* Wojciecha Kilara. 19 listopada w *Starej Bibliotece* melomani mieli okazję nie tylko wysłuchać *Serenady Es-dur op. 6* na orkiestrę smyczkową Josefa Suka w znakomitym wykonaniu Śląskiej Orkiestry Kameralnej pod dyrekcją Roberta Kabary, mogli również spotkać się z panią Jadwigą Górecką, żoną kompozytora, która znana jest z niechęci do udzielania wywiadów, poddała się jednak



Orkiestry pod batutą Jerzego Salwarowskiego zainaugurowały II Katowickie Dni Henryka Mikołaja Góreckiego.



Z żoną kompozytora Jadwigą Górecką rozmawiała Violetta Rotter-Kozera.

urokliwej rozmowie, w którą wciągnęła ją Violetta Rotter-Kozera. Były więc wspomnienia z młodości, z rodzinnego domu, echa przedpremierowych emocji. Gości śląskich filharmoniczków była także jedna z najwybitniejszych japońskich pianistek Rina Sudo, singapurski szef chińskiej orkiestry James P. Liu a także Johannes Götz, dzięki któremu po raz kolejny słuchacze mieli okazję zachwycić się brzmieniem organów zaprojektowanych dla Filharmonii Śląskiej przez Juliana Gembskiego.

Tegoroczną edycję *Dni* zakończył koncert 6 grudnia, podczas którego miało miejsce prawykonanie „Inspiracji lirycznych na głos żeński, orkiestrę smyczkową, fortepian i perkusję do wierszy C.K. Norwida” Jana Wincentego Hawela. Tego wieczoru wystąpili: Śląska Orkiestra Kameralna, Chór Filharmonii Śląskiej, Ewelina Szybilska (sopran) i Klaudia Możdziej (mezzosopran).

W lutym przyszłego roku śląscy filharmonicy zapowiadają pierwsze polskie wykonanie *IV Symfonii* H.M. Góreckiego *Tansman Epizody*, którą po śmierci kompozytora dookończył jego syn – Mikołaj.

MARIA SZTUKA

www.poradniajęzykowa.pl

Jaka jest poprawna forma: Bieszczadów czy Bieszczad?

Słowniki podają dwie akceptowane wersje dopełniacza tej nazwy: *Bieszczad* i *Bieszczadów*, co wśród nazw geograficznych miewających formy oboczne nie jest niczym niezwykłym. Często bywa tak, że jeden z wariantów odmiany jest formą, przynajmniej początkowo, używaną lokalnie (jak np. *Lidzbarka* i *Lidzbarku*, *Białobrzegów* i *Białobrzeg*, *Tych* i *Tychów*).

Obie formy – *Bieszczad* i *Bieszczadów* – mają uzasadnienie, które potwierdzają zarówno współczesne tendencje fleksyjne, jak i fakty historycznojęzykowe. Maciej Malinowski w książce *Obcy język polski* za przyczynę rozpowszechniania się formy *D. Bieszczad* uznaje analogię do nazw innych pasm górskich: *Alpy* – *Alp*, *Pieniny* – *Pienin*, *Tatry* – *Tatr*, *Karpaty* – *Karpat*. Zwraca też uwagę, że nazwy innych łańcuchów górskich przybierają końcówkę *-ów*: *Andy* – *Andów*, *Balkany* – *Balkanów*, *Gorce* – *Gorców*, *Kordyliery* – *Kordylierów*,

Pireneje – *Pirenejów*, *Sudety* – *Sudetów*. Mistrz polskiej ortografii (podobnie jak wcześniej Witold Doroszewski, który w drugim tomie swego poradnika językowego *O kulturę słowa* wspominał o „wpływie bliskich Beskidów”), zauważa także geograficzne uwarunkowanie form odmiany, wskazuje bowiem, że ludność zamieszkująca Bieszczady, będące częścią Beskidów Wschodnich, pod wpływem formy *Beskidów* używa również formy *Bieszczadów*. Wskazać także warto, że Stanisław Jodłowski i Witold Tazyski w *Zasadach pisowni polskiej* podają liczne przykłady świadczące o tym, że w nazwach geograficznych większą popularnością cieszy się końcówka *-ów*.

Dodatkowe, historycznojęzykowe argumenty przemawiające na korzyść obu omawianych form dopełniacza przedstawia prof. Aleksandra Cieślakowa w opinii sformułowanej dla Poradni Językowej PWN. Pisze ona, że od średniowiecza nazwa *Bieszczady* (tak samo, jak nazwa *Beskidy*) występowała w dwóch obocznych wariantach: w formie (*ten*) *Bieszczad*

(która była liczbą pojedynczą, oznaczającą zbiorowość, podobnie jak dziś np. *Beskid Wschodni*, *Beskid Niski*) i w formie (*te*) *Bieszczady* (będącej plurale tantum, czyli rzeczownikiem nie mającym liczby pojedynczej, występującym tylko w liczbie mnogiej, jak np. *sanie*, *spodnie*, *Tychy*, *Gliwice*, *Katowice*). Od formy (*ten*) *Bieszczad* tworzono M. Im. *Bieszczady* i D. Im. *Bieszczadów* (analogicznie jak *obiad* – *obiady* – *obiadów*). Z kolei forma plurale tantum (*te*) *Bieszczady* odmienia się jak *Karpaty* – *Karpat*, *Tatry* – *Tatr*, *Katowice* – *Katowic*, a więc D. Im. to (*tych*) *Bieszczad*.

Interesujący jest poza tym fakt, że według przypuszczeń badaczy, które przedstawiła m.in. Maria Malec w *Słowniku etymologicznym nazw geograficznych Polski*, nazwy *Beskidy* i *Bieszczady* są etymologicznie pokrewne, wywodzą się bowiem z pierwotnych form: **b (i) eskyd* (ta dała początek nazwie *Beskid*) oraz **b (i) esked* (z niej rozwinęła się forma *Bieszczad*), które odpowiadają np. średnio-wysoko-niemieckiemu *beschet* i skandynawskiemu *besked* o znaczeniu ‘rozdział, rozdzielenie, rozłączenie’ odnoszącym się zarówno do działu wodnego, jak i grzbietu górskiego.

KATARZYNA WYRWAS

31 października w III Alei Najświętszej Maryi Panny, tuż naprzeciwko Haliny Poświatowskiej zasiadł na ławeczce Marek Perepeczko. W organizowanym w tym roku plebiscycie lokalnej „Gazety Wyborczej” na „Człowieka 25-lecia w Częstochowie” zajął drugie miejsce, tuż za Muńkiem Staszczykiem. To dowodzi nie tylko pamięci mieszkańców, ale przede wszystkim uznania doskonałego aktora za swojaka.

Pojawił się w Teatrze im. Adama Mickiewicza w 1996 r. na zaproszenie ówczesnego dyrektora Henryka Talara, by zagrać w *Locie nad kukulczym gniazdem* w reżyserii Łukasza Wylężałka rolę Wodza Bromdena. Niemal rok później przejął dyrekcję naszego teatru. To były dobre dwie kadencje, zainaugurowane *Moralnością pani Dulskiej* w reż. Ignacego Gogolewskiego z Emilią Krakowską w roli tytułowej. Pierwszy spektakl wyznaczył profil jego dyrektorowania. Poza Emilią Krakowską w Częstochowie gościnnie wystąpili również Barbara Wrzesińska czy Janusz Zakrzęski; pojawiali się także znani aktorzy-reżyserzy – Krystyna Janda przygotowała *Na szkle malowane* Ernesta Brylla, Andrzej Łapicki *Słuby panienskie, czyli magnetyzm serca* Aleksandra Fredry, Jan Kobuszewski *Dwie morgi utrapienia* Marka Rębacza, a Jerzy Bończak debiutował jako reżyser przedstawieniem *Szczęściarz* Cooneya Michaela (w 1975 r. asystował przy realizacji *Manon Lescaut* w Teatrze Rozmaitości). Ale przede wszystkim był to czas dalszej współpracy częstochowskiego teatru z Adamem Hanuszkiewiczem, rozpoczętej w 1995 r. *Baladyną* Juliusza Słowackiego. Marek Perepeczko zagrał we wszystkich realizacjach Hanuszkiewicza – w *Panu Tadeuszu* był Podkomorzym i generałem Dąbrowskim, w *Weselu*, prezentowanym później w Starym Teatrze w Krakowie na Festiwalu Stanisława Wyspiańskiego 25 maja – 4 czerwca 2000 r., był Chochołem i Wernyhora, zagrał również w *Romansach i balladach*.

Marek Perepeczko pełnił obowiązki dyrektora od września 1998 do maja 2003, pozostawał czynnym aktorem, a także reżyserem i asystentem reżysera. Przygotował m.in. *Damy i huzary* Aleksandra Fredry, widowisko *List do papieża* (w swoim opracowaniu), współpracował przy *Nowych szatach króla* wg Hansa Christiana Andersena z Bonifacym Dymarczykiem czy przy monodramie *Czołem wbijając gwoździe w podłogę*, przygotowanym przez Antoniego Rota. Założył także kabaret i wraz z Andrzejem Iwińskim stworzył niezapomniany duet charakterystyczny, a wraz z nimi występował: Agnieszka Łopacka, Iwona Chołuj, Tomasz Kmieć czy Bonifacy Dymarczyk. Poza tym włączył się w życie kulturalne Częstochowy i nawet po odwołaniu go ze stanowiska dyrektora wciąż tu przyjeżdżał. Zmarł w nocy z 16 na 17 listopada 2005 roku w mieszkaniu na Parkitce (dzielnica Częstochowy).

Marka Perepeczko upamiętniano już kilkakrotnie – jego popiersie znajduje się we foyer teatru (w 2006 nazwanego jego imie-



Marek Perepeczko zasiadł na ławeczce w III Alei Najświętszej Maryi Panny w Częstochowie, tuż naprzeciwko Haliny Poświatowskiej.

Był nie tylko Janosikiem...

niem). Ławeczka powstała z inicjatywy Muzeum Częstochowskiego, Częstochowskiego Klubu „Rotary”, przy wsparciu wielu przyjaciół, m.in. dr. Mieczysława Wyględowskiego. Przygotował ją Wojciech Pondeł, który wcześniej upamiętnił Władysława Biegańskiego, a w uroczystości odsłonięcia wzięła udział m.in. wdowa po aktorze, Agnieszka Fitkau-Perepeczko. Natomiast wieczorem w teatrze przygotowano koncert *Znać się sobą*; trzeci poświęcony Markowi Perepeczce – pierwszy tuż po jego śmierci zorganizowała Teresa Dzielska, drugi odbywał się z okazji nadania jego imienia teatralnemu foyer.

Tegoroczny koncert nie był galówką z gwiazdami, pojawili się jedynie Jerzy Bończak oraz Zbigniew Wodecki (artyista zaśpiewał ukochaną piosenkę przyjaciela *Zaczynj od Bacha* i brawurowo wykonał na skrzypcach *Czardasz* Vittoria Montiego), ale był przede wszystkim wspomnianiem aktorów swojego dyrektora. Koncert przygotował i poprowadził Robert Dorosławski, zastępca Marka Perepeczki, obecnie dyrektor częstochowskiego teatru, ale także przedstawiciel pokolenia, dla którego Perepeczko pozostał na zawsze Janosikiem. W swoim niezwykle osobistym wspomnieniu Dorosławski z tej filmowej postaci wyprowadzał kanon wartości realizowany przez aktora w codziennym życiu. Był więc człowiekiem pełnym ciepła i dobroci, wspierającym niemal każdego, na miarę swoich możliwości. Potrzebę bohaterstwa z domieszką brawury czy akceptowanego awanturnictwa, istniejącą w każdym systemie, o czym świadczą powtórki serialu, uzupełniał dobrocią. Wspominano go jako człowieka obdarzonego słabostkami, lubiącego dobrze zjeść i próbującego się odchudzić – kupował wtedy jakiś element do siłowni stojącej w piwnicy, albo kolejny rower treningowy. Był zagorzałym czytelnikiem, dlatego w częstochowskim mieszkaniu miał swój prywatny składzik książek i płyt, co pozwalało mu być interesującym i nieco jowialnym gadaczem.

w różnych odsłonach – aktor śpiewający *Piosenkę skoczka* wzywaj Włodzimierza Wysokiego (w przekładzie Wojciecha Młynarskiego), w scenach Wernyhory z Gospodarzem z *Wesela* w reżyserii Hanuszkiewicza, oraz w wywiadzie przeprowadzonym w 2005 r. przez Aleksandra Wiernego, dziś naczelnika Wydziału Kultury, Promocji i Sportu Urzędu Miasta, z okazji 40-lecia pracy artystycznej, co artysta zamierzał uczcić występem z Zofią Merle w *Płci przeciwniej* Marka Rębacza. Współpracował wówczas z Teatrem Dramatycznym w Płocku i przygotowywał kolejne premiery.

Znać się sobą... Tytuł koncertu podkreślał nie tylko pozycję Marka Perepeczki w świadomości widzów. Grał w teatrach (w przedstawieniach Czesława Wołłejki, Krzysztofa Kolbergera czy Andrzeja Wajdy dla teatru telewizyjnego), w filmach – u Wajdy był Jaskiem w *Weselu*, ale występował też w *Polowaniu na muchy*, *Brzezynie*, czy u Krzysztofa Zanussiego, a także w serialach – poza *Janosikiem* (reż. Jerzy Passendorfer, z muzyką Jerzego Matuszkiewicza) zagrał w *Przygodach pana Michała*, *Kolombach* i w *13 posterunku*, który nieustannie zadziwiał go poziomem absurdu, i cieszył się z tego, że był rozpoznawany, także za granicą (np. w Czechosłowacji). Ale jednocześnie Perepeczko obdarzał swoich przyjaciół energią i zaangażowaniem, a także licznymi prezentami z podróży. Jako aktor i reżyser naznaczał publiczność swoją sztuką, jako człowiek codziennymi sytuacjami, o których tak pięknie mówiło wielu. I pewnie właśnie dlatego tak bardzo żał, że odszedł. Nie tylko jako Janosik, Horodniczy czy Wernyhora, ale także ten, który dawał piątką, słuchał rozmówców i pozdrawiał swoim charakterystycznym głosem. To nie była okrągła rocznica śmierci, podobno Marek Perepeczko nie lubił takich okazji, ale przecież nie powinny być one jedyną sposobnością, by móc wspominać przyjaciela w nieco szerszym gronie.

Fot. Piotr Dłubak

W koncercie wystąpili: Teresa Dzielska, Agnieszka Łopacka, Iwona Chołuj, Michał Kula, Czesława Monczka, a z młodego pokolenia aktorów: Marta Honzatkó i Maciej Półtorak. A ponieważ Perepeczko był również miłośnikiem jazzu tradycyjnego, na scenie wystąpiła Five O'Clock Orchestra, która właśnie obchodzi 45-lecie działalności artystycznej, a także Michał Rorat, Andrzej Młodkowski i Mieczysław Hłond. Opowieść rozpoczęła się balladą Bułata Okudźawy *Balonik* w wykonaniu Kuli, potem piosenkę *Jak Janosik umierał* z widowiska *Na szkle malowane* zaprezentowała Agnieszka Łopacka, a następnie było na przemian sentymentalnie albo humorystycznie aż do finału w wykonaniu Iwony Chołuj, która doskonale zaśpiewała piosenkę *Jeszcze w zielone gramy* (słowa Wojciecha Młynarskiego, muzyka Jerzego Matuszkiewicza).

Wspomnienia ożywiały przeszłość, więc na ekranie pojawił się także Marek Perepeczko

JOANNA WAROŃSKA

Po wpisaniu do *Googli* nazwiska: *Piotr Szalsza*, pojawiają się strony muzyczne, teatralne, filmowe, literackie, telewizyjne... nie dziwnego, wszak to człowiek o wszechstronnych zainteresowaniach, to jednak zapewne by nie wystarczyło, aby znaleźć się na stronach z najwyższej półki.

Reżyser, muzyk, scenarzysta, tłumacz, pisarz, dziennikarz i publicysta, redaktor i producent widowisk telewizyjnych, organizator projektów muzycznych, teatralnych i naukowych, to i tak nie wyczerpuje talentów niezwykłego bytomianina. Ukończył studia w Akademii Muzycznej w Katowicach, w klasie altówki i choć już w trakcie nauki związał się z Orkiestrą PRiTV w Krakowie, kariera muzyczna nie okazała się szczytem jego marzeń. Jak powiedział pewnego dnia już nie mogłem być w grupie... to było jak w kompanii wojska a mnie ciągnęło do indywidualnej pracy. Rzucił się więc w wir pasji, która pochłaniała go od dawna. Drukował swoje recenzje i artykuły w „Ruchu Muzycznym” i „Poglądach”, pisał programy dla WOSPR, teksty do koncertów, tworzył opracowania muzyczne do spektakli teatralnych aż wreszcie trafił do telewizji, poznając jej tajniki od elementarnych podstaw. Dziesięć lat pracy w katowickiej TV zaowocowało ważnymi produkcjami m.in. obszernym cyklem telewizyjnych biografii kompozytorów XIX–XX, portretem Krzysztofa Pendereckiego, Wojciecha Kilara, posypały się więc nagrody. Kolejnym telewizyjnym przystankiem był ośrodek TV w Gdańsku, z którego w 1982 r. w wyniku „modnych” wówczas redukcji etatów udał się w nieznane, przystankiem docelowym okazała się Austria, w której pozostaje do dzisiaj.

Wszystkim zainteresowanym bogatym życiorysem autora znakomitej biografii Bronisława Hubermana (*Bronisław Huberman – czyli pasje i namiętności zapomnianego geniusza*, 2001) i jego pokaznym dorobkiem twórczym proponuję sympatyczną lekturę niezwykle interesujących „Pogawarzków” Henryka Bzdoka, który w maju („Śląsk” nr 5/2014) zaprosił Piotra Szalszę na przyjacielską pogawędkę. „Nasz reżyser z Wiednia” dowcipnie i ze swoistym dystansem opowiada o czasach „słusznie minionych”, które w mrocznym 1982 r. wprawdzie zagnały go do Wiednia, ale więzi z Polską nigdy nie zniszczyły. Najlepszym tego dowodem są nagrody i wyróżnienia, które odebrał (i nadal odbiera) za swoją działalność, są to m.in.: odznaka Zasłużony Dla Kultury Polskiej (1990), Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej (1993), jest także laureatem Złotej Sowy, nagrody przyznawanej osobom wyróżniającym się wśród Polonii. Za wkład w kulturę (m.in. za reżyserię filmu pt. „Serce Chopina”) ro-

70. rocznica urodzin, 50 lat pracy artystycznej Piotra Szalszy



Jubilat „dopieszczany” przez Mirosława Neinerta

Jubileusz nad Rawą

dziny Bytom uhonorował twórcę medalem miasta.

Kolejną dziedziną, którą pasjonuje się Piotr Szalsza są tłumaczenia. Austriacy dramatopisarze Michaela Ronzoni, Gabriel Barylli, Gerald Szyszkowitz – zagościli na polskich scenach dzięki jego przekładom, niektóre z nich sam reżyserował.

Wieczór 4 listopada w Teatrze Koresz wśród rodziny, przyjaciół, znajomych i entuzjastów dobrego teatru upłynął w niezapomnianej atmosferze (na tej scenie inaczej być zresztą nie może). Najpierw obejrzelśmy polską prapremierę monodramu Thomasa Bernharda „Po prostu skomplikowane” w reżyserii Piotra Szalszy (scenografię zaprojektowała Małgorzata Suwalska, nad światłami i dźwiękiem czuwał Sergiusz Brożek). Współtwórcą spektaklu był, co z dumą jubilat podkreślał, jego syn Marek, który jest autorem przekładu monodramu. Jak widać tradycje rodzinne znajdują godnego kontynuatora. Później, jak przystało na śląską gościnność jałda i napojów było pod dostatkiem, życzeń, serdeczności i osobistych wspomnień także.

Jubilat, usilnie starał się ukryć emocje, ale najlepszym aktorem być już nie musiał, więc w roli niewzruszonego, ku ucieszezebranych, mistrzostwa nie osiągnął.

Niełatwego zadania, jakim jest monodram Bernharda podjął się Antoni Gryzik, znakomity aktor Teatru Śląskiego, którego od 30 lat podziwiamy na scenie (w filmie także), jego mistrzowskiego monologu *Pafnuciego* ze „Snu srebrnego Salomei” zapomnieć nie sposób. Materia, z którą przyszło mu się zderzyć do łatwych nie należy. Dla reżysera wynurzenia *starego aktora* stały się pretekstem do osobistych konfrontacji, zmuszając widzów do wejścia we własny życiowy bagaż doświadczeń, znacznie wykraczających poza teatralną rampę. *Nam, artystom, sztuka towarzyszy przez całe życie* – mówi reżyser-jubilat. – *Obdarza nas łaską i koronuje nas niekiedy. Jednak korona, którą wolno nam czasem nałożyć, może nagle stać się za ciasna. Wówczas przemienia się w koronę cierniową. Staje się fatum. Sprawia ból. Ciępienie, które w ostatecznym rozrachunku stanowi jednak element pewnej całości. Z perspektywy czasu powstaje bowiem dialektyczna korelacja między sukcesem i klęską. Są to dwa nierozłączne składniki życia.*

Zderzenie dwóch tak silnych osobowości jak Piotr Szalsza i Antoni Gryzik wydało owoc dojrzawy. Wewnętrzna spowiedź artysty jest przekonująca, chwilami przerażająca ale ani przez moment nie popada w sprzyjającą wynurzeniom egzaltację. Jest scenicznie nienaganna i czysta, choć chwilami drapieżna a wręcz okrutna. Czymże jest artysta dojrzawy, naznaczony setką postaci, w które się wcielał, bądź nad którymi pracował angażując się bez reszty? Dokąd sięga granice własnej intymności? Czy praca twórcy jest zaspokojeniem jego głęboko skrywanych namiętności, czy i komu potrzebna jest wypracowana do perfekcji sztuka tworzenia iluzji? Czy immanentnym komponentem starości jest samotność? Spowiedź, jakkolwiek wiarygodna nie daje żadnych odpowiedzi, one przychodzą znacznie później, po spektaklu.

10 listopada na wiedeńskiej scenie „Theater Brett” odbyła się druga część jubileuszu z okazji 30-lecia pracy artystycznej Piotra Szalszy w Austrii. Uroczystość zainaugurowała X Międzynarodowy Festiwal Teatrów Małych Form Europy Środkowej. Widzowie i tym razem mieli okazję obejrzeć monodram Thomasa Bernharda. Wydarzenie to współrealizowali: Wiedeńsko-Krakowskie Stowarzyszenie-Kulturalne przy współpracy z Wydziałem Kultury miasta Katowice, miasta Wiednia oraz Instytutu Polskiego w Wiedniu.

Jubilat świętuje, a my raz jeszcze dołączamy się do najlepszych życzeń.

MARIA SZTUKA



Antoni Gryzik w monodramie Thomasa Bernharda



Twórcy spektaklu w komplecie

Port Poetycki przy współpracy z Muzeum w Chorzowie jesienią 2013 roku rozpoczął nowy projekt kulturalny pt. *wiersz nie pyta o pogodę*. Inicjatywa ta jest kontynuacją spotkań muzyczno-poetyckich, które od dwudziestu lat prowadziła i organizowała zmarła jesienią 2012 roku poetka i muzyk Barbara Dziekańska – dobry duch Portu Poetyckiego i Chorzowa. Aby upamiętnić jej barwną postać i bogaty dorobek poetycki, postanowiono powołać do życia Otwarty Turniej Jednego Wiersza im. Barbary Dziekańskiej.

W dniu 27 listopada 2013 roku odbyło się pierwsze spotkanie z tego cyklu. Barbarę Dziekańską wspominali wówczas przyjaciele, rodzina i koledzy po piórze. Wiersze Barbary zaprezentowali: Marta Fox, Roma Jegor, Barbara Janas-Dudek, Jan Mieńczyk, Włodzimierz Szymczewski i Jacek Dudek. O oprawę muzyczną zadbała wieloletnia przyjaciółka Basi, wokalistka Zespołu Śląsk – Elżbieta Ogermann, której na pianinie akompaniował Wojciech Stysz.

26 listopada 2014 roku w chorzowskim Muzeum odbyło się drugie spotkanie. Swoją twórczość zaprezentowali: Roma Jegor – poetka, członkini Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego i Związku Literatów Polskich oraz Feliks Netz – poeta, prozaik, felietonista, tłumacz, krytyk filmowy, a także członek Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. O oprawę muzyczną zadbała autorka debiutanckiej płyty *Wielokropek* Mariola Konieczna przy gitarowym akompaniamencie własnym i Jarka Reclika.

W pierwszej części wieczoru Feliks Netz w takich oto ciepłych słowach wspominał patronkę spotkania: „Barbara potrafiła zachować niebywały dystans do swojego losu, któremu spoglądała mężnie w twarz. To dobra poezja Pani Barbary, dobra poezja. Każdy poeta, pisarz szuka swojego boga, półboga, idola. Ona odnalazła go dość późno, to był De-Sola, portugalski, genialny autor. Wracła do tej Portugalii. Tam odnalazła swoje miejsce, czuła się dobrze, była szczęśliwa. I wracała z powrotem do Rudy, do tych swoich miejsc (...). Wrażliwa niezwykle osoba. Dobrze, że taki turniej się odbywa, że pamiętamy”.

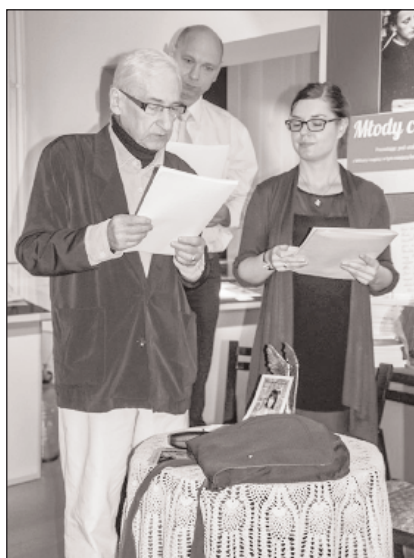
Feliks Netz zaprezentował przybyłej publiczności wiersze z tomu *Krzyk sowy*, który ukazuje się w grudniu nakładem „Toposu”. Natomiast Roma Jegor podzieliła się tekstami, które ukazują się w przyszłym roku w nowej książce poetyckiej.



Wiersz nie pyta o pogodę

Mech

*jeżeli naprawdę nie możesz
zawiesić w powietrzu skowronka
przyczep chociaż cinę do sufitu
zabierz mnie cichcem na dzikie łąki
nie pozwól zostać strzępem materaca
wchłaniającym kolejne kroplówki
nie pozwól
jestem przecież leśnym mchem
i łaknę deszczu
przez uchylone okno
poślij w świat ogłoszenie:
pół szafki multiwitamin
i kompotów malinowych
oddam pilnie
za łyżkę wody z potoku
wszystkie brzozy chodzą tu w białych
kitlach
roznoszą babie lato w ampulkach
nie domykaj okna
nadarza się szansa
ulecę stąd któreś nocy
spotkamy się w deszczu
po północnej stronie drzew*



Połączenie dwóch osobowości, doświadczeń i poetyk prezentowanych utworów zbudowało niebywałą atmosferę. Klimat chorzowskiego Muzeum wraz z bieżącą wystawą poświęconą baśniom śląskim dopełnił całości literackim wycieczkom. Od wspomnień przez dopiero co powstałe, parujące jeszcze wersy, do planów wydawniczych, a wszystko to okraszane przejmującą muzyką. W tym właśnie momencie przyszedł czas na II Otwarty Turniej Jednego Wiersza im. Barbary Dziekańskiej. W konkursie wzięło udział 21 poetów, których wiersze oceniało jury w składzie: Feliks Netz, Jacek Dudek i Sylwia Borowik. Po emocjonujących

obradach przyznano nagrody następującym twórcom. I miejsce: Mirosław Kowalski, II miejsce: Jan Baron, III miejsce: Ewa Olejarz. Jury postanowiło także wyróżnić utwory Patryka Chrzana, Katarzyny Berety i Julii Chelminiak.

Laureaci pierwszego, drugiego i trzeciego miejsca otrzymali nagrody finansowe, ufundowane przez Muzeum w Chorzowie, które wręczyła pani Irena Białas – dyrektor Muzeum i nieoceniona współorganizatorka spotkania. Oprócz nagrody finansowej zwycięzca turnieju otrzymał statuetkę, którą po raz drugi ufundowała rodzina Barbary Dziekańskiej – córka Aleksandra Stańczyk i mąż Lech Dziekański.

Wiersz nie pyta o pogodę wpisał się na stałe w kalendarz imprez literackich nie tylko Chorzowa, ale także Śląska. Należy w tym miejscu wspomnieć twórców, którzy dotarli na spotkanie z odległych miast. Wieloletni przyjaciel Barbary Dziekańskiej, poeta i fotograf, Andrzej Walter przyjechał z Krakowa. Aby upamiętnić ten wyjątkowy dzień, przygotował fotografie Barbary wraz z pamiątkową inskrypcją, które zostały przekazane wszystkim gościom. Paweł Dąbrowski – poeta i felietonista skuszony wyjątkowym, poetyckim klimatem Śląska, postanowił dotrzeć na spotkanie aż z Wrocławia.

Spotkajmy się zatem w przyszłym roku w ostatnią środę listopada, by wspominać, wzajemnie się inspirować i cieszyć słowem. Tym napisanym, wypowiedzianym, bliskim. Słowem, które może unieść wszystko kilka centymetrów nad ziemią. Prezentujemy też wiersz laureata turnieju Mirosława Kowalskiego.

BARBARA JANAS-DUDEK

Rocznica Adolfa Dygacza

Przypadającą w tym roku setną rocznicę urodzin Adolfa Dygacza cieszyński Instytut Muzyki US uczcił uroczystością (24 października), na którą złożył się koncert w wykonaniu pracowników instytutu oraz uczelnianego chóru „Harmonia” pod dyrekcją Izabeli Zieleckiej-Panek (wykonano utwory kompozytorów związanych z cieszyńską uczelnią, m.in. Jana Sztwiertni, Ryszarda Gabryśia, Jana Gawłasa, Stanisława Hadyny, Karola Hławiczki) oraz sesja naukowa, podczas której wygłoszono referaty o tematyce związanej z lokalną kulturą muzyczną. Punktem kulminacyjnym uroczystości było nadanie jednej z sal uniwersyteckich imienia Adolfa Dygacza – na pamiątkę oddanego pedagoga, który był duchem opiekuńczym cieszyńskiej placówki, inspiratorem wielu ważnych wydarzeń, a na co dzień – pogodnym, pełnym humoru kolegą.

Festiwal młodych laureatów

Od 12 do 26 października odbywał się XXIV Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych, zorganizowany przez Instytucję „Silesia”. Impreza przebiegła z rozmachem – w sumie odbyło się 37 koncertów – na miejscu oraz w kilku miastach polskich (Krynica, Nowy Sącz) i zagranicznych (Koszyce, Ostrawa, Saint-Etienne, Lyon). Formuła imprezy została w tym roku rozszerzona – do udziału dopuszczono bardzo młodych artystów, nie będących jeszcze nawet studentami (np. w koncercie inauguracyjnym wystąpił świetny zespół kameralny „Humi Accordion Band” ze szkoły muzycznej w Radomiu), nadto zrealizowano zamówienia kompozytorskie, dzięki czemu festiwalowa publiczność mogła usłyszeć nowy koncert fletowy Piotra Mossa (z solistą Leszkiem Długoszem) oraz obejrzeć bajkę muzyczną *Historia pewnej melodii*, autorstwa Kamila Pawłowskiego i Katarzyny Prudło. Bajkę zaprezentowali artyści związani z katowickim teatrem Lalki i Aktora „Ateneum”. Do najważniejszych wydarzeń festiwalu należały dwa koncerty, na których wystąpili tegoroczni laureaci konkursu ARD w Monachium. Pierwszy z nich wypełnił występ altowiolistki Katarzyny Budnik-Gałazki i pianisty Piotra Kopczyńskiego. Artyści zagraли m.in. dwie monumentalne sonaty altówkowe – Brahmsa (op. 120 nr 2) i Szostakowicza (op. 147). W drugim zaprezentowali się dwaj młodzi Rumuni: pianista Florian Mitrea (zagrał *Koncert A-dur* KV 488 Mozarta) i wiolonczelista Andrei Ionita (wykonał *Koncert wiolonczelowy D-dur* Haydna). Solistom towarzyszyła Śląska Orkiestra Kameralna pod dyrekcją Roberta Kabary. Pozostałą część koncertu wypełnił występ rewelacyjnego wirtuoza perkusji Simone

MIĘDZY NUTAMI



Rubino, który zaprezentował utwory współczesnych kompozytorów, m.in. Iannisa Xenakisa i Anny Ignatowicz.

Tegoroczny festiwal, jak zwykle perfekcyjnie zorganizowany, pozwolił nam nie tylko poznać świetnych młodych muzyków, ale i docenić dobrą kondycję towarzyszących im śląskich zespołów. Doskonale rozwija się Śląska Orkiestra Kameralna pod kierunkiem swego nowego szefa Roberta Kabary, cieszy zgranie orkiestry kameralnej katowickiej szkoły muzycznej im. K. Szymanowskiego, którą poprowadził na jednym z festiwalowych koncertów Jan Stańczyk, rozpoczynający dopiero studia dyrygenckie w katowickiej uczelni. Koncerty przebiegły w przyjemnej odświeżonej atmosferze, z udziałem licznej publiczności, która miała m.in. okazję zasiąść w sali kameralnej w nowej siedzibie NOSPR.

XVI Śląskie Dni Muzyki Współczesnej

Na początek najciemniejszego miesiąca roku (4-14 listopada) przypadły XVI Śląskie Dni Muzyki Współczesnej, zorganizowane przez katowicki Oddział Związku Kompozytorów Polskich, któremu obecnie szefuje Aleksander Nowak. Koncert inauguracyjny festiwalu odbył się z udziałem NOSPR pod dyrekcją Michała Klauzy. Zawierał on aż dwa prawykonania: na początek narodowa orkiestra zaprezentowała *Koncert wiolonczelowy* Andrzeja Dziadka (solistą był Adam Krzeszowiec) – dwuczęściowy utwór o skondensowanej ekspresji i zdyscyplinowanej formie – a następnie wykonała *Chant des nuages du soir* Oscara Prados Sillero – zwycięzcy I Konkursu Kompozytorskiego im. Karola Szymanowskiego zorganizowanego przez działające w Katowicach Towarzystwo im. Szymanowskiego, kierowane przez znakomitą pianistkę Joannę Domańską. Nagrodą w konkursie było właśnie prawykonanie przez NOSPR. Utwór młodego Hiszpa-

na nawiązywał do idiomu „galijskiego”, autor skupił się na stronie brzmieniowej kompozycji, osiągając całkiem ciekawe efekty. Drugą część koncertu wypełniła monumentalna *Harmonielehre* Johna Adamsa z 1985 roku, kompozycja zaliczana do modelowych realizacji tzw. *minimal music*.

Drugi koncert festiwalowy zorganizowano w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach. Wystąpiło na nim dwoje flecistów: Agata Kielar-Długosz i Łukasz Długosz oraz pianista Aleksander Jungiewicz. Artyści wykonali kilka klasycznych polskich dzieł fletowych z okresu neoklasycznego: *Sonatę* Tadeusza Szeligowskiego, *Sonatinę* Aleksandra Tansmana (solo: Agata Kielar-Długosz) oraz *Intermezzo (sonet romantyczny)* Piotra Perkowskiego i *Sonatinę* Wojciecha Kilara (solo: Łukasz Długosz). Program uzupełniło prawykonanie *Intensamente. Muzyki na dwa flety i fortepian* Stanisława Bromboszcza, o bardzo ciekawym, prawie drapieżnym brzmieniu. Solistom towarzyszył na fortepianie Andrzej Jungiewicz.

Kolejny koncert wypełnił występ Orkiestry Aukso pod dyrekcją Marka Mosia (Sala Koncertowa Akademii Muzycznej). W programie było kolejne prawykonanie – usłyszeliśmy zgrabne, nawiązujące do neoklasyki *Freeflight* Łukasza Pieprzyka. Następnie zaprezentowano przejmujące *Struny ziemi* Tomasza Sikorskiego – przedwcześnie zmarłego kompozytora uznawanego dziś za prekursora polskiego minimalizmu oraz *Wyspy* Eugeniusza Knapika. Na finał zabrzmiało *Aukso* Aleksandra Lasonia – utwór dedykowany orkiestrze Marka Mosia, rodzaj symfonii na smyczki, nawiązujący do klasycznego modelu formalnego, wypełniony zawiłą, niepokojącą materia dźwiękową.

Ostatni koncert „Śląskich Dni”, współorganizowany przez Agencję Artystyczną „Appassionato”, odbył się w Sali Kameralnej Filharmonii Śląskiej. Wykonawcami byli: baryton Maciej Bartczak, kontrabasista Jan Kotula, pianista Piotr Sałajczyk i specjalista od elektroniki Jarosław Mamczarski. Maciej Bartczak zaprezentował cykl pieśni Raula Koczalskiego do słów R.M. Rilkego, Jan Kotula zagrał *Sonatę kontrabasową* op. 42 Davida Ellisa, a Jarosław Mamczarski współpracował z Piotrem Sałajczykiem przy wykonaniu swego *Diver-timenta I* na fortepian i elektronikę. Usłyszeliśmy także kilka utworów Tadeusza Wieleckiego: *Opened series IV* na kontrabas solo, *Miniatury na fortepian* oraz *Studium gestu... II* na fortepian. Koncert zakończyło prawykonanie nowego utworu Jarosława Mamczarskiego *Poemat liczb* na baryton, kontrabas, fortepian i elektronikę, w którym autor rozważał słowami i dźwiękami zagadnienie kosmicznej harmonii.

MAGDALENA DZIADEK



Opcja niemiecka. O problemach z tożsamością i historią w literaturze polskiej i niemieckiej po 1989 roku. Red. Wojciech Browarny, Monika Wolting. Kraków 2014, ss. 252.

Po upadku muru – niemiecko-polskie problemy z tożsamością

Kiedy kilka lat temu jeden z polskich polityków nazwał część Ślązaków „ukrytą opcją niemiecką” dało to początek dyskusjom i komentarzom pełnym oburzenia. Antagonizmy między Niemcami a Polakami, rzeczywiste czy też wyobrażone, są częstym motywem w polskiej kulturze. Poprzez literaturę (*Rota*) i film (np. *Reich*), na niewybrednych żartach kończąc.

Książka pod redakcją Wojciecha Browarnego oraz Moniki Wolting to obszerny zbiór artykułów na temat związku tożsamości z historią. Badacze, polscy i niemieccy, podejmują próbę zmierzenia się ze współczesnym „ja” obu narodów, uznając za cezurę rok 1989 – tak istotny w dziejach Europy, dający początek przemianom, jak i wymianom gospodarczym i kulturowym. Zaletą tego zbioru jest próba wyjścia poza opozycje Polak-Niemiec, ofiara-oprawca i przedstawienie zjawisk w szerszej perspektywie. Poruszane są kwestie tożsamości i jej braku,

ucieczki i powrotu do ojczyzn. Te kategorie są wszak dzielone przez oba narody, a nie wybrane nacje. Ich uniwersalność każe czytelnikowi wyjść poza znane binarność i przesuwać spojrzenie z polskiego, być może obwiniającego, na bardziej otwarte.

Teksty zostały podzielone na trzy bloki tematyczne (*Odkrywanie miejsc niemieckich*, *Przygody z pamięcią*, *Kultury w kulturze*) badające treść polskich i niemieckich dzieł literackich i filmowych. Książka jest więc nie tylko opisem różnych doświadczeń w dwóch państwach z młodą demokracją, lecz również analizą punktów stykowych i paraleli. Spoiwem łączącym utwory w pierwszej części są miejsca rozumiane nie tylko jako geograficzna przestrzeń, w której żyje jednostka, ale także jako stany umysłu, najczęściej odwołujące się do dzieciństwa bohaterów. Jak pisze w swoim artykule Magdalena Rabizo-Birek, znaczenie ma „intensywność związanych z nimi przeżyć”, a nie obecność na mapie. Taką wyobrażoną, „emocjonalną” wspólnotą może być Śląsk, o którym pisze Rabizo-Birek, badając teksty Olgi Tokarczuk i Karola Malszewskiego. Tożsamości wyrosłe na gruncie nienamacalnych miejsc są również ulotne i łatwo je zakwestionować. Dlatego tak istotne okazują się memoralibila, które pozwalają jednostce się osiedlić, przynajmniej mentalnie. Pamiętki po przodkach i wydarzeniach często urastają do rangi symboli, a historie, które opowiadają – mitów. To na takich intymnych fundamentach, a nie centralnie zarządzanych uroczystościach budowane jest poczucie przynależności. Monolityczny naród, dzielący święta i obrzędy, upadł wraz z narodowościową narracją w 1989 roku, a w ich miejsce pojawiły się indywidualne przeżycia i patchworki stworzone przez historie rodzinne. Według Eweliny Kamińskiej, tożsamość regionalna i narodowa nie muszą się wykluczać, lecz powinny się uzupełniać. Zauważa ona „pluralizm dzisiejszych społeczeństw”, co jest niewątpliwie istotną kwestią w rozumieniu nowoczesnej tożsamości, a taka może się narodzić jedynie w nowoczesnym otoczeniu.

Wojciech Browarny pisze o mieszkańcach Wrocławia jak o specyficznej grupie ludzi z łatwością dostosowujących się do nowych warunków życia. Można zaryzykować pewne uogólnienie i stworzyć obraz nowego, do tej pory niezakorzonego w danej przestrzeni mieszkańca, który pomimo braku historycznych uzasadnień utożsamia się z zamieszkiwanym obszarem, który, jak pisze Browarny, otrzymuje wartość symboliczno-kulturową.

Historie miast dotykają historii państw, a te opowiedziane są poprzez historie jednostek, na które nieustannie wpływa przeszłość kraju. Ucieczka od tych zależności jest niemożliwa. To, o czym czytelnik powinien pamiętać, jest fakt, że te miasta i tożsamości są jak opisujące je słowa – arbitralne. Dobrym przykładem takiej przestrzeni jest getto. Urszula Glensk, pisząca o Berlinie jako odwróconym getcie, doskonale opisuje, w jaki sposób nienaturalny podział kreuje „gorszą toż-

samość”. Jej esej pokazuje mechanizmy „produkcji” przez władzę antagonizmów i podziałów między „naszymi” Polakami i „obcymi”, wobec których od czuwamy niechęć, Niemcami.

Awersję do tych ostatnich bada Sławomir Nasal, twierdząc, że opisy wyjazdów do Niemiec wiążą się z traumą. Ciekawym zjawiskiem, o którym Nasal pisze, jest dialektyka różnicy, która z jednej strony daje złudne poczucie bezpieczeństwa, lecz równocześnie uwydatnia to, co inne i nieznanne. Lęk towarzyszący pobytowi w Niemczech i rzekome poczucie wyższości przejawiane przez Niemców to produkty dotychczasowych tekstów kultury z dosyć jednoznacznymi archetypami Polaka i Niemca.

Eseje z drugiej części to z kolei raczej kalejdoskop postaci i postaw wolnych od stereotypowych przywar. Powodem zmiany optyki jest moim zdaniem przeniesienie akcentu na jednostkę i jej pamięć. Dział ten otwiera artykuł Moniki Wolting, w którym pamięć przedstawiona jest jako nośnik indywidualności, nie zaś kolektywu. To właśnie pamięć jednostki „historycznie legitymizuje narodową przynależność”. Można zauważyć więc dwa poziomy, czy też dwie skale, obecne w zbiorze: mikro i makro, co pozwala czytelnikowi na holistyczny ogląd sytuacji zarówno literackiej, jak i wykraczającej poza fabułę.

W interesującym artykule Aleksandry Burdziej zauważamy, iż to jednostka jest mostem między tym, co minęło, a tym, co trwa, to ona pełni funkcję subiektywnego kronikarza losów rodzinnych. Z tej przyczyny należy zachować ostrożność w ocenie moralności bohaterów i ich ewentualnej narodowosocjalistycznej przeszłości. Narratorzy mogą manipulować odbiorcami, co jest dobrze zilustrowane w eseju Jana Süselbecka. Pisze on o ekranizacji kontrowersyjnej powieści *Lektor*. Jej czytelnikowi trudno o jednoznaczną interpretację postawy protagonistów. Motywacje i zdarzenia nawarstwiają się, przenikają i trudno o jasny mechanizm przyczynowo-skutkowy. Czas przestaje być linearny, okazuje się, że tożsamość tworzona jest poprzez historię, doświadczenie teraźniejszości i wizję tego, co dopiero nastąpi.

W ostatniej części dotychczasowe refleksje poszerzone zostają o analizę między innymi, wydawać by się mogło, wolnych od przeszłości „travellersów” – współczesnych nomadów, których tożsamość nie jest definiowana prawem ziemi, a swoboda w przemieszczaniu się sprawia, że stają się pośrednikami między krajami i nacjami. W dużej mierze to oni weryfikują powstałe latami stereotypy, konfrontując je z rzeczywistością i tworząc nowe wizerunki, zarówno samych siebie, jak i „obcych”. To pokazuje, że tożsamość nie jest sztywnym bytem, lecz ciągłym i odnawialnym procesem, czego dowodzą zebrane w książce eseje.

Mimo iż teksty prowadzą dialog z trudną i wciąż przeżywaną przeszłością, bez wątplenia nadają nową, mniej martyrologiczną kierunek badaniom nad relacjami polsko-niemieckimi.

EWA WYLĘŻEK

Wieża spadochronowa Kazimierza Gołby – najwybitniejsza osiągnięcie literackie tego pisarza – po raz pierwszy ukazała się w 1947 r. w Poznaniu. Wydanie z 2014 r. opublikowało Wydawnictwo Naukowe „Śląsk”, działające w Katowicach, mieście będącym wraz z mieszkańcami bohaterem powieści.

Książka Gołby do dzisiaj wzbudza ożywione dyskusje, co tyko świadczy o jej wartości. Ponadczasowość opowieści o harcerzach (warto przypomnieć, że pierwsze wydanie nosiło podtytuł *Harcerze śląscy we wrześniu 1939 r.*), fakt, iż nie zestarzała się i nadal, mimo fabuły wtopionej w historyczne realia, potrafi zaintrygować czytelników, wynika z talentu pisarskiego autora. Nie mniejsze znaczenie miał w tym przypadku także bardzo osobisty stosunek pisarza do miasta, regionu, w którym zamieszkał w latach 20. wieku zeszłego, i z którym związał się zawodowo i emocjonalnie do końca życia. Gołba doskonale znał skomplikowaną sytuację narodową i społeczną Śląska, rozumiał konflikty, jakie istniały między mieszkańcami regionu, i potrafił o tym pisać. Pisał w sposób zaangażowany, nie szczędził ironicznych, gorzkich słów, kierowanych zarówno pod adresem rodzimych Ślązaków, jak i tych, którzy osiedlili się na tych ziemiach, na owych południowo-zachodnich Kresach II Rzeczypospolitej.

Kreślony przez Gołbę obraz Śląska, Katowic nie można jednak jednoznacznie określić jako odbicie rzeczywistości w krzywym zwierciadle. Pisarza bowiem, jak już wspomniano, połączyła ze Śląskiem szczególna więź, z której wpływała autentyczna troska o los mieszkańców regionu. Owo przywiązanie nacechowane silnymi emocjami towarzyszyło szczególnie pisaniu *Wieży spadochronowej*.

Kolejne, ósme, wydanie powieści, różni się od wcześniejszych przede wszystkim dołączonym do niego nowym posłowiem oraz aneksem. I o tych częściach książki należy szerzej napisać, ponieważ materiał te uzupełniają dotychczasowe opracowania naukowe oraz innego rodzaju wypowiedzi, jakie do tej pory powstały w związku z *Wieżą spadochronową*.

Autorka opracowania – Krystyna Hesk-Kwaśniewicz, znawczyni problematyki śląskiej i twórczości Kazimierza Gołby – przypomniała krótko sylwetkę pisarza, a następnie wnikliwie omówiła okoliczności powstania książki. W posłowie znalazł się opis dokumentów, jakie ze spuścizny pisarza przekazała Biblioteka Śląskiej dopiero na początku tego wieku jego córka. Okazało się, że wiele z owych zapisków to uznawane za zaginionie odpowiedzi na ankietę, jaką Gołba zamieścił w 1946 r. na łamach „Gościa Niedzielnego”, a dotyczącą sytuacji i walk we wrześniu 1939 r. w Katowicach. Autorka posłowania dokonała również analizy konstrukcji samej po-

wieści: miejsca, czasu akcji; języka, wskazując funkcję użytych środków stylistycznych; a także scharakteryzowała bohaterów. Krystyna Hesk-Kwaśniewicz w zakończeniu, powołując się na wybitnych badaczy, jak Jerzy Topolski, Kazimierz Bartoszyński, próbuje odpowiedzieć na pytanie: Czy dzieło literackie może być źródłem historycznym? Ostatecznie badaczka doszła do wniosku, że: „Prawda literacka książki jest zgodna ze społecznymi wyobrażeniami o tym, co działo się we wrześniu 1939 roku w Katowicach, a z faktu, że w toku pracy literackiej dokonuje się często modelowania rzeczywistości, aby uchwycić jej istotne cechy i podstawowe relacje, zdają sobie sprawę od dawna zarówno teoretycy literatury, jak i sami pisarze. Modelowanie jednak nie oznacza fałszowania. Dlatego: «Rzeczywistość przedstawiona dzieła literackiego może być zatem źródłem dla historyka, bowiem może informować go (w płaszczyźnie prawdy esencjalnej) o istotnych strukturach świata realnego»” (s. 222).

Niezmiernie istotnym elementem, który w swoisty sposób dopełnia książkę Gołby, jest *Postanowienie o umorzeniu śledztwa* z dnia 12 lipca 2005 r. prowadzonego przez Instytut Pamięci Narodowej Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach. W dokumencie, będącym wnikliwym opracowaniem materiału dowodowego, zostało wymienionych 46 nazwisk osób zamordowanych w pierwszych dniach września z powodów narodowościowych i politycznych przez żołnierzy Wehrmachtu oraz członków Freikorpsu. W obszernym uzasadnieniu prokurator Ewa Koj, na podstawie dostępnych dokumentów, m.in. listów pisanych do Kazimierza Gołby, archiwaliów niemieckich, zrekonstruowała przebieg wydarzeń, jakie miały miejsce w Katowicach na początku września 1939 r. Chronologicznie opisała przygotowania mobilizacyjne, do których włączyli się harcerze Komendy Chorągwi w Katowicach oraz Ochotnicze Oddziały Powstańcze, a także przebieg walk.

Na koniec, już bez dodatkowych podsumowań, warto, aby czytelnicy nowego wydania książki porównali wyjątek z powieści Gołby, opisujący śmierć harcerzy na wieży (s. 167, 187-189), z następującym fragmentem uzasadnienia, dotyczącym starć pod wieżą spadochronową w Parku Kościuszki: „Generał Neuling o godz. 4.45 opuścił Mikołów, a ok. godz. 8.00 dotarł do wyznaczonego punktu postoju odległego ok. 3 km od Katowic (...) w pewnym momencie sztab został ostrzelany z wieży spadochronowej z karabinu maszynowego. W odpowiedzi Niemcy ostrzelali wieżę z armaty przeciwpancernej, co wstrzymało ogień (...). Intensywnie strzelano także z kierunku Załęża i ul. Karbowej. Opór Polaków stawał się coraz silniejszy, a był on zlokalizowany



Nowe wydanie Wieży spadochronowej Kazimierza Gołby

w południowej części miasta i w okolicach dworca katowickiego. Dopiero użycie ckm-ów i artylerii przeciwpancernej przełamało opór i pozwoliło oddziałom niemieckim na wkroczenie do miasta. Pociski artyleryjskie praktycznie rozerwały metalową burtę okalającą szczyt wieży spadochronowej. W chwili wybuchu świadkowie widzieli wypadające z wieży trzy sylwetki ludzkie (k. 238). Równocześnie z niemieckim wojskiem w walkach o Katowice brały udział oddziały Freikorpsu. W okolicach wieży w walce z żołnierzami niemieckimi zostało zastrzelonych ok. sześciu obrońców, część została ranna, a część zdołała uciec (k. 47.). Po podejściu pod wieżę oddziałów niemieckich kilku żołnierzy weszło na nią i zrzuciło czterech martwych ciał (k. 1164, 1171)”.

KATARZYNA TAŁUĆ



Barbara Gruska-Zych: *Nie ma nas w spisie*. Katowice 2014, ss. 59.

Godziny adoracji przed zmyciem się z ziemi

Czytelnik, sięgający po wydany latem tego roku kolejny tomik B. Gruski-Zych, odczuwa imperatyw skupienia się na jego okładce (autorstwa M. Piwki) oraz „prze czytania” umieszczonego na niej zdjęcia. Rzadko zdarza się tak ściśle powiązanie ikonograficznego kształtu okładki książki poetyckiej z sensami zawartymi w tekstach wierszy. Centralnym „tematem” portretu jest bez wątpienia imponująca czerwona suknia, w wyszukany sposób udrapowana, ozdobiona koronkami, na barokową modłę prowokująca zmysły. Ubrana w nią kobieta (Poetka?) pozornie „tonie” w falach obfitych draperii, domyślamy się jedynie obecności żywej osoby pod „ciężarem” przyjemnej dla zmysłów tkaniny, dzięki wysunięciu na pierwszy plan odsłoniętego lewego ramienia i fragmentu dłoni oraz na podstawie subtelnie zarysowanych konturów ciała, a także małego skrawka odkrytego dekoltu pod górnym brzegiem zdjęcia.

„zamiast mnie ta suknia (...) więc nie myl mnie z suknią”
(tylko nie myl mnie z suknią).

Intrygująca tajemniczość damy ze zdjęcia mogłaby zostać wyrażona znaną frazą ze *Sztuki poetyckiej* P. Verlaine’a: „To piękne oczy za woalu zasłona”, gdyby oczy, nawet zakryte woalką, były widoczne. Zamyśl twórca okładki był jednak taki, aby ukryć przed czytelnikami całą twarz bohaterki zdjęcia. Ukry-

cie oczu i twarzy sprawia, że zmysł wzroku musi „zstąpić” w dotyk. Odsłonięte ramię i fragment dłoni są aż nadto wymownym zaakcentowaniem roli tego zmysłu. Synestezyjne „widzenie” przy pomocy dotyku jest kluczowym motywem tomu Gruski-Zych, począwszy od inicyjalnego wiersza:

„zgubiłam swoje oczy w twoich
teraz samymi palcami sprawdzam
nasze prognozy na przyszłość”

(*** *zgubiłam swoje oczy w twoich*).

Dotyk urasta do rangi siły zdolnej nie tylko zrozumieć, ale i przemienić rzeczywistość, która wypełnia przestrzeń pomiędzy dwojgiem ludzi:

„to nasze dłonie
pierwsze wiedzą
o wszystkim” (*zabawy*).

Dotykanie kochanego człowieka pozwala na upewnienie się, że on jest, wchodzi w oczekiwana i upragniona relację miłosną. Dotyk jawi się jako najmocniejszy zmysł, jako rodzaj „administratora” wszystkich pozostałych sensualistycznych narzędzi. To pod jego „zwierzchnictwem” możliwe staje się pełne zespolenie fizyczne dwojga kochających się osób.

W wierszach Gruski-Zych zakaz Zmarłychwstałego Chrystusa, skierowany do pragnącej dotknąć Ogrodnika Marii Magdaleny, nie obowiązuje. Przeciwnie, pieśczętliwie dotykanie ciał staje się impulsem do budzenia z letargu dusz. Dotyk jest głównym źródłem ekstazy przeżyć wpisanych w scenariusze miłości pełnej – a więc będącej doskonałym połączeniem cielesnych pieśczęt i zbliżeń z duchowymi wlotami w stronę Miłosierdnego Boga:

„godziny adoracji kiedy klęczysz obok
przewracając kartki modlitewnika żadne
(...)

nasze ciała adorujące jedno drugie
pragnące się
spociec dopłynąć w sobie do tego ładu
który widzi

tylko Bóg tylko on wie jak się staramy”
(*** *godziny adoracji kiedy klęczysz obok*).

Frazy podobne do zacytowanej odsyłają do tradycyjnego języka mistyki chrześcijańskiej. Kojarzą się z tymi tekstami kultury, których autorzy, zainspirowani konwencją *Pieśni nad pieśniami*, nie stronili od śmiałego używania pojęć z zakresu erotyki do przybliżania piękna duchowej podróży duszy do Boga. Liczni twórcy nie bali się również stosowania frazeologii zarezerwowanej, jak mogłoby się wydawać, do opiewania rzeczywistości duchowej, w celu ekspresyjnego zrelacjonowania cielesnych zbliżeń. Ten dobrze rozpoznany przez badaczy kultury mechanizm występuje m.in. w pismach dyktowanych przez św. Katarzynę z Sieny, w traktatach mistycznych św. Teresy z Avila i w *Dienniku św. Faustyny Kowalskiej*. Mówienie językiem erotycznym o stanach duszy dążącej do zjednoczenia z Bogiem oraz posługiwanie się konwencją stylistyczną typową dla żarliwości religijnej w celu wyrażenia erotycznych przeżyć odnajdziemy w dziełach m. in. Dantego, Petrarki, metafizycznych poetów angielskich XVII wieku, wielu romantyków, Baudelaire’a itp.

Przenikający książkę Gruski-Zych sugestywny motyw sprzężenia duchowości i cielesności odsyła czytelnika ponownie do zdjęcia na okładce, które można by w tym kontekście zinterpretować jako emblematyczną jednosc z tekstami większości wierszy. Tak jak dzieje się w licznych dziełach poezji renesansu i baroku, utwory autorki *Nie ma nas w spisie* dają się odczytać jako literackie ekwi-

walenty „emblematu” – w tym wypadku portretu damy w czerwonej sukni. I tak jak działo się w przypadku dawnej poezji emblematycznej, również w tomiku wydanym latem tego roku zarówno element ikoniczny, jak i tekstowy mają charakter symboliczny. Czyż akşamitna suknia, w którą odziana jest kobieta, nie przypomina miłości ziemskiej ze sławnego alegorycznego obrazu Tycjana? A z kolei odsłonięte ramię, fragment dłoni i trójkącik dekoltu, czy nie kojarzą się z alegorią miłości niebiańskiej z tego samego płótna? Szokująca w pierwszej chwili tęsknota do rajskiej nagości, będącej synonimem miłości czystej, silne pragnienie zrzucenia szat maskujących, zakrywających Prawdę – ten motyw emanuje ze zdjęcia na okładce i wielu wierszy:

„rozpięta biała koszula
rozdarta koperta
jaka w niej ciepła wiadomość

twój nagi brzuch”
(*** *rozpięta biała koszula*).

Na swój sposób nieśmiała, wychylna w stronę kochanej kobiety nagość męska oraz uduchowiona, otwarta na transcendentną miłość nagość kobieca to świat przyjmujący kształt ziemskiego substytutu rajskiego. Wiosenna radość ma swoje miejsce w tym świecie przede wszystkim w chwilach erotycznych uniesień:

„tej nocy wybuchła wiosna
pierwszy krokus
w twoich rozpiętych spodniach wystawał
ponad paskiem na brzuchu nad brzegiem
suwaka” (***) *tej nocy wybuchła wiosna
pierwszy krokus*).

Chwile te jednak cechują się krótkością i niepewnością, nie chcą trwać wiecznie, przyjemność z nimi związana zmacona jest przecuciem nieuchronnej śmierci, która „tuż za nami spore czyni kroki”. Nieustająca świadomość śmierci, tak charakterystyczna dla poezji Gruski-Zych, przenika swym zimnym powiewem wiersze pełne ciepła emanującego z ciał spragnionych pieśczęt i miłosnych dotknięć. Osoba mówiąca w li czącym pięćdziesiąt jeden utworów cyklu mogła więc z całą pewnością sformułować znamienne autotematyczne wyznanie:

„piszę te słowa po naszej
nigdzie nie odnotowanej śmierci
która dotknęła żalem tylko nas”
(*** *na kartce czarnym drukiem*).

Gruska-Zych obdarowała czytelników kolejną książką pulsującą życiem, miłością i nadzieją. Poetka z Czeladzi konsekwentnie przekonuje swoimi wierszami, że wszystko, co w naszym życiu ważne, rozgrywa się w relacjach trojga osób, bohaterów opowieści z pierwszych rozdziałów *Genesis*: chodzi oczywiście o Boga, Kobietę i Mężczyznę. Przy czym to kobieta, archetypiczna Ewa, wchodzi w szczególną zażyłość ze Stwórcą, wysyłając pod adresem Pana odważny, ale przecież niewinny w swojej wymowie żart, będący niebanalną modlitwą poetycką:

„w niedzielę
wyywiesiłam na słońce wyprane majtki
chyba nie obrażę tym Pana Boga”
(*** *w niedzielę*).

Kobieta, bohaterka liryczna wierszy Gruski-Zych, zachęca Boga w tym zamykającym zbiorze epigramacie, by roztoczył nad utrudzonymi, zmagającymi się z licznymi biedami ludźmi swój Uśmiech niosący pociechę i nadzieję. Nie jest efektem przypadku, że ostatnie słowa w tomie są przywołaniem Pana Boga, będącego Alfą i Omegą, Początkiem i Końcem. W Bożym Spisie żadne imiona nie zostały pominięte.

JANUSZ NOWAK

To nie jest łatwa książka. Musiałem kilkakrotnie przerywać lekturę i sięgać do innych tekstów, choćby po to, żeby uprzytomnić sobie jakie właściwie zmiany w życiu „starego” Kościoła katolickiego wprowadzał Sobór Trydencki. W dodatku autor przypominając burzliwe dzieje Górnego Śląska w okresie wczesnonowoczesnym odwołuje się do kwestii słabo w historycznych opracowaniach na temat regionu prezentowanych i mało albo nawet w ogóle sobie nieuświadomianych przez mieszkańców. Najczęściej myślimy o określonej krainie, choć w istocie był to zbiór księstw i państw stanowych niższego rzędu. Poszczególne ziemie zmieniały właścicieli, bywały przedmiotem handlu czy zastawem. Na to nakładały się wydarzenia historyczne dotyczące Europy, takie jak wojna trzydziestoletnia, reformacja i kontrreformacja. Odzwierciedlenie tego wszystkiego znajdzie czytelnik w omawianej publikacji.

Żyjemy w czasach ekumenizmu, wspólnoty chrześcijańskiej modlą się o jedność, podkreśla się kwestie, które łączą. Być może dlatego nie pamięta się już o „rząd dusz”. Jerzy Gorzelik zwraca na to uwagę powołując się na W. Reinharda, który zajął się procesami charakterystycznymi dla kształtowania się każdej z dużych grup konfesyjnych. Chodzi m. in. o akcentowanie różnic w rytuałach, czy odrębności konfesyjnej tożsamości. Pojawiają się też takie pojęcia jak „propaganda” i „cenzura”. Spór protestantów z katolikami siłą rzeczy musiał też wkroczyć w dziedzinę sztuki, czego przykładem może być stosunek do obrazów. W Kościele katolickim kult cudownych wizerunków był wyróżnikiem, elementem identyfikującym wyznanie. Przez protestantów (choć nie byli obrazoburcami) takie podejście było zdecydowanie odrzucane.

Pora na wyjaśnienie tytułu książki. Otóż autor przedstawia trzy stany uczestniczące w procesie trydenckiej konfesjonalizacji na Górnym Śląsku. Za słowem „rezydencja” kryje się arystokracja, „klasztor” to oczywiście duchowieństwo zakonne, „miasto” natomiast odnosi się do mieszczaństwa. Trzeba zauważyć, że ten podział nie jest do końca ostry. Arystokrację wspierały wspólnoty klasztorne, mieszczan – także zgromadzenia zakonne oraz szlachta. Gorzelik wybrał trzy przykłady dla zilustrowania zaproponowanego przez siebie podziału. Arystokrację reprezentuje ród Oppersdorffów, których rezydencja mieściła się w głogóweckim dominium, nazywanym też „katolickim latyfundiem”. W części wprowadzającej do tego rozdziału przedstawieni zostają właściciele tych dóbr. Poznajemy dzieje rodu Oppersdorffów, wiernego Wiedniowi (Habsburgom) i Rzymowi (Kościołowi katolickiemu). Po części historycznej następuje opis i charakterystyka dzieł sztuki znajdujących się na terenie głogóweckich dóbr, czyli zamku, kaplic, klasztorów itd. Najbardziej mnie osobiście zainteresował podrozdział „Oppersdorffowie a najstarsze śląskie ko-

lumny maryjne i ich geneza”, sporo ich bowiem widziałem w miastach Republiki Czeskiej. Podziwiałem rzeźby, nie zastanawiałem się natomiast nad faktem, że sposób przedstawienia Madonny jako Królowej Niebios i Apokaliptycznej Niewiasty był skierowany przeciwko protestantom.

Rozdział związany z życiem zakonnym poświęcony został cysterskiemu opactwu w Rudach Wielkich. Późne średniowiecze – to nie był dla tego klasztoru czas dobry. Podobnie jak inne okoliczne konwenty bardzo podupadł, a w czasach postępującej reformacji znalazł się na granicy katastrofy. Wystarczy wspomnieć, że w cysterskich placówkach zostało w wielu miejscach po kilku zakonników. Konfesjonalizacja trydencka stała się dla Rud wybawieniem. Były wprowadzone konflikty z miejscowym biskupstwem, które chciało zakon kontrolować, ponadto zaś sprzeciwiało się posłudze cystersów w pobliskich parafiach, w końcu jednak zgromadzenie zaczęło wychodzić z kryzysu i odzyskiwać dawną świetność. Autor zwraca przy tym uwagę na zmiany, które zaszły w zasadach funkcjonowania klasztoru. Kontemplacyjny do tej pory zakon otworzył się bardziej na świat i mocno zaangażował w dzieło katolickiego odrodzenia. Zaczęła się zmieniać architektura klasztornego kompleksu, rozbudowywano i przebudowywano poszczególne obiekty, pojawiły się m. in. nowe ołtarze. Przybywały nowe dzieła sztuki sakralnej. Warto dodać, że dziś Rudy są gruntownie odrestaurowane i stały się wielką atrakcją także turystyczną.

Kolejny rozdział mówi o gliwickich dobrach kameralnych w dobie konfesjonalizacji. Gorzelik zwraca uwagę na fakt, że Gliwice w przeciwieństwie do miast sąsiednich nie zostały dotknięte kryzysem życia kościelnego w XVI wieku, nie zakorzeniła się tu również reformacja. Na Górnym Śląsku to prawdziwy fenomen. Dlaczego się wydarzył? Niektórzy historycy konsolidację miejscowej społeczności wokół wiary katolickiej tłumaczą najazdami husytów, którzy z miasta uczynili sobie bazę wypadową do rabunkowych wypraw. Po klęsce najeźdźców sprzyjający im mieszkańcy zostali surowo ukarani. Ale narodziła się też legenda o cudownym ocaleniu Gliwic w XVII wieku przez Matkę Bożą przed wojskami Mansfelda. To sprawiło, że Ferdynand II nadał miastu herb, na którym przedstawiona została Madona – Królowa Niebios nad półksiężycem. Są i dwa orły – czarny habsburski i biały piastowski, co miało symbolizować ciągłość historii. Trzeba w tym miejscu zaznaczyć, że gliwickie elity stanowili mieszczanie, bardzo zaangażowani w proces konfesjonalizacji trydenckiej. A owe „dobra kameralne” to, poza samym miastem, kilka okolicznych wsi. Autor pisze o nich w kontekście historii sztuki. Kościoły, obrazy, rzeźby, naczynia liturgiczne. Jakaś ich część ocalała, niektóre przetrwały jedynie w opisach zawartych w dokumentach. Niełatwo także ocenić wiek poszczególnych zabytków, czasem przebudowywanych, czy przemalowywanych.



Arystokraci, zakonnicy, mieszczanie

Siłą rzeczy w mojej recenzji mogę tylko zasygnalizować, i to bardzo pobieżnie, bogactwo zagadnień podjętych przez autora w tej pionierskiej i niesłychanie wartościowej poznawczo pracy. Nie czuję się kompetentny na tyle, żeby publikację oceniać pod względem merytorycznym. Wierzę autorytetom, których wypowiedzi umieszczono na ostatniej stronie okładki. Pani prof. zw. dr hab. Ewa Chojecka z Uniwersytetu Śląskiego napisała: *praca jest wysokiej klasy opracowaniem naukowo-badawczym, wnosi istotne nowe elementy poznawcze nie tylko do spraw historii sztuki, ale szerokiego krajobrazu polityczno-kulturowego epoki i regionu. A dr hab. Bogusław Czechowicz z Uniwersytetu Opolskiego dodaje: Najbardziej wartościowy, najwięcej wnoszący jest rozdział poświęcony Gliwicom (...). Badacz w pewnym sensie wydobyl ten ośrodek z naukowego niebytu (...)*

A mnie pozostaje już tylko dodać, że książka jest bardzo starannie wydana i wzbogacona ilustracjami, często mało znanymi albo trudno dostępnymi. Polecam.

BOGDAN WIDERA

Czasypismo o historii Górnego Śląska nr 1 (5) 2014. Wyd. Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Oddział w Katowicach, Katowice 2014, s. 200.

W numerze dwa duże bloki tematyczne. Pierwszy pokazuje jak wielkim problemem, a nawet przedmiotem troski i zmartwień była dla „władzy ludowej” sztuka wydawałoby się tak apolityczna jak muzyka. I to od jazzu po Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga, co akurat może się komuś wydać nieco dziwne. Bo zrozumiacie jest śledzenie i podsluchiwanie przez SB prof. Juliana Gembalskiego, który wybrał sobie organy, przez co koncertował (o zgrozo!) w kościołach. W tej części „Czasypisma” znalazła się też rozmowa Andrzeja Sznajdera ze światowej sławy harfistką prof. Helgą Storck. Niezwykle ciekawy materiał o życiu dziewczynki z Miechowic, która zagrała potem w najslawniejszych salach koncertowych świata. Drugi blok tematyczny w periodyku tworzą teksty związane z I wojną światową, także bardzo interesujące (m. in. rozmowa z prof. Ryszardem Kaczmarciem o Polakach w armii Kajzera). Polecam.

Fabryka Silesia nr 2 (7) 2014. Wyd. Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach, Katowice 2014, s. 96.

Tematem numeru jest również I wojna światowa, choć może raczej „koniec starego świata” – hasło umieszczone na okładce. Stąd w piśmie „sąsiadują” ze sobą takie postacie jak Wojciech Korfanty, ksiądz Carl Ulitzka, cesarz Franz Josef a nawet Hans Bellmer. Temu ostatniemu m.in. poświęcił swój tekst Henryk Waniek, który z wielką – jak zwykle erudycją – przybliżył czytelnikowi tego artystę-skandalistę. Odpowiedź na pytanie, dlaczego w cieszyńskim nadal mają sentyment do Najjaśniejszego Pana, cesarza w końcu zaborczego państwa, znaleźć można w materiale przygotowanym przez Andrzeja Drobika. Dla mnie natomiast ważny (i bardzo ciekawy) był esej Sebastiana Rosenbauma, opowiadający jak Górny Śląsk był postrzegany z niemieckiej perspektywy i jak się to spojrzenie z biegiem czasu zmieniło. Chyba nie muszę informować, że autorem tekstu o Korfantym w Berlinie jest Jan F. Lewandowski, który w ostatnich latach stał się głównym „korfantologiem” na Śląsku. Zachęcam do odwiedzenia tej fabryki.

Artyści powiatu Bieruńsko-Lędzińskiego. Wyd. Powiat Bieruńsko-Lędziński, Bieruń 2014, s. 80.

Ten album miał być może katalogiem do poplenerowej wystawy, ale jest na pewno czymś więcej, o czym świadczy i jego format, i twarde okładki, i jakość reprodukcji. Z tekstu Urszuli Figiel-Szcepki, która była komisarzem ekspozycji przygotowanej po piątym już plenerze „Między Wieżami” można się dowiedzieć, że tym razem tematem „zadaniem” uczestniczącym w spotkaniu artystom był *pejzaż przemysłowy, pejzaż sielankowy*. Jak twórcy „odrobili zadanie” można ocenić przeglądając publikację. Jak zwykle przy takich okazjach ich propozycje są bardzo zróżnicowane – od realizmu po czystą abstrakcję. Czyli – sięgając po banał – „każdy znajdzie coś dla siebie”. Obok publikowanych w wydawnictwie prac znalazły się biogramy ich autorów. Całość zamyka ilustrowana lista uczestników czterech poprzednich plenerów oraz fotograficzne migawki ze spotkań. Po raz kolejny mam w tym miejscu przyjemność odnotowania aktywności kulturalnej tego właśnie powiatu, jednocześnie zaś wspierania kultury przez lokalne władze. Pozazdrościć.

Urszula Rzewiczok: Dąb. Dzieje dzielnicy Katowic. Wyd. Muzeum Historii Katowic, Katowice 2014, s. 200.

Radiowa recenzja przygotowana przez Macieja Szczawińskiego była wręcz entuzjastyczna, co uzasadniała nie tylko naukową wartością publikacji, ale i tym, że między wierszami odkrył emocje, całkiem w tym przypadku uzasadnione, bo auštorka jest dębianką (a może – dębiczanką?), pisze więc o swoim miejscu. Znam Ulę Rzewiczok i wiem, że jej historyczne opracowania są zawsze bardzo solidne i rzetelne, zatem z zainteresowaniem sięgnąłem po tę książkę. To rzeczywiście rzeczowa monografia ogarniająca wszelkie dziedziny związane tak z historią jak i z życiem społecznym tego dziś nieco peryferyjnego „kawałka” Katowic. Dzieje, przemysł, szkolnictwo, parafia, mieszkańcy – wiadomości o tym wszystkim czytelnik tu znajdzie. Mnie natomiast wiele przyjemności sprawiła sylwetka Ewalda Dytko, przypominiana w dziale „Biogramy”. Ten mieszkaniec Dębu był piłkarzem, 25 razy grał w reprezentacji Polski, uczestniczył w berlińskiej Olimpiadzie i... pozostał wierny swojemu dębowskiemu klubowi.

Aleksander Spyra: Jan Kupiec jako folklorysta. Archaiiczne pieśni ziemi pszczyńskiej gra i śpiewa Regionalny Zespół „Pszczyna” (płyta CD) „Śladami Jana Kupca”. Wyd. Towarzystwo Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, Śląska Oficyna Wydawnicza Z. Spyry, Pszczyna 2013, s. 40.

Już z samej notki bibliograficznej wynika, że to książeczka do czytania i do słuchania zarazem. W części „dla czytających” znajdziemy m.in. przypomnienie dokonania folklorystycznych Jana Kupca, opis typowej dla tego regionu kapeli „Cyganka”, teksty odnotowujące (a wszystko wierszem!) szczegóły strojów ludowych – męskiego i żeńskiego, całość zaś zamyka spis publikacji o Janie Kupcu. Zamieszczono także w omawianej publikacji teksty piosenek zapisane skrzętnie przez zbieracza, a wykonywane dziś przez zespoły współczesne. Są w książeczce również reprodukcje autografów tekstów zanotowanych przez Kupca oraz sporządzonych przez niego zapisów nutowych. Nie sprawdziło się zatem jego pesymistyczne przypuszczenie z listu do redakcji poznańskiej „Oświaty”: (...) *Piosneczki, te mile piosneczki nasze, zdaje się, że się teraz wygubią.*

Krystian Krzemiński: Światło przeszłego czasu. Wiersze wybrane. Wyd. Urząd Miejski w Tarnowskich Górach, Tarnowskie Góry 2014, s. 84.

Jan Miodek, krajan autora w słowie wstępnym do tomiku napisał: „Czyta się wiersze Krystiana Krzemińskiego z ogromnym natężeniem emocjonalnym – za każdym razem takim samym, niesłabnącym”. I to jest chyba najtrafniejsza, jednocześnie zaś najbardziej wyczerpująca charakterystyka tej poezji. A przecież poeta nie próbuje zawojować czytelnika jakimiś wielkimi słowami, dramatyzmem tonu, patosem. Dla wzbudzenia u odbiorcy uczuć intensywnych stosuje środki najprostsze. Jest lakoniczny, oszczędny, ascetyczny. Trudno jednak oprzeć się wzruszeniu czytając jego opis ostatniej nocy życia matki, przejmującej „Rozmowy mamy z sąsiadką”, ale też wierszy przywołujących wspomnienia z dzieciństwa, jak choćby ten, że pani nauczycielka postawi mu dwoje, jeśli będzie się upierał przy tym, że spotkał króla Jana Sobieskiego. Krzemiński może się wydawać poetą „niemodnym”, ale to jego notowanie świata, ludzi, krajobrazów, wydarzeń zostaje w pamięci, przemawia do duszy.

60 lat temu przyznano prawa miejskie Żarowowi. Z tej okazji burmistrz Żarowa, leżącego niedaleko Świdnicy, na pograniczu Przedgórze Sudeckiego i Niziny Śląskiej, zaprosił mnie na dwa spotkania z mieszkańcami – z młodzieżą i z dorosłymi.

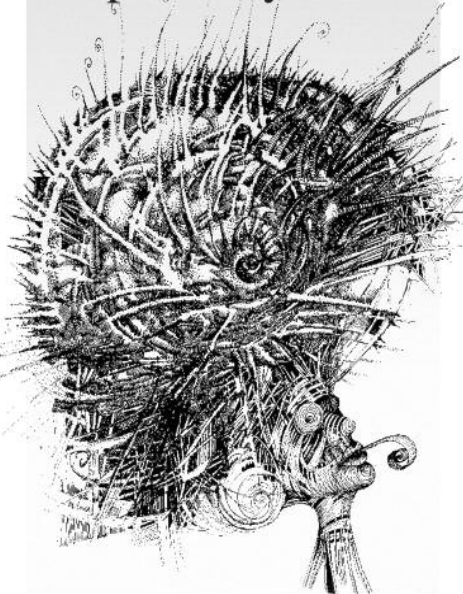
Powiedziałem im wszystkim, że nazwa ich miasta jest znakiem bardzo starej wytwórczej działalności człowieka. Żeby się gdzieś osiedlić, musiał on zdobyć jakiś nadający się do tego obszar. Różne zaś były sposoby pozbywania się terenowych niedogodności – głównie niedostępnych lasów. Najpierw była to gospodarka w znacznym stopniu rabunkowa – przez ich wypalenie, wygorzenie, wyprażenie, wyżarzenie. Określenie tej właśnie czynności stało się podstawą słowotwórczą nazw typu *Żary, Żarki, Żarów*: *zżar* było to „miejsce rozmyślnie wypalone, wyżarzone w lesie przez człowieka”, na owych zaś *zżarach* zakładano później osady, a jest ich na polskim obszarze językowym około 35.

Dolnośląski, podświdnicki *Żarów* wymieniany jest w źródłach już od XII wieku – najpierw jako *Żarzyno* i *Żarzyszcze* (1190-1201: *Scharino*, 1250: *Sarise*). Z roku 1308 pochodzi zapis *Sarow* – graficzny znak niemieckiego wariantu *Saarau* i polskiego *Żarów*, do którego wrócono w roku 1945.

Górnośląskie dzisiejsze *Żory*, leżące na szlaku drogowym z Rybnika do Pszczyny, to były też najpierw *Żary* (zapis z roku 1272: *villa nostra Sari* – „wieś nasza Żary”). Takie brzmienie potwierdzają jeszcze źródła XV-wieczne (jak informuje prof. Stanisław Rospond w swym „Słowniku etymologicznym miast i gmin PRL” z roku 1984, Kazimierz Jagiellończyk w 1488 roku zobowiązał się do wypłacenia długu w wysokości 2000 zł węgierskich, która to wypłata miała nastąpić „w *Zarzech* anebo w desseti mil od *Zarow*” (zwracam uwagę na archaiczny miejscownik w *Żarzech* i strukturalnie poprawny dopełniacz *Żarów*). Ponieważ wyraz *żar* ma gwarową wymowę z pochyłym „a”, czyli z „o”, ostatecznie utrwaliła się nazewnictwa postać *Żory* – z dopełniaczem z *Żor*, do *Żor* i współczesnym miejscownikiem w *Żorach*.

Dopowiedzmy jeszcze, że morfologicznym wariantem *Żarowa, Żar, Żor* i *Żarek* są na polskim obszarze językowym *Żdżary*. Jest to forma powstała z formy *Zżary* przez wzmocnienie wymowy rdzennego szczelinowego „ż” zwarto-szczelinowym „dz” – jako efekt tendencji przeciwdziałającej zmianie *Zżary* na *Żary*.

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Do Żarowa przez Osiek

Skoro zaś na początku dzisiejszego odcinka posłużyłem się – obok *wyżarzenia, wypalenia* – określeniami *wygorzenie, wyprażenie*, dopowiem też dla porządku, że – oczywiście – od tych dwu ostatnich podstaw pochodzą takie twory nazewnicze, jak *Zgorzelec* (niemiecki substytut *Goerlitz*), *Zgierz, Żegrze, Zegrze* oraz *Praga* i *Prażka* – dzisiejsza *Praszka*.

Z czasem bardziej ekonomicznie obchodzono się z lasem – w miejsce przywołanych wyżej wypalenia, wyżarzenia, wygorzenia, wyprażenia pojawił się *karczunek, wyrąb, poręb* (ten ostatni znaczył też w gwarach tyle, co „miejsce ogrodzone w lesie dla utrzymania w nim pasieki”). I to jest podstawa słowotwórcza takich wytwórczych nazw miejscowych, jak *Karczew, Zaręba, Zaręby, Poręba, Poręby, Porębiska, Porąbka, Porąbki, Porębka*. Tych sześć

ostatnich jest na polskim obszarze około 70 (na Śląsku koło Bytomia, Pszczyny, Strzelec Opolskich).

Do tej samej rodziny wyrazowej co *karcz, karczować, karczunek* należy *karczma* – później „gospoda, oberża”, ale etymologicznie „budynek, zajazd, oberża na karczowisku” (takie obiekty, jak pisze prof. Wiesław Boryś w swym „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 2005, obsługujące podróżnych, umieszczane były widocznie często poza terenem zabudowanym, przy ruchliwych drogach na wykarczowanym terenie). A i mamy w Polsce kilka nazw miejscowych wywodzących się od *karczmy*, takich jak *Karczemka, Karczemki, Karczmiska, Karczmy*.

Z *karczunku* powstawały też *łazy* – „pierwotne przejścia, poprzecinane przez gęstwinę puszczy ścieżki, które mogły gdzieś natrafiać na goliżny naturalne, podatne do uprawy”. Z nimi związane są nazwy miejscowe typu *Łaziska* (koło Rybnika, Pszczyny, Strzelec Opolskich), *Łazisko, Łazy*. Łącznie jest ich w Polsce około 60.

Kiedy zaś zbliżałem się samochodem do gminy Żarów, ostatnią przed nią miejscowością był *Osiek*. A mamy w Polsce *Osieków* i morfologicznie z nim związanych nazw w rodzaju *Osieck, Osiecko, Osieczka, Osieczek, Osieczka, Osieczna, Osiecznica* aż 62, w tym – 10 na Śląsku (oprócz tego podświdnickiego – koło Olesna Śl., Namysłowa, Środy Śląskiej, Oławy, Lubina, Grodowa, Milicza, Strzelec Opolskich). Niedaleko Inowrocławia natomiast znajduje się *Wodzek*, a nazwa ta wywodzi się bezpośrednio z ludowej wymowy *wosiek* – ze spółgłoskową protezą w nagłosie rzeczownika *osiek*. Ten ostatni – podstawa wszystkich przywołanych wyżej nazw – oznaczał „zasięg, warownię leśną, utworzoną z nagromadzonych i pospajanych pni drzewnych”. Był to zwykły środek obrony, stosowany w dawnych czasach dla obrony granic, brodów rzecznych, dróg przez puszcze wiodących. Przy takich warowniach musiała mieszkać ludność zobowiązana do ich pilnowania i naprawy.

Rodzajem obronnej budowli była także *izdbica* – przede wszystkim zabezpieczająca filar mostu od uderzeń kry, fali. Od tej podstawy słowotwórczej pochodzą takie nazwy miejscowe, jak *Izbica, Izbicko* (koło Strzelec Opolskich), *Izbiczno, Izbiska, Izbiszczce, Izdby, Izdebki, Izdebna* – dzisiejsza *Istebna* koło Cieszyna, *Izdebnik, Izdebno*.

Wszystkie przywołane w dzisiejszym odcinku nazwy są cennym śladem działalności wytwórczej człowieka – jakże szerokiej, jakże się technicznie doskonalącej!

Kto by pomyślał, że Miejska Biblioteka Publiczna w Czeladzi ma już ponad sto lat? Historia księżnicy sięga 1905 r., kiedy to Maria Łukaszevska otrzymała od władz rosyjskich koncesję na założenie i prowadzenie wypożyczalni książek. Pierwszą siedzibą biblioteki była dawna karczma w Rynku, wyremontowana i wyposażona dzięki pomocy Towarzystwa Saturn. Później opiekę nad zbiorami przejęła Polska Macierz Szkolna, a następnie Polskie Stowarzyszenie Oświatowe. Przybywający księgozbiór i coraz większa liczba korzystających spowodowały przenosiny do nowego lokalu wynajętego w domu państwa Machniewskich. Od 1916 r. ponownie nadzór nad biblioteką przejęła Polska Macierz Szkolna, a prowadzili ją społecznie nauczyciele czeladzkich szkół (miesięczna opłata za korzystanie z biblioteki wynosiła 50 gr. dla dorosłych i 25 gr. dla młodzieży). Od połowy 1929 r. na etat do biblioteki została przyjęta Maria Nogajowa, której imię, jako zasłużonej dla lokalnej społeczności i czytelnictwa, placówka nosi do dziś.

Nasza instytucja jako Miejska Biblioteka Publiczna działa od 1 stycznia 1949 r. Po wielu lokalowych tułaczkach doczekała się – w 1971 r. – nowego, przystosowanego do działań bibliotecznych budynku, w którym mieści się obecnie. W 2008 r. Biblioteka Główna przeszła gruntowny remont, który ogromnie poprawił estetykę pomieszczeń i wygląd elewacji oraz wpłynął na komfort korzystania ze zbiorów.

Czeladzką sieć biblioteczną tworzy Biblioteka Główna oraz 4 filie w poszczególnych dzielnicach, a także filia w szpitalu, z której korzystają pacjenci i personel.

Dla wygody naszych czytelników na bieżąco wprowadzamy do katalogów komputerowych nabytki od 2000 r., jak również wcześniejsze zbiory, aby już w niedalekiej przyszłości przejść do komputerowego wypożyczania we wszystkich placówkach (obecnie elektronicznie można zamawiać książki ze zbiorów Wypożyczalni dla Dorosłych i Oddziału dla Dzieci i Młodzieży Biblioteki Głównej). Jest to dla nas priorytetowe przedsięwzięcie z uwagi na fakt, że w 2013 r. odwiedziło nas aż 106 000 osób, które wypożyczyły łącznie 177 000 książek.

Wprawdzie głównym zadaniem biblioteki było i jest gromadzenie, przechowywanie i udostępnianie wytworów ludzkiej myśli, jednak dzisiejsze czasy pokazują, iż to za mało. Toteż biblioteka staje się miejscem, w którym przenikają się działania kulturalne, informacyjne i edukacyjne. Stąd wynika bogata oferta czeladzkiej księżnicy skierowana do szerokiego i różnorodnego grona odbiorców.

Od kilku lat koordynujemy działalność Uniwersytetu Trzeciego Wieku, organizując spotkania i wykłady o różnej tematyce (zdrowotnej, psychologicznej, kulturalnej, podróżniczej – wszystkie cieszą się zainteresowaniem, o czym świadczą kuluarowe dyskusje z prowadzącymi po wykładach). Dla seniorów prowadzone są też kursy języka angielskiego, zajęcia komputerowe i gimnastyka kondycyjna. Dodatkowo oferujemy *Spotkania z pasjami* (w ramach projektu Fundacji Orange dla seniorów) oraz szkolenia i warsztaty: wolontariat seniorów, trening motywacyjny, pierwsza pomoc w nagłych wypadkach.



Pracownicy MBP w Czeladzi

Miejska Biblioteka Publiczna w Czeladzi

Atrakcyjna stulotka

Zainteresowaniem mieszkańców Czeladzi cieszą się organizowane przez nas wystawy profesjonalnych twórców i amatorów, ekspozycje związane z historią miasta lub regionu (*Nasza klasa. Szkoła i uczniowie w dawnej fotografii*), wystawy podróżnicze (*Indie nieznanne – fotografie Piotra Kocha*) oraz te, które przybliżają literaturę i sylwetki pisarzy. Od lat współpracujemy ze stowarzyszeniami działającymi na rzecz osób niepełnosprawnych (m.in. organizujemy wystawę poplenerową *Malowane kropkami deszczu*). Powodzeniem cieszą się wystawy (*Duńskie freski sakralne*) i spotkania w ramach Festiwalu Nordalia, przybliżające kulturę krajów skandynawskich.

W bibliotece od wielu lat działa Dyskusyjny Klub Książki, z którego zrodził się Dyskusyjny Klub Filmowy (obecnie tworzy go liczne grono sympatyków i wciąż dołączają nowi), a także Sekcja Teatralna, w ramach której organizowane są wyjazdy na spektakle do Chorzowa, Cieszyna czy Bielska-Białej. Szczególną popularnością cieszą się spotkania z autorami (gościliśmy m.in.: Jacka Dehnela, Sławomira Kopra, Katarzynę Enerlich, Marka Krajewskiego) i pasjonatami podróży, pokazującymi zdjęcia – ubarwione zawsze fascynującymi opowieściami – i egzotyczne pamiątki. Idąc z duchem czasu, miłośnikom rękodzieła (tym starszym i tym młodszym) propo-

nujemy warsztaty, podczas których można nauczyć się tworzenia kompozycji florystycznych, sporządzenia dzianinowej biżuterii, scrapbookingu, decoupage'u i filcowania. Przy tworzeniu prac jest czas na pogawędkę o przeczytanych książkach i międzypokoleniową integrację. Od wielu lat angażujemy się w działania Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy (od 16 lat MBP jest siedzibą miejskiego sztabu WOŚP i głównym organizatorem akcji) oraz w lokalne działania charytatywne – festyn *Murem za murem* (zbiórka funduszy na odbudowę muru oporowego), podkreślając tym samym swoją obecność w środowisku i budując pozytywny wizerunek instytucji.

Ważnym celem naszej działalności jest wyrobienie w użytkownikach, zwłaszcza tych najmłodszych, nawyku lektury, propagowanie mody na czytanie poprzez organizowanie atrakcyjnych zajęć edukacyjno-literackich, połączonych z zabawami ruchowymi, konkursami i wystawami prac plastycznych tworzonych w bibliotece. Tradycją stały się już *Ferie i Wakacje w Bibliotece* przyciągające dzieci różnorodną tematyką. Z wielkim entuzjazmem spotykają się *Wakacje*

z eksperymentem oraz *Planszówki w Bibliotece*, które pomagają nam organizować zaprzyjaźnieni wolontariusze. Dbamy też o bezpieczeństwo dzieci i młodzieży w sieci, włączając się w ogólnopolskie akcje Tydzień Bezpiecznego Internetu czy Sieciaki na Wakacjach. Uczestniczymy w kampanii Cała Polska czyta dzieciom, przeprowadzając głośno czytanie oraz inscenizacje (ku uciesze najmłodszych) w czeladzkich przedszkolach. W ramach tej samej akcji uczniom klas I–III szkół podstawowych proponujemy spotkania z cyklu *Zawodowcy czytają dzieciom* (gościliśmy m.in.: psychologa, aktora, reżysera, policjanta, pszczelarza, funkcjonariuszy straży granicznej). Przewadzimy zajęcia otwarte dla najmłodszych oraz ich rodziców w ramach akcji *Czytanki-niespodzianki*, których głównym założeniem jest czytanie książek wzbogacone zabawami ruchowymi i edukacyjnymi. Trochę starsi miłośnicy literatury mają okazję podzielić się wrażeniami z lektur w prężnie działającym Dyskusyjnym Klubie Książki dla Dzieci i Młodzieży „Dwukropek”. Jego członkowie sami prowadzą nieoficjalny profil Klubu na Facebooku.

Promocja czytelnictwa to też spotkania z ulubionymi autorami i okazja do zdobycia dedykacji, stąd obecność u nas: Krzysztofa Petka, Grzegorza Kasdepke, Izabeli Klebańskiej czy Barbary Gawryluk.

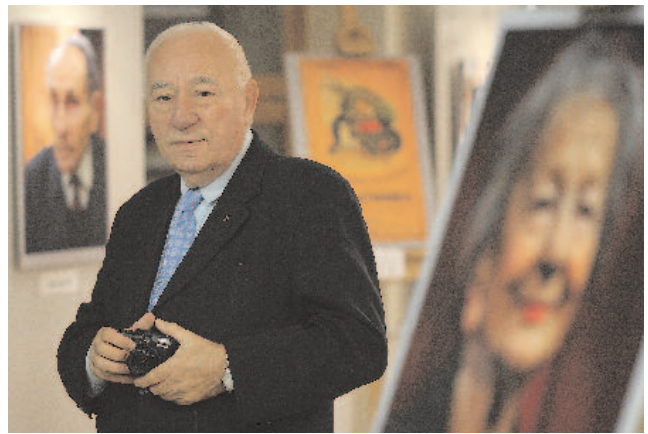
Od lat biblioteka jest też miejscem spotkań wielu stowarzyszeń i organizacji pozarządowych działających w Czeladzi. Jesteśmy otwarci na wszelkie propozycje z ich strony. Nadzwyczaj owocna jest współpraca ze Stowarzyszeniem Miłośników Czeladzi, Harcerskim Kręgiem Seniora ZHP, Stowarzyszeniem Inicjatyw Kulturalnych i Towarzystwem Przyjaźni Polska – Francja. Jednak najważniejsze są opinie i głosy czytelników, ich satysfakcja z podejmowanych przez nas inicjatyw, bowiem tylko współdziałanie przyniesie wymierne skutki dla wszystkich członków lokalnej społeczności.



Czeladzka księżnicę odwiedził Sławomir Koper, autor poczytnych książek popularyzujących historie

Zdjęcia: z archiwum MBP w Czeladzi

BEATA MARCINKOWSKA



Fot. z arch. Z. Sawicza

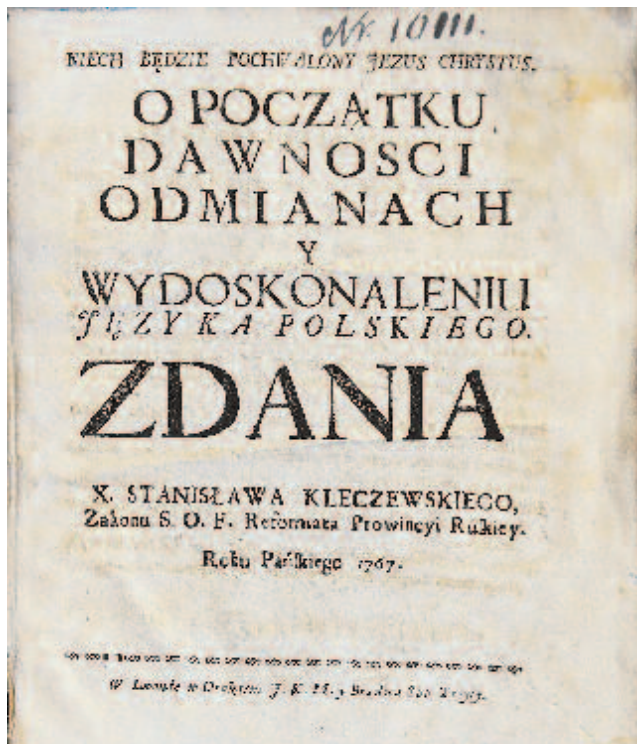
Zbigniew Sawicz – autor wystawy „Uroda polszczyzny”.

„Uroda polszczyzny” w Pałacu Młodzieży

W odrestaurowanych wnętrzach Pałacu Młodzieży w Katowicach gości ważna wystawa, która akurat w tym miejscu wydaje się jak najbardziej potrzebna – i to nie tylko ze względu na walory artystyczne – jej twórcą jest wybitny fotografik Zbigniew Sawicz, ale i dydaktyczne.

Wystawa jest pokłosiem słynnych katowickich dyktand zainicjowanych i prowadzonych przez wiele lat, przez tragicznie zmarłą w katastrofie smoleńskiej, senator Krystynę Bochenek.

Na fotografiach pojawiają się nie tylko tłumy uczestników dyktand – ostatecznie odbywających się w katowickim Spodku, bo tylko ten obiekt mógł pomieścić tak ogromną ilość chętnych osób, ale i cenne zabytki piśmiennictwa ze zbiorów Biblioteki Śląskiej, jak również portrety wybitnych Polaków, których łączymy z pięknem słowa polskiego. Są więc wspaniałe fotografie twórców literatury, ambasadorów polszczyzny, m.in.: Wisławy Szymborskiej, Tadeusza Różewicza, Czesława Miłosza, Tadeusza Konwickiego, są także wybitni językoznawcy jak prof. Andrzej Markowski czy prof. Walery Pisarek. Uwagę zwracają również reprodukcje starodruków oraz dawnych podręczników do języka polskiego. (wk)



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



Statuetki Animatorów Kultury Województwa Opolskiego zaprojektowane przez prof. Mariana Molendę z UO.



Wśród laureatów – piosenkarka Żaneta Plotnik i aktor Andrzej Czernik.



Od lewej laureaci: Ż. Plotnik, J. Koronkiewicz, G. Kurzaj, A. Puławski, K. Wiatr, E. Gutkowska-Surowiec, G. Kasprzak, A. Buła Marszałek Województwa Opolskiego, B. Kamińska Członek ZWO, przy mikrofonie S. Topola.



Opolskie laury dla animatorów i twórców kultury

W Filharmonii Opolskiej im. Józefa Elsnera odbyła się uroczysta gala XV edycji Nagród Marszałka Województwa Opolskiego dla Animatorów i Twórców Kultury. Tegorocznymi laureatami zostali: Janina Koronkiewicz – kulturoznawca, teatrolog, kierownik młodzieżowych zespołów artystycznych Klubu Garnizonowego w Brzegu (nagroda za całokształt działalności), Gerard Kurzaj – prezes Towarzystwa Przyjaciół Sławięcic, animator współpracy mieszkańców Kędzierzyna-Koźła i potomków Ślązaków z USA, Ewa Gutkowska-Surowiec – organizatorka plenerów i wystaw z Kluczborskiego Domu Kultury, Żaneta Plotnik – wokalistka, instruktorka Klubu Wokalisty z Krapkowickiego Domu Kultury, Korneliusz Wiatr – kompozytor, dyrygent, założyciel zespołu „Wind Band” działającego przy Państwowej Szkole Muzycznej w Oleśnie, Andrzej Puławski – wójt gminy Murów, założyciel Społecznego Komitetu Odbudowy Zabytków w Zagwizdzu, Gerard Kasprzak – dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Dobrzeniu Wielkim oraz Stefania Topola – honorowy prezes Opolskiego Oddziału Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Marszałek Województwa Opolskiego Andrzej Buła odznakami „Za Zasługi dla Województwa Opolskiego” uhonorował prof. Teresę Smolińską z Uniwersytetu Opolskiego, Tadeusza Soroczyńskiego – poetę i animatora kultury i Lidzię Szpak – nauczycielkę Zespołu Gimnazjalno-Szkolnego w Branicach, opiekunkę zespołu tanecznego „Kapryst”. Na wstępie uroczystości Andrzej Czernik – aktor i twórca teatralny otrzymał z rąk Wojewody Opolskiego Ryszarda Wilczyńskiego medal „Gloria Artis” nadany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Uroczystą galę wręczenia nagród i laurów zorganizowaną przez Departament Kultury, Sportu i Turystyki Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego uświetnił koncert muzyki filmowej Wojciecha Kilara w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Opolskiej pod dyrekcją Bartosza Żurakowskiego. W holu instytucji goście uroczystego koncertu mogli obejrzeć okolicznościową wystawę prezentującą laureatów wszystkich piętnastu edycji Nagród Marszałka Województwa.

dkS



Janina Koronkiewicz – laureatka nagrody za całokształt działalności na niwie kultury.

Zdjęcia: Łukasz Józwiński



Koncert muzyki filmowej Wojciecha Kilara Orkiestry Symfonicznej Filharmonii Opolskiej pod batutą Bartosza Żurakowskiego.

Pani Jana od Saperów

Wytbitna poetka wrocławska Marianna Bocian (1942-2003) porównała niegdyś sferę kultury do wiekowego lasu, do mikrokosmosu przyrody, gdzie każde istnienie ma swoje szczególne znaczenie, gdzie szorstkie świerki i rozłożyste dęby na równi współtętnią z jałowcem, mchem i krzewami jagód, jedne bez drugich nie mogą samodzielnie istnieć... Gdzieś obok wielkich scen operowych, teatralnych i filharmonicznych, pasjonaci prowadzą niewielkie ośrodki kultury, kluby i świetlice. Wśród najmłodszych pokoleń rozbudżają zainteresowania estetyczne, edukują przyszłych odbiorców kultury i sztuki, szlifują artystyczne talenty dzieci i młodzieży, wykonują codzienną pracę u podstaw nie zawsze należycie docenianą i wynagradzaną. W gronie tegorocznych laureatów Nagród Marszałka Województwa Opolskiego wyróżniono Janinę Koronkiewicz, kulturoznawcę, teatrologa, kierownika Klubu 1 Pułku Saperów w Brzegu, znakomitego animatora i twórcę kultury. Od ponad trzydziestu lat kieruje działalnością wojskowej placówki odgrywającej ważną rolę na mapie kulturalnej miasta, powiatu i regionu. Klubowe zespoły dziecięce i młodzieżowe (taneczne, wokalne, teatralne) m.in. „Biedronki”, „Verbum” oraz „Inwencja”, zdobywają laury na ogólnopolskich konkursach i przeglądach, reprezentują Wojsko Polskie i lokalne środowisko samorządowe na wielu imprezach w kraju i zagranicą. Pani Jana – jak na co dzień nazywają ją podopieczni i współpracownicy jest znakomitym organizatorem i animatorem wielu przedsięwzięć: kulturalnych, patriotycznych, społecznych i charytatywnych, realizowanych dla szerokiego kręgu uczestników i publiczności. Podejmowała działania na rzecz zachowania tradycji kresowych, zainteresowała piosenką łwowską i kresową najmłodsze pokolenie. Zaowocowało to kresowymi koncertami wspominanych zespołów, które były oklaskiwane i nagradzane na scenach i estradach wielu ogólnopolskich przeglądów i festiwalu, wzbudzając wzruszenie i podziw kresowian w różnych miejscowościach naszego kraju. Pani kierownik nie zapomina o pracy na rzecz brzeskich saperów i środowisk kombatanckich organizując wiele przedsięwzięć wojskowych m.in.: Saperskie Zaduszki, saperskie wieczory klubowe – teatralne, muzyczne i literackie, a także Wojewódzki Konkurs Poezji Patriotycznej i Religijnej „Fides et Patria”. Pani Jana jest przyjacielem i wychowawcą młodzieży, wspólnie od lat osiągają wiele sukcesów artystycznych. Dzięki wysokiej etyce zawodowej kształtuje swoich podopiecznych w duchu patriotyzmu, który jest owocem miłości do Ojczyzny i obywatelskiej troski o dobro wspólne. Wielu z jej podopiecznych wyrosło na odpowiedzialnych i mądrych ludzi, podejmujących studia na prestiżowych uczelniach, osiągających sukcesy zawodowe. To wyjątkowe grono tworzą m.in. młoda doktorantka na uniwersytecie, instruktorka zespołów artystycznych, śpiewająca poeta i kompozytor, aktorka młodego pokolenia znana ze scen teatrów muzycznych i filmowego ekranu. Jak w magicznym lesie kultury, opisanym przez Poetkę, wzrastali ku światłu pod opieką Pani Jany, od mchów, jałowców i jagód aż po konary dębów i wierzchołki świerków strzelistych.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Thumy na tropach „Kresowej Atlantydy”

W Opolu chyba tylko prof. Stanisław Sławomir Nicieja potrafi przyciągnąć tłumy na spotkania autorskie. Tak było w Studenckim Centrum Kultury, gdzie nadkomplet publiczności (bliżko 400 osób) przybył na prezentację piątego tomu „Kresowej Atlantydy”. Tym razem autor zaprosił czytelników do poznania historii i mitologii kolejnych miast kresowych: Sambora – słynącego z ogrodów, Rudek z mauzoleum Fredrów, gdzie spoczął słynny komediopisarz, Nadwórne – miasta otwierającego bramę do Gorganów, Rafajłowej – zapisanej w dziejach polskiego oręża bohaterskimi czynami II Brygady Legionów Polskich. Wędrówki szlakiem miast i miasteczek na kartach kolejnych tomów autor przeplata barwnymi opowieściami o dziejach wielu wybitnych rodzin, wzbogacając je licznymi anegdotami. Walory „Kresowej Atlantydy” doceniali m.in. prof. Janusz Majewski, lwowianin, znany filinowiec, historyk prof. Henryk Samsonowicz oraz wybitny pisarz Wiesław Myśliwski, który napisał: „Kresowa Atlantyda” prof. Stanisława Nicieja to zamierzenie imponujące. Z wydanych dotychczas czterech tomów, które przeczytałem z niesłabnącym zainteresowaniem jeden po drugim, wylania się nie tylko gospodarczy, społeczny, demograficzno-etnograficzny obraz kresowych miast i miasteczek dawnych polskich ziem, lecz nade wszystko ich rola w polskiej kulturze, z czego nie zawsze zdajemy sobie sprawę. Dodatkową atrakcją wieczoru był premierowy pokaz filmu telewizyjnego poświęconego Kołomyi. Podczas licznych spotkań prezentujących kolejne tomy „Kresowej Atlantydy” autor odwiedził ponad dwieście polskich miast, wszędzie ciesząc się wielkim zainteresowaniem czytelników.

Jubileusz Teresy Kudyby

Teresa Kudyba – opolska dokumentalistka, reżyserka, producentka filmowa i telewizyjna obchodziła jubileusz 25-lecia pracy podczas spotkania autorskiego w czytelni Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej. Jubilatka współpracowała m.in. z TVP Opole, Gazetą w Opolu, ARD i Deutsche Welle. W swoim dorobku zgromadziła ponad 200 filmów dokumentalnych, reportaży telewizyjnych i publikacji prasowych,

sięgających wielokrotnie do kręgu spraw polsko-niemieckich. Na wstępie spotkania, prowadzonego przez Zbigniewa Górniaka, prof. Dorota Simonides podkreśliła, że filmy Jubilatki nagradzane laureami krajowymi i zagranicznymi, bardziej znane są na forum ogólnopolskim niż w Opolu. Jubilatka opowiadała publiczności o kulisach swojej pracy zawodowej, o drodze jaką przeszła przez kilka redakcji zanim została samodzielną autorką i producentką filmową. Pośród wielu realizacji o charakterze reklamowym i promocyjnym, które zapewniają autorce podstawy materialne działalności, potrafi również realizować swoje zainteresowania i ambicje artystyczne, których owocem są udane filmy o charakterze edukacyjnym i popularyzatorskim m.in.: *Edith Stein – Śląska święta*, *Prawda ponad wszystko – opowieść o księdzu Dzierżoniu*, *Gra z pamięcią*, *Jerzy Grotowski w Opolu*, *Śląska Samarytanka*, *Maria Luiza Merkert*. Program jubileuszowego wieczoru wzbogaciła premierowa projekcja nowego filmu Teresy Kudyby – *Edward Stachura z tego świata*, stanowiącego liryczną opowieść o rodzinnym stronach barda, którego legenda przetrwiała próbę czasu. Na zakończenie wieczoru, po życzeniach i toastach, dyrektor WBP Tadeusz Chrobak zaprosił publiczność do degustacji okolicznościowego tortu, dokładając nań jeszcze jedną wisnię w postaci zaproszenia na spotkanie z Marianem Buchowskim autorem książki „Buty Ikara. Biografia Edwarda Stachury”.

Senegal Edwarda Szczapowa

Dr Edward Szczapow, artysta znany i ceniony nie tylko w opolskim środowisku, wystawiający w kraju i zagranicą, na co dzień pracownik naukowy Uniwersytetu Opolskiego, zaprezentował w Galerii Pierwsze Piętro ZPAP w Opolu plon swoich malarskich fascynacji Senegalem. Ten egzotyczny kraj poznawał na kartach literatury, na filmach i zdjęciach. Dotąd opolska publiczność szerzej znała artystę z wielu udanych prac malarskich inspirowanych historią i architekturą Śląska Opolskiego, a także świetnych portretów. Senegal według Szczapowa jest barwny i tajemniczy, artysta namalował afrykańskie sceny na dużych formatach. Obrazy urzekają widzów barwnymi strojami kobiet i twarzami ludzi, niebanalnymi, wytrawionymi głębią doznań i doświadczeń życiowych. Malowane postacie artysta ukazał podczas codziennych czynności. Kobiety gotują w kociołkach strawę, chłopcy wybiegli ze szkoły i przyglądają się z zaciekawieniem obcemu przybyszowi. Wybór tematu wystawy był kwestią przypadku, został zainspirowany lekturą Kapsuścińskiego i obejrzanym reportażem z Senegalu. Artysta rozważa podróż do Senegalu, być może w nieodległej przyszłości namaluje kolejne obrazy z egzotycznego kraju ale tym razem już w słońcu Afryki.

Jednym zdaniem

■ W Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu otwarto wystawę WORLD PRESS PHOTO 2014, obejmującą ponad 50 najlepszych fotografii prasowych, które brały udział w tegorocznej edycji międzynarodowego konkursu fotograficznego o tej samej nazwie.

■ Finał XXI Regionalnego Konkursu Literackiego „Ze Śląskiem na Ty” połączony z koncertem Marii Nalewai – laureatki Przeglądu Pieśni „Śląskie Śpiewanie” im. prof. Adolfa Dygacza oraz zespołu „Silesia” odbył się w Lubniańskim Ośrodku Kultury.

■ Adam Tomaszewski, stypendysta Europejskiego Forum Muzyki Polskiej z Berlina zagrał utwory J.S. Bacha, S. Prokofiewa, C. Debussy'ego i F. Chopina podczas recitalu fortepianowego w sali koncertowej Zamku Piastów Śląskich w Brzegu.

■ Spotkanie z cyklu „Twarze Opola” z udziałem Bogusława Szybkwskiego, znanego kolekcjonera, filatelisty, fotografa, cenionego wydawcy oraz znawcy fotografii i filokartystyki śląskiej, zorganizowało Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w opolskiej siedzibie instytucji.

■ W Galerii Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Emanuela Smolki w Opolu można było obejrzeć wystawę „Cialo ludzkie. Anatomia człowieka w starodrukach od XV do XVIII stulecia” przygotowaną przez gospodarzy przy współpracy z Biblioteką Naukową w Olomoucu.

■ Gwiazdą XXIII Spotkań Muzyków Jazzowych, które odbyły się w Centrum Spotkań Muzyków Jazzowych w Rudnikach był Jan „Ptaszyn” Wróblewski Quartet w składzie: Jan „Ptaszyn” Wróblewski – saksofon, Wojciech Niedziela – fortepian, Michał Kapczuk – kontrabas, Marcin Jahr – perkusja.

■ Teatr „Prewentorium” z Będzina zdobył Grand Prix XXXII Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Amatorskich PROSCENIUM, który zorganizowano na scenie Nyskiego Domu Kultury, gdzie zespoły teatralne zaprezentowały piętnaście spektakli, spośród których nagrodzono również „Balladę” w wykonaniu Teatru „Gracjarnia” z Krakowa.

Rok temu, 29 grudnia...

Ta wiadomość nie tylko dla środowiska muzycznego była niespodziewana i jak zawsze w takiej sytuacji, bardzo przynębiająca. 29 grudnia zmarł Wojciech Kilar. Kilka dni później, 3 stycznia tłumy żegnały Wielkiego Kompozytora, Wielkiego Ślązaka ze Lwowa, człowieka niezwykle skromnego, życzliwego, który w pewnym momencie swojego życia zwrócił się ku kontemplacji, ku najwyższym wartościom duchowym, jakie odnalazł w wierze i modlitwie.

Wojciech Kilar był z pewnością kimś wyjątkowym – należał nie tylko do hermetycznego świata współczesnych kompozytorów, ale był postacią rozpoznawalną także przez ludzi spoza tego kręgu. Był ikoną Śląska, autorytetem o zdecydowanych poglądach.

Od tamtego pożegnania mija rok. I tak jak zmarły przed czterema laty Henryk Mikołaj Górecki – twórca Symfonii „Pieśni żalonych”, uhonorowany został popiersiem w Galerii Artystycznej w Katowicach. Ma też plac swego imienia – forum przed gmachem Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia. Henryk Mikołaj Górecki został patronem Filharmonii Śląskiej, która rokrocznie przygotowuje Dni Muzyki z utworami swego patrona.

Nie zanosi się, niestety, by w rocznicę śmierci Wojciecha Kilara lub w bliskiej okolicy tej daty rozbrzmiewała muzyka kompozytora tak kochanego przez świat muzyczny. Ani Filharmonia, ani NOSPR nie przewidują takich koncertów – przynajmniej tak wynika z ich repertuarów. Cóż, to czas karnawału, więc sale koncertowe wypełnia muzyka twórców nieco lżejszej, operetkowej muzyki. Kilar będzie musiał poczekać, ale przecież wiadomo, że nie brakowało mu poczucia humoru, nawet czasem rubasznego dowcipu. Wspominali Go w ten sposób – także na łamach „Śląska” (luty 2014) – jego bliscy znajomi, przyjaciele, artyści.

W minionej dekadzie odeszli i Wojciech Kilar i Henryk Mikołaj Górecki (12 listopada 2010 roku), a kilka lat wcześniej Jerzy Duda-Gracz. I jego wspominaliśmy w dziesiątą rocznicę śmierci w poprzednim wydaniu naszego pisma. Trzech znakomych Ślązaków. Wielka Trójka, która zapewne w najbliższych latach się nie powtórzy. O Jerzym Dudzie-Graczu pamiętała jeszcze tylko Opera Śląska. Za sprawą Tadeusza Kijonki i przychylnym temu projektowi osób: dyrektorowi Tadeuszowi Serafinowi i Wilmie Duda-Gracz wznowiono na deskach Opery „Don Giovannię” ze scenografią tego wybitnego malarza oraz przygotowano specjalną wystawę jego prac malarzkich z cyklu chopinowskiego. Spektakl odbył się dokładnie w dniu śmierci Artysty. Ale o tym wydarzeniu powiem więcej w styczniowym „Śląsku”.

W takich sytuacjach zawsze warto zadać sobie pytanie o pamięć i pamiętanie. Henryk Mikołaj Górecki miał szczęście – o pamięć o nim dbają śląscy filharmonicy. Kto zadba o pamięć, o „życie po życiu” dwóch pozostałych z Wielkiej Trójki?

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Laureaci Nagrody Marszałka 2014

3 listopada 2014, w Kinoteatrze „Rialto” odbyło się uroczyste wręczenie Nagród Marszałka Województwa Śląskiego za osiągnięcia w dziedzinie kultury za rok 2014. Nagrody dla młodych twórców odebrali: Dariusz Chojnacki za osiągnięcia w dziedzinie teatru (aktor Teatru Śląskiego im. St. Wyspiańskiego w Katowicach; za rolę Narratora w „Piętej stronie świata” oraz kreację Mc Murphy’ego w „Locie nad kukulczym gniazdem” otrzymał Złotą Maskę 2013), Tomasz Kowalski (wokalista rockowy i lider zespołu FBB, w grudniu 2013 wygrał casting na rolę Ryszarda Riedla w spektaklu „Skazany na bluesa”) za osiągnięcia w dziedzinie teatru i muzyki oraz Zofia Oslislo-Piekarska za osiągnięcia w dziedzinie plastyki (zajmuje się grafiką projektową, głównie projektowaniem książek, jest wykładowcą w Katedrze Projektowania Komunikacji Wizualnej ASP Katowice).



Laureatka Nagrody dla Młodych Twórców Zofia Piekarska-Oslislo

Laureatami Nagrody za upowszechnianie i ochronę dóbr kultury zostali: Andrzej Baturo za upowszechnianie sztuki fotografowania i reportażu (fotografik, specjalista w dziedzinie fotografii dokumentalnej i reportażowej, członek ZPAF, współtwórca, współorganizator i dyrektor generalny międzynarodowego Foto Art. Festiwalu w Bielsku-Białej), Józef Hulka za upowszechnianie sztuki ludowej (twórca ludowy zajmujący się malarstwem na szkle, rzeźbą, twórczością pisarską) i Renata Rak za upowszechnianie kultury ludowej (choreograf, muzyk, folklorysta, od ponad 40 lat związana swoją aktywnością z popularyzacją rodzimego folkloru).



Laureat Nagrody Artystycznej prof. Eugeniusz Knapik

Jednym zdaniem

■ Pod Parlamentem Europejskim w Brukseli gościła wystawa „Architektura Małopolski, Śląska i Opolszczyzny – 10 lat Polski w UE” prezentująca obiekty architektoniczne z województw małopolskiego, śląskiego oraz opolskiego zbudowane lub odnowione w ostatniej dekadzie – było to pierwsze wydarzenie organizowane przez Dom Polski Południowej w Brukseli i oficjalną inauguracją jego działalności.

■ Muzeum w Chorzowie zaprasza na wystawę czasową: „W chorzowskim garnizonie 1922-1939”, która wpisала się w uroczystości związane z odsłonięciem tablicy upamiętniającej 75 Pułk Piechoty stacjonujący w Chorzowie, „Konserwa-

Nagrody Artystyczne przyznano: Marcie Fox za osiągnięcia w dziedzinie literatury (autorka ponad 30 książek – powieści, opowiadań, wierszy i esejów, laureatka licznych nagród literackich, członkini Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego), Eugeniuszowi Knapikowi za osiągnięcia w dziedzinie muzyki (kompozytor i pianista, kierownik Katedry Dyrygentury i Teorii Muzyki Akademii Muzycznej w Katowicach, były rektor tej uczelni; jego płyta, wydana 32 lata po nagraniu, z cyklem utworów *Vingt regards sur l'Enfant-Jesus* Oliviera Messiaena uhonorowana została Fryderykiem 2012 oraz paryską Diapason d'Or) i Bronisławowi Krzysztofowi – za osiągnięcia w zakresie sztuk plastycznych (rzeźbiarz i medalier, swoje prace prezentował m.in. w Tokio, Kolonii, Paryżu, Londynie, Colorado Springs, Monte Carlo; realizował rzeźby w Nowym Jorku we współpracy z architektem Peterem Marino).



Foto: BP Tomasz Żak

Najlepsze przestrzenie nagrodzone

45 zgłoszeń z 34 gmin to owoc tegorocznej, piętnastej już edycji konkursu, w którym Marszałek Województwa premiuje najlepsze inwestycje wpływające na poprawę przestrzeni publicznej. Uroczyste ogłoszenie wyników i wręczenie nagród w konkursie Najlepsza Przestrzeń Publiczna odbyło się w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Śląskiego w ramach Śląskich Dni Architektury, podczas których Stowarzyszenie Architektów RP rozstrzyga również konkurs Architektura Roku. Jury konkursu, złożone z członków Wojewódzkiej Komisji Architektoniczno-Urbanistycznej, dokonało oceny zgłoszonych realizacji i przyznało nagrody główne oraz wyróżnienia Marszałka Województwa Śląskiego w czterech kategoriach: przestrzeń publiczna, zrewitalizowana przestrzeń publiczna, obiekt użyteczności publicznej, zrewitalizowany obiekt użyteczności publicznej.

Za najlepszą przestrzeń publiczną uznano Park sensoryczny w Rydułtowach, którego niebywała oferta zachęca do relaksu poprzez integrację zmysłów. Place wzroku, smaku, słuchu, węchu i dotyku gwarantują odpoczynek i ciekawe doznania dla każdego kto odwiedzi to miejsce. Zagospodarowanie Skweru im. ks. Pralata Stefana Pieczki w Raciborzu wraz z przebudową fontanny uznano za najlepszą zrewitalizowaną przestrzeń publiczną, a najlepszy zrewitalizowany obiekt użyteczności publicznej to zabytkowy budynek należący do byłej kopalni Saturn w Czeladzi, który obecnie pełni funkcje Galerii Sztuki Współczesnej „Elektrownia”.

Za najlepszy obiekt użyteczności publicznej uznano Centrum Edukacji Przyrodniczej i Ekologicznej Śląskiego Ogrodu Botanicznego w Mikołowie. Obiekt powstał na terenie byłej jednostki wojskowej. Dzisiaj na tym obszarze realizowane są zadania edukacyjno-wychowawcze i naukowo-badawcze.

cja – ratunek dla zabytków. Prezentacja zbiorów Działu Etnografii” oraz „Świat baśni śląskich Gustawa Morcinka”.

■ Muzeum Śląskie w ramach cyklu „Vivat In-sita”, prezentującego dzieła najciekawszych indywidualności sztuki marginalizowanej, gościło w Galerii Sztuki Pogranicza ekspozycję „Byt niebytu. Malarstwo Władysława Wałęgi”, pokazującą twórczość artysty, którego prace znajdują się w najważniejszych kolekcjach muzealnych i prywatnych w Polsce i za granicą.

■ Centrum Kultury Śląskiej w Nakle Śląskim oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszali na wystawę „Twórcy kul-

Nagrodę Grand Prix w organizowanym przez Stowarzyszenie Architektów RP konkursie Architektura Roku otrzymał budynek Nowego Muzeum Śląskiego.

Godulowe silva rerum

W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Rudzie Śląskiej zaprezentowano książkę *Godulowe silva rerum* pod redakcją Barbary i Adama Podgórskich. Spotkanie z czytelnikami i autorami odbyło się w Galerii Krekot w ramach platformy kulturalnej Godula Fermata. Poprowadził je Krystian Gałuszka, dyrektor rudzkiej ksiąźnicy, a zainaugurowała scenka odegrana przez Mateusza Kurzeja z II Liceum Ogólnokształcącego w Wirku, który na moment wcielił się w postać Goduli. Współwydawcami publikacji są: Miejska Biblioteka Publiczna w Rudzie Śląskiej oraz Rudzkie Towarzystwo Przyjaciół Drzew Organizacja Pożytku Publicznego. Mimo „ekologicznej” nazwy, towarzystwo w swych celach statutowych skupia się także na propagowaniu kultury i dziedzictwa historyczno-kulturowego. Pokazana książka jest 22. publikacją towarzystwa. Książka od początku do końca miała być *Godulowym silva rerum*, a więc lasem rzeczy. Znajdujemy tu zatem zarówno esej Krystiana Gałuszki i gawędę śląską Norberta Klosy, poważne, naukowe rozprawy Izabeli Kaczmarzyk i Przemysława Noparlika, opracowania dotyczące „domu Goduli”, polemiczne rozmyślenia o nazwisku Goduli, artykuły z dawnej śląskiej prasy niemieckiej, a także miscellanea różnego typu: filatelistyczne, numizmatyczne, literackie wraz z panoramą ciekawych i pożytecznych aneksów.

Zwienczenie Roku Sławika

Konferencja naukowa „Śląski bohater trzech narodów” zorganizowana przez Instytut Historii Uniwersytetu Śląskiego oraz Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach oraz koncert śląskich filharmoników zakończyły Rok Sławika – bohatera trzech narodów: polskiego, węgierskiego i żydowskiego.

Na konferencję złożyły się wystąpienia m.in. dr hab. Lecha Krzyżanowskiego z US (Henryk Sławik i jego rola w życiu politycznym międzywojennego województwa śląskiego), dr Tomasz Kurpierz z katowickiego Oddziału IPN (Henryk Sławik jako dziennikarz i redaktor), Grzegorza Łubczyka – ambasadora RP na Węgrzech w latach 1997-2001 (Przyjaźń cenniejsza niż życie. Wojenny los H. Sławika i J. Antalla seniora oraz przywracanie im godnej pamięci), prof. Karoly Kapronczay – tyt. Dyrektor Naczelny Muzeum, Biblioteki i Archiwum Historii Medycyny im. Sammelweisa w Budapeszcie (Żydowscy uchodźcy na Węgrzech).

Natomiast w koncercie w Filharmonii Śląskiej wystąpił Wojciech Mrozek jeden z najwybitniejszych współczesnych klawirzystów i Alicja Grabowska, współzałożycielka białostockiej grupy Chanajki.



Muzeum w Gliwicach nagrodzone

Narodowy Instytut Dziedzictwa po raz pierwszy uhonorował współtwórców i animatorów wydarzeń organizowanych w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa. Wśród pięciu laureatów, nagrodzonych za szczególny wkład w budowanie wysokiej jakości oferty programowej oraz rangi Europejskich Dni Dziedzictwa w województwie śląskim znalazło się Muzeum w Gliwicach – jedyna wyróżniona instytucja muzealna z regionu śląskiego. Uroczyste wręczenie nagród odbyło się 3 listopada w siedzibie Wyższej Szkoły Technicznej w Katowicach. Pamiątkową plakietkę z rąk Jerzego Szalaygina, zastępcy dyrektora Narodowego Instytutu Dziedzictwa, odebrała w imieniu Muzeum w Gliwicach pani Anna Kwiecień, starsza kustosz a zarazem koordynator tegorocznej XII edycji Gliwickich Dni Dziedzictwa Kulturowego, która w czasie jednego z wrześniowych weekendów odsłoniła piękno „Rezydencji wśród łąk i lasów”, czyli zamków, dworów i pałaców ziemii gliwickiej i tarnogórskiej.



Foto: BP Tomasz Zak

Szedłem naprzeciw czarnemu potokowi

Udział w I wojnie światowej był traumatycznym doświadczeniem wielu twórców żyjących w Europie początku XX wieku. Groza Wielkiej Wojny nie tylko pogłębiła polityczne zaangażowanie artystów, wchodzących często w obręb radykalnych ugrupowań ideowych i nurtów sztuki, ale była przede wszystkim katalizatorem wyzwalającym nowy język, nową estetykę opisującą wizję kończącego się świata. Apokaliptyczne pejzaże, pełne wyrazu antywojenne rysunki i grafiki, sceny propagujące koncepcję „nowego człowieka” autorstwa artystów zrzeszonych w poznańskiej grupie „Bunt”... to tylko niektóre spośród niepokojących, przesyconych atmosferą zagrożenia obrazów i prac graficznych, jakie prezentowane były na wystawie „Szedłem naprzeciw czarnemu potokowi”, przygotowanej dla Muzeum w Gliwicach przez Marka Meschnika – kuratora i historyka sztuki. Ekspozycja przedstawiała niektóre aspekty sztuki powstałej na gruncie ekspresjonizmu w latach 1912-1922, w reakcji na katastrofę wojny, a także przybliżała początki międzynarodowych kontaktów polskiej awangardy w drugiej dekadzie XX w. Prezentowane na wystawie ekspozyty pochodziły ze zbiorów: Muzeum Narodowego w Poznaniu, Galerii Piekary w Poznaniu, PAN Biblioteki Kórnickiej, Muzeum Książąt Lubomirskich w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu, Muzeum Narodowego we Wrocławiu, Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym, Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej, Muzeum Sztuki w Łodzi, Biblioteki Śląskiej w Katowicach, Kunsthalle Recklinghausen, kolekcji Winfrieda Flammana (Karlsruhe) oraz kolekcji prywatnych.

Antoni Domicz – prowadzący własną autorską pracownię architektury, laureaci wielu konkursów architektonicznych, m.in. na rurobudowę Muzeum Architektury we Wrocławiu i Muzeum Śląska Opolskiego, Paweł Jaworski – urbanista i filozof, członek Zarządu Fundacji Napraw Sobie Miasto oraz arch. Jacek Krych.

■ Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszał na wernisaż „dalej”, dedykowanej pamięci Jerzego Lewczyńskiego, a której autorami byli: Anna-66 Andrzejewska, Beata Brząkałik, Jakub Byrczek, Michał Cała, Marcin Górski, Waldemar Jama, Antoni Kreis Katarzyna Lata-Wrona, Arkadiusz Lawrywaniec, Beata Mendryka-Mikulska, Jowita Mormul, Joanna Nowicka, Jolanta Rycerska i Ewa Zawadzka.



Reprodukcje wybranych prac wykorzystano dzięki uprzejmości Biblioteki Śląskiej w Katowicach, Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie oraz Ludwig Meidner-Archiv, Jüdisches Museum der Stadt Frankfurt am Main.

Apel o wsparcie Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoszlązaków do ZSRR w 1945 roku

Wiedza o deportacji Górnoszlązaków do ZSRR w 1945 roku przez wiele lat nie była znana, ani obecna w naszej świadomości. Powodów tego stanu rzeczy było wiele, lecz przede wszystkim był nim komunizm narzucony naszej ojczyźnie po II wojnie światowej. Polska Rzeczypospolita Ludowa za pomocą aparatu represji oraz propagandy i polityki historycznej starała się wymazywać z powszechnej pamięci niewygodne fakty i przemilczać bolesne prawdy. Do utrwalenia owej niepamięci o wydarzeniach, które tuż po przejściu frontu wschodniego w 1945 r. miały miejsce na Górnym Śląsku, przyczyniły się również: zmienione wojenną zawieruchą granice państw; przecięte stare więzy kulturowe; masowe przemieszczenie się ludności rugowanej z ziem rodzinnych przymusowymi wysiedleniami; a także tym, że deportowani Ślązacy, którzy powrócili do kraju, z różnych przyczyn nie chcieli, bądź nie mogli ujawnić prawdy o gehennie przeżytej w Związku Sowieckim. Dziś, w wolnej Polsce, po bez mała 70 latach, wspominając doświadczenia będące udziałem tysięcy niewinnych ludzi, nie tylko mamy powinność, ale chcemy uczcić i przywrócić pamięci wszystkie ofiary Tragedii Górnoszląskiej.

W Radzionkowie tworzone jest Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoszlązaków do ZSRR w 1945 roku. Placówka – pomnik pamięci ofiar deportacji, powstaje w porozumieniu z katowickim oddziałem Instytutu Pamięi Narodowej. Jest w nim tworzona ekspozycja stała poświęcona wywózkom Górnoszlązaków do ZSRR, na której zostaną wyeksponowane materiały otrzymane od prywatnych ofiarodawców oraz przekazane przez katowicki oddział IPN. Honorowy patronat nad zaplanowaną na luty 2015 r. uroczystością otwarcia Centrum objął prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Bronisław Komorowski.

Gliwicy muzealnicy wspierają budowane z dużym trudem Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoszlązaków do ZSRR, i gorąco namawiają do kontaktu z Centrum w Radzionkowie wszystkich, którzy zechcą przekazać na jego rzecz swoją wiedzę, pamiętki i dokumenty mające związek z Deportacjami Górnoszlązaków do ZSRR.

Kontakt: Urząd Miasta Radzionków, Referat Promocji Miasta i Aktywności Społecznej, pokój nr 19, II piętro, ul. Męczenników Oświęcimia 42.; tel. (32) 388-7-137, e-mail: kontakt@deportacje-45.pla

tury śląskiej”, autorstwa Krzysztofa Millera i Marka Wesolowskiego.

■ X edycja Festiwalu Filmów Niezależnych kilOFF odbywała się w Katowicach w dniach 16-18 października 2014 r.

■ Do 29 listopada w siedzibie Muzeum Miejskiego w Tychach przy pl. Wolności 1 oglądać można wystawę „Mapy i plany. Zbiory kartograficzne Muzeum Miejskiego w Tychach”.

■ Galeria BWA w Katowicach zapraszała na spotkanie z wykładami warsztatów architektonicznych OSSA 2014, którzy zaprezentowali swoje najciekawsze projekty i opowiedzieli o swoich dokonaniach: Bogusław Barnaś – architekt, projektant, nauczyciel akademicki,

Laur Konrada dla Brzyka

Trudno zliczyć, które to z kolei gratulacje dla zespołu Teatru Zagłębia. Nie będę ukrywać, z jak wielką radością to czynię. Oczywiście przede wszystkim słowa uznania należą się Remigiuszowi Brzykowi, który zdobył Laur Konrada za reżyserię spektaklu „Koń, kobieta i kanarek” Tomasza Śpiewaka w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu. Główna nagroda XVI Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje” w Katowicach tym bardziej jest cenna, gdyż poziom prezentowanych w tym roku przedstawień wszyscy zgodnie ocenili bardzo wysoko, tak więc konkurencja była ogromna. Wielki talent reżysera trafił na znakomity zespół, porównawszy od obojga dyrektorów, którzy mieli odwagę podjąć wyzwanie rzucone przez twórców „3K”. To się nazywa intuicja! Sukcesy „Korzeńca” (autorstwa tej samej pary twórców) niezgodnie nie gwarantowały. Wszak sztuka jest kapryśna, widownia zmienna a krytycy nieprzewidywalni. Zwłaszcza, że temat „Konie, kobiety i kanarka” z góry skazany był na kontrowersyjne dysputy i oceny. Zespół aktorski sosnowieckiego teatru znakomicie wypełnił powierzone mu przez twórców zadanie. Co tu dużo mówić, jesteście Kochani po prostu świetni!

O zwycięstwie spektaklu na „Interpretacjach” zdecydowały głosy a właściwie mieszki przyznane Brzykowi przez Teresę Budzisz-Krzyżanowską, którą ujął sposób mówienia o wolności, osobistej wolności, tej najważniejszej – podkreślała aktorka w uzasadnieniu. Podobnie ocenili przedstawienie Ignacy Karpowicz przyznając swój mieszek za „gorzką, ale piękną lekcję, uszanowanie wolności drugiego człowieka, wartości najważniejsze” i wreszcie decyzja Octaviana Saiu, który nagradzając Brzyka wskazał na trzy powody: „udowodnił, że teatr to kolektywna podróż, współdziałanie aktorów i reżyserów, by razem interpretować tekst. Po drugie, spektakl ten dowodzi, że teatr nie chce efektów, ale poszukuje prawdy. Po trzecie – najważniejsze – to spektakl, który jest zarówno lokalny, jak i uniwersalny” – motywował swój wybór rumuński krytyk.

Pozostali jurorzy-dyrektorzy Grzegorz Jarzyna i Robert Talarczyk przekazali swoje mieszki Radosławowi Rychcikowi za spektakl „Dziady” realizowany w Teatrze Nowym w Poznaniu. Dyrektor Teatru Śląskiego konsekwentnie wręczył Statuetkę Stanisława 2014 Rychcikowi, możemy więc wkrótce spodziewać się spektaklu wyreżyserowanego na scenie Wyspiańskiego przez twórcę z Ciechanowa. Mam nadzieję, że Remigiusz Brzyk i Tomasz Śpiewak polubili zagłębiowski teatr a także wierną i dumną z sukcesów swojego teatru sosnowiecką publiczność.

A my serdecznie gratulujemy wszystkim zwycięzcom. Niech te nagrody będą kolejnym wyzwaniem dla was, a dla nas widzów okazją do następnych niezapomnianych przeżyć.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Koń trojański w będzińskim muzeum

28 listopada w Muzeum Zagłębia w Będzinie odbył się wernisaż wystawy zatytułowanej „10 lat. Koń Trojański i Przyjaciele”. Jak przystało na jubileusz część wystawy miała charakter retrospektywny, na drugą złożyły się najświeższe prace aktualnych i byłych członków grupy. Wśród autorów prezentowanych prac znaleźli się: Sonia Szelağ, Monika Gruszewicz, Piotr Zatorski, Mariusz Pięta, Dariusz Wójcik, Michał Wójcik, Krzysztof Michalski i Robert Garstka. Będzińskie stowarzyszenie dobrze jest znane w regionie. Wielokrotnie organizowali wystawy, happeningi stosując różne techniki utrwalania obrazu – od fotografii otworkowej i aparatów analogowych (tradycyjne odbitki czarno białe), po techniki cyfrowe.

Na wystawie można obejrzeć miniatury zdjęć z najważniejszych wystaw Konia Trojańskiego: *Będzin w pięciu odsłonach* (2004), *Nic, co ludzkie* (2004), *Industrial* (2004), *Będzin, czyli gdzie?* (2005), *Światło* (2005), *Zjawisko Śląsk* (2006), *Cztery żywioły – Źródła energii* (2006), *Zapomniana perła – Cementownia Grodziec – zabytek zagłębiowskiej przemysłowości* (2010), prace z projektu fotograficznego, którego zwieńczeniem było wydawnictwo *Twoje miasto w moich oczach, Będzin – Tatabanya 10 lat* razem (2009–2010) a także zdjęcia z Międzynarodowej wystawy Fotografii w Lewicach na Słowacji z 2014 r.

Pamięci Jerzego Kukuczki

Muzeum Miejskie „Szytgarka” w Dąbrowie Górniczej uczciło 25 rocznicę tragicznego wypadku (24 października) Jerzego Kukuczki na południowej ścianie Lhotse w Nepalu. O pierwszym zdobywcy Korony Himalajów opowiadał jego instruktor – legenda śląskiego i polskiego himalaizmu – Ignacy „Walek” Nendza, który poznał Kukuczkę w dzie-

ciństwie, kiedy zdobywali „Alpy Welnowieckie”. Czym były góry dla Kukuczki, co go w nie gnało? „Wreszcie najwspanialszy moment w każdej wspinaczce. Chwila, kiedy od szczytu dzieli mnie już tylko kilka kroków, kiedy wiem, że już nie stanie mi na przeszkodzie, kiedy wiem, że zwyciężyłem... Zwyciężyłem nie górę czy pogodę, lecz przede wszystkim siebie, swoją słabość i swój strach. Kiedy mogę już podziękować górze, że i tym razem była dla mnie łaskawa. Tych chwil nie oddam nikomu za żadne skarby i jeżeli muszę w drodze do szczytu pokonywać przeszkody i ocierać się o nigdy nie określoną granicę między kalkulowanym ryzykiem a ryzykanctwem, to trudno, zgadzam się. Zgadzam się na walkę ze wszystkimi niebezpieczeństwami, które na mnie cychają. Zgadzam się na wiatry, które tygodniami biją w ściany namiotów i doprowadzają do granicy szaleństwa. Zgadzam się na drogi prowadzone na granicy wytrzymałości. Zgadzam się na walkę. Nagroda, którą otrzymuję za te trudy, jest niebotycznie wielka. Jest nią radość życia” – pisał Jerzy Kukuczka.

Konfrontacje filmowo-plastyczne

W Sosnowieckim Centrum Sztuki-Zamku Sieleckim przez trzy listopadowe wieczory (19-21) toczyły się rozmowy o filmie i sztukach plastycznych realizowanych w przestrzeni skandynawskiej. Spotkania odbywały się w ramach VI Konfrontacji Filmowo-Plastycznych. Tematem przewodnim tegorocznej edycji było: *Kino i sztuka skandynawska od przelomu XIX/XX w. do współczesności*. Mieszanka wpływów rodzimych, mitologicznych i zachodnioeuropejskich w sztukach plastycznych oraz film jako dzieło mistyczne, surowe i ambitne skupione wokół problemów egzystencjalnych człowieka. Uczestnicy konferencji mieli możliwość obejrzenia fragmentów trudno dostępnych filmów. Autorka projektu Katarzyna Siwiec-Matysiak zaprosiła m.in. dr hab. Irmę Kozinę (UŚ Katowice, Politechnika Gliwicka, ASP Katowice), dr. Dominika Kuryłka (Muzeum Narodowe w Krakowie), dr Ilonę Copik, dr Justynę Budzik (Zakład Filmoznawstwa i Wiedzy o Mediach UŚ), Adrianę Zimnowodę (SCS-ZS) oraz Ewelinę Nakielską (kulturoznawca, filmowiec).

Jednym zdaniem

■ W listopadzie w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu gościło malarstwo energetyczne Joanny Kufel.

■ 7 listopada w Sali Koncertowej przy ZSM im. Jana Kiepury w Sosnowcu, w ramach XXIII edycji Festiwalu *Ars Cameralis*, odbył się koncert *Fatoumaty Diawary*.

■ 21 listopada w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu miała miejsce premiera spektaklu „Wij. Ukraiński horror” opartego na opowiadaniu Mikołaja Gogola (reżyseria i adaptacja: Łukasz Kos, scenografia i kostiumy: Paweł Walicki, muzyka: Adam Świtała).

■ 17 listopada w sali koncertowej ZSM im. Jana Kiepury w Sosnowcu występ brytyjskiej grupy *The King's Singers* zainaugurował IX Międzynarodowy Festiwal im. G.G. Gorczyckiego.

■ W listopadzie w Teatrze Zagłębia dwukrotnie gościł Teatr im. A. Mickiewicza z Częstoch-

wy. 7.XI widzowie mogli obejrzeć przedstawienie zatytułowane „Galganiarz i Patyczek”, 29.XI – „Tango FM”

■ 22 listopada w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu gwiazdą wieczoru była Anita Lipnicka.

■ 20 listopada w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu Jacek Cygan uczestniczył w spotkaniu autorskim.

■ W listopadzie w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej trwał przegląd filmów Krzysztofa Kieślowskiego.

■ 19 listopada w sali kameralnej w PKZ – Domu Kultury w Zabkovicach odbył się *Jesienny koncert kameralny* z muzyką folk-rock.

27 listopada w Pałacu Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej odbył się finał wystawy *Laureatów Nagrody Prezydenta Miasta w dziedzinie Kultury*.

Ojciec swojej córki...

Oczywiście tak jak wybitny kompozytor Michał Karcz nie uważał się wyłącznie za „męża swojej żony” (sprinterki Jadwigi Foltasiówny) w premierowym filmie Stanisława Barei, tak Jan Brodka nie sądzi, że jest tylko ojcem swej córki. Tytuł ma bowiem wyłącznie zwabić znakomicie zaznajomionych z polską kulturą naszych czytelników. Wcale nie musi kierować ich w stronę prawdy absolutnej... Owszem Monika Brodka stoi przed szansą wspaniałej kariery w USA, gdzie nagrywa płytę w języku angielskim. Tym niemniej jej ojciec Jan Brodka ma tyle talentów i tak imponujący dorobek, że wielu folklorystów, muzykologów czy multiinstrumentalistów może mu pozazdrościć. Jan Brodka właśnie obchodzi w grudniu półwiecze swej pracy twórczej. Co prawda urodził się w 1945 r. na tzw. ziemiach odzyskanych, ale już po paru miesiącach rodzice wrócili na ojcowiznę do Cięciny. W jego rodzinie wszyscy śpiewali, grali i tańczyli. „Obyrtanie w tańcu” towarzyszyło mu od dzieciństwa.

– Do dziś mam przed oczyma sylwetkę ojca, lekko pochylonego do przodu, z wysuniętymi do tyłu biodrami, przytulonego do mamy. Wirowali niestrudzeni w zadziernym tańcu. Mama była wyższa od ojca, a on jeszcze pochylony, co sprawiało, że stanowili niesamowitą parę. Można było godzinami patrzeć, jak tańcowali. To był majstersztyk góralski, niezapomniane obrazy w moim życiu, obyrtanie w tańcu – powiada Jan Brodka na łamach Kalendarza Beskidzkiego AD 2015.

Trudno się dziwić, że zafascynowany od dziecka kulturą góralską postanowił przekazywać ją kolejnym pokoleniom. Jego zespoły – „Jody”, a obecnie „Ziemia Żywiecka” – zdobyły wszystkie najcenniejsze trofea w dziedzinie folkloru w kraju i zagranicą. On też zgromadził wiele laurów za występy instrumentalne. Gra pięknie na dudach czy trombitach. Oprócz tego może poszczycić się zbiorami melodii ludowych, które opublikował. Sam również komponuje. Jest np. autorem hejnałów Tygodnia Kultury Beskidzkiej i Ogólnopolskiego Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu. Za ten ostatni dostał nawet sto „Kazimierz” – dziesięciozłotówek z wizerunkiem Kazimierza Wielkiego. Jeśli Państwo mają wolną chwilę, aby przysiąść na żywieckim rynku w samo południe, z głośników usłyszysz hejnał na trombitę napisany specjalnie przez Jana Brodkę dla miasta.

Spośród czworga dzieci twórcy żywieckiego hejnału Agata i Wojtek – mimo niewątpliwych talentów, zwłaszcza tanecznych i wokalnych – nie związały się zawodowo z muzyką. Przemek skończył natomiast szkołę muzyczną w klasie fortepianu, gra na kontrabasie i prowadzi szczyrkowską kapelę „Zbójnicy”, która koncertuje w kraju i zagranicą. Monikę Brodkę znają wszyscy. Jan Brodka najbardziej się cieszy, gdy znajduje kontynuatorów swej pracy, dla których – tak jak dla niego – kultura jest podstawą egzystencji, bo to ona świadczy o naszym człowieczeństwie.

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

Ostatni akt

Tegoroczny Festiwal Poezji Słowiańskiej odbył się nie tylko w Londynie i Warszawie. Na ostatnią odsłonę imprezy poeci zjechali do Czechowic-Dziedzic. Nie dotarli w Beskidy inicjatorzy festiwalu w Londynie (Aleksy Wróbel) i w Warszawie (Aleksander Nawrocki), ale w czechowickim MDK kilka znakomitych liryków przeczytał znany z aforyzmów i komedii, imponujący polszczyzną, Rumun Valery Butulescu (nb. absolwent AGH). Nasycone czułością wiersze wypiewała Marina Paniszewa, Białorusinka i Polka zarazem. Lirykę na dobrym poziomie zaprezentował słowacki twórca, przyjaciel Polaków Miro-



Fot. materiały prasowe

Palac Kotulińskich w Czechowicach-Dziedzicach. Festiwal Poezji Słowiańskiej. Od lewej: Ryszard Grajek, Bolesław Folek, Maciej Szczawiński, Barbara Bielaczyc i Jan Picheta.

ślaw Bugal. Z licealną młodzieżą spotkali się Magdalena Węgrzynowicz-Plichta z Krakowa, Anna Mróz z Warszawy, Walery Butulescu, Jan Picheta z Bielska-Białej, Juliusz Wątroba z Rudzicy i organizator imprezy – wspólnie z animatorami z Miejskiego Domu Kultury – Ryszard Grajek. Jedno ze spotkań w Pałacu Kotulińskich prowadził z właściwą sobie swadą i błyskotliwością katowicki poeta Maciej Szczawiński. Prezentowali się wówczas głównie uznani poeci pszczyńscy i bielscy jak Waław Kostrzewa, Danuta

Niemczyk, Krystyna i Franciszek Nastulczykowie czy Piotr Zemanek. O oprawę muzyczną zadbał kompozytor i pianista Janusz Kohut oraz liczni wychowankowie Barbary Bielaczyc z Teatru Muzycznego Movimento. W. Butulescu i R. Grajek świetnie zaprezentowali się podczas jubileuszowego 80. Krakowskiego Salonu Poetyckiego na scenie bielskiego Teatru Polskiego, który był ostatnim aktem festiwalu.

Naturalna postać cyfry...

Z cyklu „Grafika – zbliżenia” Piotr Czadankiewicz prezentuje od 27 listopada do 15 grudnia w swej Galerii Środowisk Twórczych w Domu Muzyki w Bielsku-Białej wystawę pn. „Grafika cyfrowa”. Wydaje się, iż zbliżenia mogą polegać m.in. na tym, że wystawiane grafiki upodabniają się w wielu przypadkach do dzieł wykonanych bardziej tradycyjnymi czy naturalnymi metodami. Swe prace w galerii prezentują tak uznani twórcy jak Judyta Bernas, Katarzyna Dziuba, Dariusz Gajewski, Tomasz Jędrzejko, Dorota Nowak, Marta Pogorzelec, Adam Romaniuk, Natalia Romaniuk, Jarosław Skutnik i Waldemar Węgrzyn. Ozdobą wernisażowego wieczoru był występ jemeńsko-izraelsko-amerykańskiej artystki o pseudonimie Noa. Jej energia, donośny głos i wielobarwny repertuar zachwyciły bielską publiczność.

Ćwierć wieku „Kontrastu”

Jubileusz ćwierćwiecza obchodzili hucznie w Teatrze Polskim bielscy artyści Centrum Sztuki „Kontrast”. W piwnicznej izbie stowarzyszenia, która mieści się w DK Włókniarzy, aktorzy ostrogi zdobywało wielu już zawodowych obecnie artystów, głównie scen bielskich. Stowarzyszenie, którym kieruje Rafał Sawicki, oprócz prezentacji własnych spektakli, zajmuje się animacją życia kulturalnego. Organizuje m.in. bielską edycję Krakowskiego Salonu Poezji. Podczas uroczystych obchodów 25-lecia twórca i pierwszy prezes „Kontrastu” Kuba Abrahamowicz oznajmił m.in., że żegna się z Teatrem Polskim po 30 latach pracy na jego deskach. Od stycznia będzie prowadził w klubie „Klimat” swój własny teatr komedii. Zawsze bowiem marzył, żeby wszelkie negatywne przypadłości życiowe swych wiernych widzów leczyć śmiechem.

Jednym zdaniem

■ Z okazji 30-lecia oddziału bielskiego Polskiego Towarzystwa Ewangelickiego w kościele Zbawiciela w Bielsku-Białej 8 listopada z koncertem wystąpił m.in. Orkiestra Kameralna Silesian Art Collective, Paweł Konik, Beata Bednarz i Allen.

■ Od 11 do 16 listopada w Bielsku-Białej odbyła się XII Jesień Jazzowa, której gwiazdami byli Bill Frisell, Gary Burton, Louis Sclavis, Mark Turner, Tord Gustavsen, Giovanni Guidi, Gianluca Petrella, Joe Lovano, Dave Douglas i Tomasz Stańko.

■ 21 listopada na deskach malej sceny Teatru Polskiego odbyła się premiera „Nataszy” Jarosławy Pulinowicz w reż. bielszczanki Małgorzaty Siudy.

■ Monodram Artura Palygi „Love” w wykonaniu Tomasza Pisarka i reż. Bogusława Słupczyńskiego zaprezentowano 22 listopada w klubokawiarni „Aquarium” Galerii Bielskiej BWA.

■ „Królowa Margot” to spektakl wg tekstu Tomasza Jękota i Wojciecha Faruga w reż. tego ostat-

niego, którego premiera odbyła się w Teatrze Polskim 22 listopada.

■ Od 22 listopada do 28 grudnia w Galerii Bielskiej BWA potrwa wystawa „Letterstory. cz” 50-letniego dorobku artystycznego Edwarda Owczaczka.

■ Na scenie TL Baniałuka 23 listopada zobaczyliśmy premierowe przedstawienie „Królowy Śnieżki” w reż. Aleksandra Maksymiaka.

■ Od 24 do 26 listopada w Książnicy Beskidzkiej odbył się Wyszehradzki Festiwal Literatury Czeskiej, którego gwiazdami byli Jachym Topol i Franciszek Nastulczyk.

■ W ramach projektu Galerii Bielskiej BWA Maciej i Katarzyna Szymonowiczowie, Izabela Ołdak i Artur Bosowski zrealizowali w listopadzie trzy murale na budynkach w Bielsku-Białej.

■ Do 14 grudnia w Galerii „Strzelnica” Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej potrwa wystawa z okazji setnej rocznicy wymarszu mieszkańców Beskidów do Legionów J. Piłsudskiego.

Kolejny sukces częstochowianki

6. Międzynarodowy Salon Fotografii „Martwa natura w fotografii – Częstochowa 2014” wygrała Małgorzata Kozakowska. I śmiało można powiedzieć, że rozbiła bank – zdobyła nie tylko Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy za cykl „Martwa natura”, ale również tytuł Best Author za osiągnięcia podczas wszystkich organizowanych salonów.

Jury w składzie: Mieczysław Cybulski (prezes Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej – Stowarzyszenie Twórców, przewodniczący), Małgorzata Dołowska (dyrektor Fundacji „Fotografia dla Przyszłości”), dr Andrzej Saj (krytyk sztuki, red. naczelny Pisma Artystycznego „Format”), Czesław Tarczyński (artysta malarz, dyrektor Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie) oraz Janusz Mielczarek (komisarz Salonu, członek kapituły Fotoklubu RP, ZPAF), oceniło 373 prace 96 fotografików z Polski, Bahrajnu, Holandii, Kanady, Francji, Niemiec, Słowenii, Węgier, Włoch i Hiszpanii.

Patronat nad spotkaniem po raz kolejny objęła Międzynarodowa Federacja Sztuki Fotograficznej FIAP oraz Fotoklub Rzeczypospolitej Polskiej Stowarzyszenia Twórców. Złoty Medal FIAP otrzymał Henryk Kocza za prace „Niebieskie szklane kwiaty i Wiołoczele”, Nagrodę Dyrektora Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie – Natalia Borowicz za cykl „Bez twarzy”, Srebrny Medal FIAP – Barbara Bokota-Tomala za cykl „Nauka o świetle”, Nagrodę Organizatora – Jarosław Bikiewicz za „Podano do stołu”, Brązowy Medal FIAP – Marcin Czaplinski za cykl „Manipulacje”, Złoty Medal Fotoklubu RP – Leonid Goldin za prace: „Water is the main thing i I love beer”, Srebrny Medal Fotoklubu RP – Bogdan Głowacki za prace: „Martwa natura pionowa”, „Martwa natura pozioma”, „Martwa natura z czerwonym”, Brązowy Medal Fotoklubu RP – Magdalena Wolff za cykl „Dialog”. Poza tym równorzędne wyróżnienia FIAP otrzymali: Laura Dell’Ira, Dariusz Gawroński, Jacek Jędręcki, Agnieszka Radlak, Krzysztof Zajac, Andrzej Zembik.

Na wystawę pokonkursową, którą można było oglądać w Sali Gobelinowej MGS, zakwalifikowano 168 prac 71 autorów. Znalazły się tu zdjęcia wykonane zarówno techniką tradycyjną, jak i cyfrową. Była to prawdziwa uczta dla miłośników fotografii, pokazująca możliwości tej sztuki.

Małgorzata Kozakowska jest coraz bardziej liczącą się fotograficzką w Polsce. Jej osiągnięcia zapoczątkowało wyróżnienie w pierwszym salonie poświęconym martwej naturze; potem pojawiły się kolejne nagrody. Artystka startuje z powodzeniem w innych konkursach, aktywnie działa w Stowarzyszeniu Twórców Fotoklubie Rzeczypospolitej Polskiej (uczestniczy w ogólnopolskich plenarach), a także w Jurajskim Oddziale Fotoklubu RP. Bywa także jurorką w lokalnych konkursach dla amatorów.

Twórczość Kozakowskiej jest niezwykle różnorodna; artystka pracuje nad portretami i nad martwą naturą. W pierwszym przypadku troszczy się o to, by jak najlepiej i w sposób jak najbliższy prawdy utrwalił bohatera swoich prac i przedstawił go innym, w drugim – eksperymentuje i tworzy swój niepowtarzalny świat – obiekty zawiązy tkaninę, polewa wodą, zamraża. W ten sposób uzyskuje efekt bliski pastelom.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Jurajska fascynacja

W Sali Śląskiej zaprezentowano wystawę *Szukając piękna* z okazji 40-lecia pracy artystycznej Czesława Tarczyńskiego; złożyły się na nią malarstwo olejne, pastele, pastele olejne, studia fotograficzne, nawiązujące do konwencji realistycznej i impresjonistycznej, ale również projekty plakatów. Dominowały pejzaże, przede wszystkim Jura Krakowsko-Częstochowska, a zainteresowania te ujawniały już tytuły cyklów: *Bajeczna Jura*, *Maria Jury* czy *Barwy Jury*. Na obrazach Tarczyńskiego przyroda pokazana została we wszystkich porach roku i w różnym naświetleniu, także w niezwykłych kolorach (np. *Jura pomarańczowa*). Prace różnią się fakturą; artysta uzyskał ciekawy efekt dzięki nałożeniu grubej warstwy farby, np. w *Zielonych wibracjach* czy *Drodze donikąd*. Pokazano również prace inspirowane mianem, m.in. metaforyczny *Ostatni przystanek*.

Czesław Tarczyński jest absolwentem ASP w Warszawie (1974); na Wydziale Architektury Wnętrz ukończył specjalności: wzornictwo przemysłowe (prof. Andrzej Wróblewski), wystawienictwo (prof. Henryk Tomaszewski) oraz malarstwo (prof. Rajmund Ziemiński). Uczestniczył w wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych, w Polsce i za granicą. Jest także aktywnym działaczem ZPAF, nagrodzonym m.in. Brązowym Medalem *Zasłużony w Kulturze – Gloria Artis* (2013).

Częstochowa filmowa

Prace na XV konkurs dla amatorów *Częstochowa w kadrze* można było przesyłać do 24 października do Ośrodka Kultury Filmowej „Iluzja” i miały reprezentować dowolną formę – od teledysku aż po pastisz; jedynym ograniczeniem był ich czas trwania – maksymalnie 10 minut.

W tym roku już po raz drugi jury przewodniczył Janusz Zaorski; towarzyszyli mu: Agnieszka Lipińska, Janusz Mielczarek oraz Tadeusz Piersiak. Spośród 19 obrazów I nagrody (2 000 zł) przyznano tegorocznemu absolwentowi ZSP Mateuszowi Klucznemu za film, będący jednocześnie jego dyplomem, *Wystarczy być* na podstawie opowiadania Jerzego Kosińskiego, druga (1 500 zł) – Adamowi Bednarskiemu za *Dotyk*, przybliżający ideę książki dotykowej, a także konkurs organizowany przez Bibliotekę Publiczną *Manufaktura książki* oraz dwie trzecie (600 zł) – Jackowi Janikowskiemu za *Smutny, częstochowski blues* wideoklip do piosenki zespołu Breakmaszyna oraz Przemysławowi Piekarskiemu za *Chimerę*, film trwający tylko 29 sekund.

Nagrody ufundował Prezydent Częstochowy. Prace zaprezentowano na publicznych pokazach 7 i 8 listopada w OKF, gdzie 9 listopada ogłoszono wyniki i wręczono nagrody. Projekcję uzupełniała *Rocznica*, film przygotowany przez Sebastiana Puchałę i Wojciecha Kolsutę (do konkursu zgłoszono także film dokumentalny *Rocznica – kulisy powstawania filmu*). Konkurs po raz kolejny zwracał uwagę różnorodnością prezentowanych form oraz podejmowaną tematyką.

Jednym zdaniem

■ **Zagrali:** klub muzyczny Klimaty – Jan Samolnyk; MDK – Marcin Czerwiński, Andrzej Rybiński, Duality; Teatr from Poland – Bedu, Yves, Kolorotom, Breakmaszyna, Regenes, Plagiati199, De Lindows; Indios Bravos; OPK Gaude Mater – Magic Hands; Carpe Diem – Sugar Free, Fankabra, Kaman Band, czyli I Festival „Totalna Improwizacja” im. Marcina „Marlona” Króliszewskiego.

■ **Wystawy:** OPK Gaude Mater – *Tajemnice lewolskich chasydów* Zbigniewa Burdy, *Roman Lonty 1943–2013* – pastele artysty; MGS – *Strefa Dominika Cierpiała, Spacerując z głową... w ilustracji Marty Liszki*; ART. FOTO w ROK-u – *Dwie*

Spotkania literackie

Przełom października i listopada obfitował w spotkania literackie. Czyżby jesień sprzyjała rozmowom o książkach? Z ważniejszych wydarzeń należy wymienić Ratuszowe świętowanie z Januszem Mielczarkiem, który prezentował swoje ostatnie dzieło *Do widzenia, panie Fellini*, kolejny tom opowiadań po *Hrabalowisku* oraz *Ciele twojego snu*. Okazją była szczególnie, ponieważ dwa utwory: *Jeszcze tylko tango* oraz *Karuzelowy*, zdobyły pierwszą nagrodę w XI Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Stanisława Grochowiaka. Tom został poprzedzony słowem wstępnym Oli Keller oraz Jarosława Kapsy, a ozdobiły go zdjęcia otwórkowe Małgorzaty Kozakowskiej oraz Zbigniewa Suligi. W czasie spotkania rozmawiano o Brunonie Schulzu, Bohumilu Hrabalu, Woodym Allenie, ale także Federico Fellinim; grał Jarosław Woszczyzna.

Janusz Mielczarek to fotografik, literat, a także animator kultury, od lutego tego roku prowadzi spotkania literacko-fotograficzne *Mała proza mistrzów... i 7 fotografii*; bohaterami spotkań byli już: Bohumil Hrabal, Izaak Babel, Witold Gombrowicz czy Ernest Hemingway, a wśród fotografików pojawili się zawodowcy i amatorzy: Małgorzata Kozakowska, Dariusz Gawroński, Krzysztof Muskalski czy Ola Keller.

Kolejnym ważnym wydarzeniem było spotkanie z Radkiem Knappem (w Ratuszu 27 października), prowadzone przez Elżbietę Hurnikową. Pretekstem była najnowsza powieść autora, tym razem detektywistyczna – *Podróż do Kalina*. Ponieważ to pierwszy pobyt pisarza w naszym mieście, więc rozmawiano także o jego życiu, okresach warszawskim i wiedeńskim, jego młodzieńczych spotkaniach (m.in. ze Stanisławem Lemem, ojcem kolegi, który wygłosił jedną z złotych myśli Knappa: „Pisanie to jest sztuka, na którą umiera się z głodu”), ale również poglądom antykonsumpcyjnym... Najnowsza powieść opowiada przecież o mieście, w którym nikt nie wie, czym jest śmierć.

Trzecie, wybrane przeze mnie wydarzenie, to benefis Zbysława Janikowskiego z okazji jego 75. urodzin połączony z promocją książki *Remanent* (15 listopada w OPK „Gaude Mater”), publicysty, działacza społecznego, satyryka (autora miejscowych szopek noworoczych) i felietonisty, a także autora książek dla dzieci i dorosłych, m.in. opowiadających o dziejach miasta (*Częstochowa między wojnami 1918–1939* – Nagroda Prezydenta Miasta Częstochowy za rok 2012). Janikowski był współpracownikiem „Życia Częstochowskiego”, czasopisma kulturalnego „Aleje III”, a także miejscowych rozgłośni katolickich. Jest również autorem komentarzy do filmów dokumentalnych o Częstochowie realizowanych przez Krzysztofa Kasprzaka.

Dwie osobowości pod jednym dachem

Od 17 października Galeria Dobrej Sztuki zaprasza na wystawę *Adam i Ewa*, na której pokazano prace Adama i Ewy Wsiołkowskich, urodzonych i mieszkających w Krakowie, absolwentów tamtejszej ASP – Ewa wyszła z pracowni prof. Jerzego Nowosielskiego, Adam prof. Wacława Taranczewskiego. Prace prof. Adama Wsiołkowskiego, zarówno grafiki jak i obrazy olejne, eksponują znaczenie koloru tła w tworzonych cyklach, korzystających ze zrytmizowanych form geometrycznych. Ujawniają one jego analityczny namysł nad istotą malarstwa. Na wielu artysta pojawia się z ukończonym jamnikiem szorstkowłosym Felkiem.

Natomiast obrazy Ewy Żelewskiej-Wsiołkowskiej to w większości pejzaże oraz wnętrza mieszkań, w których ważną rolę odgrywa światło. Artystka nasycyonym kolorem eksponuje piękno i tajemnicę przedstawianych przestrzeni. Grupę pejzaży zdomiłował temat górski, to np. *Slady słońca*, *Liny*, *Cienie czy Zamieć*.

postawy Krzysztofa Świertoka i Łukasza Kolmana; Centrum Promocji Młodych – *1/1* Dominiki Sadowskiej i Sergiusza Kuchczyńskiego.

■ **45-lecie istnienia świętował zespół Five O'clock Orchestra**, który zorganizował również Tadeuszki Jazzowe.

■ **W ramach XXIII Festiwalu Ars Camera** lis w Willi Generala odbył się pokaz filmów krótkometrażowych nominowanych do nagrody Brytyjskiej Akademii Sztuk Filmowych i Telewizyjnych, a w Filharmonii wystąpił Gogo Penguin z Manchesteru.

■ **Jedną z laureatek tegorocznej Nagrody im. Karola Miarki** została Elżbieta Hurnik.

Magia Nikisza

Bożonarodzeniowy Jarmark w Nikiszowcu (6–7 grudnia) jak zwykle przyciągnął tłumy. Ponad stu wystawców oferowało wyroby rękodzielnicze (zabawki, ceramikę, choinkowe cacka, biżuterię artystyczną, ozdoby świąteczne), amatorzy malarstwa i rzeźby mieli w czym wybierać. Nie zabrakło także specjalów tradycyjnej kuchni śląskiej – wodzionki, żuru, grochówki, krupnioków, ciapkapusty, tustego i oczywiście niepowtarzalnych kołoczki i świątecznego grzańca. To były dwa dni znakomitej zabawy, wprawdzie bez śniegu, ale w Nikiszowcu nie on jest najważniejszy.



Zdjęcia: Witold Kociński

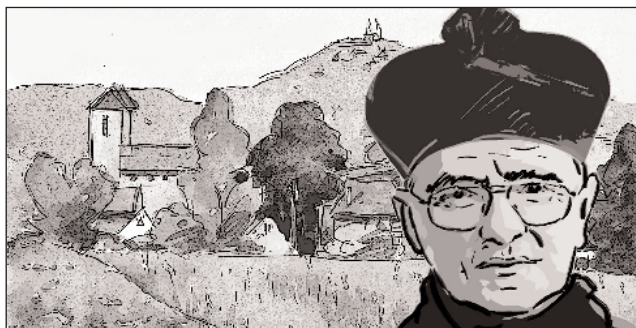
Anegdoty

HENRYK BZDOK

Mój przyjaciel Jerzy Szoltysek z Żyrowy, amator historii lokalnej – jak sam siebie nazywa, z miejscowości wzmiankowanej po raz pierwszy w roku 1302 opowiedział mi ciekawą historię i poparł swą opowieść artykułem z Nowin Krapkowickich, którego tytułu nie mogę zdradzić, bo ująłbym puentę przed czasem.

Zacznę od przedstawienia bohatera owej opowieści.

Jest nim prawie co odeszły na emeryturę ksiądz prałat Antoni Komor, duszpasterz parafii p. w. św. Antoniego w Zdzieszowicach.



Znałem dobrze księdza proboszcza i mogę tylko potwierdzić, że był dobrym, skromnym i bardzo pracowitym duszpasterzem, poruszającym się przeważnie piechotą „dla zdrowia” – jak mawiał, a jeśli samochodem to swoim wieloletnim punto.

Zdzieszowice – u stóp Góry św. Anny są moją rodzinną miejscowością, to też bywały okazje do spotkań i poznania się z Proboszczem w czasie uroczystości rodzinnych, czy też kołеды u mej Matki..

„Osieć dni po wizycie Ojca Świętego Jana Pawła II na górze św. Anny, odbyła się pielgrzymka mężczyzn i młodzieńców – relacjonuje mi Jerzy Szoltysek – na błoniach przed ołtarzem papieskim zebrało się ponad 50 tysięcy osób.

Udział w pielgrzymce wziął na zaproszenie biskupa Alfonsa

Nossola, kardynał Joseph Ratzinger – przyszły papież Benedykt XVI.”

W drodze powrotnej postanowili przeprawić się promem przez Odrę w Zdzieszowicach, by udać się do Brozca, rodzinnej miejscowości opolskiego biskupa.

Droga prowadzi prawie obok kościoła to też postanowili odwiedzić proboszcza Komora, w której to parafii biskup Nossol odbywał niegdyś posługę kapłańską jako wikariusz.

I stało się, że dostojnicy w ubraniach cywilnych stanęli przed drzwiami plebanii, drzwi

otwarła im gospodyni pani Marta i gości grzecznie odprowadziła...

Był to bowiem czas poobiedni, w którym ksiądz Antoni miał w zwyczaju udawać się na krótką drzemkę, a wtedy nikt i nic nie mogło mu przeszkodzić...

Gdybym już wtedy mieszkał na ulicy Słowackiego, i nie spał o godzinie piątej rano, w dniu 14 maja 1967 roku, to byłbym świadkiem wydarzenia na parterze sąsiedniej ulicy Chopina 14/1.

Dzień przedtem, mieszkający tam młody redaktor Telewizji Katowickiej – Piotr Szalsza, ożenił się i teraz rano miast spoczywać u boku małżonki, siedział wraz z dwoma przyjaciółmi równie zmęczonymi nocnym balowaniem – śpiewakiem Władysławem Porębskim oraz altowiolistą

Tomaszem Stockim. Trzej Panowie, ostatni z podobno bardzo licznej grupy gości, którzy już opuścili mieszkanie, siedzieli w fotelach dopijając resztki wesele szampa. Przez szeroko otwarte okno dochodziło codzienne poranne tłuczenie się roznościeli mleka, z pokoju na zewnątrz zaś, snuła się przez okno kojąca muzyka Antonio Vivaldiego – „Cztery pory roku”. Wsłuchani, prawie nie rozmawiali. Nagle rozległ się bliski metaliczny trzask, na błaszanym parapecie pojawiła się dłoń, potem głos: – Kurwa, Vivaldi...

Wpatrzni w okno Panowie zastygli w oczekiwaniu.

Po chwili ukazała się czarna włosa czupryna gęsto skręconych włosów, potem powoli, ociężale reszta, Nieznany Ktoś siadł na parapecie, było widać, że też gdzieś świętował, bo też ci bardzo był zmęczony. Usadowiony wygodnie wpiers wypowiedział kilka pochwalnych słów na temat Vivaldiego po czym wygłosił kilkunastominutową pogadankę na temat wyższości baroku nad klasycyzmem w muzyce.

Szczególnie zaś znecał się nad Beethovenem, którego uznał, za pierwszą jaskółkę przyszłego totalitaryzmu.

Po wygłoszeniu powyższych złotych myśli, nieznajomy zszedł z parapetu i zniknął.

Minęło kilka dni gdy Piotr spotkał niedalekiego sąsiada, artystyka Artura Starczewskiego, który miał pracownię i mieszkanie na tej samej ulicy pod numerem 18.

Usłyszawszy relację o porannym spotkaniu konesera muzyki klasycznej, Acio rzekł:

– To Genio Rzezucha, on często nad ranem do mnie wpada gdy mu spod „Marcholta” ostatni tramwaj do Rudy ucieknie.

Opisał także klasyczne zachowanie Genia, kiedy ten nad ranem pojawia się przed drzwiami Artura na czwartym piętrze.

Najpierw rozlega się delikatne, jakby nieśmiałe pukanie, potem prawie szeptem, wypowiedziane:

– „Dziadek” wpuść Genia, (Dziadkiem nazywał wszystkich bliskich przyjaciół), po wielu cichych próbach pukanie staje się silniejsze, a głos bardziej zdecydowany:

– Dziadek, nie udawaj, że Cię nie ma w domu... aż dochodzi do – k... otwieraj.

Po czym następują różne warianty, ciche i kaprałskie:

– Genia nie poznajesz,
– Aciooooo... otwórz k... drzwi.
Niedługo potem poznali się i jak powiada Piotr – wypiliśmy nie jeden kieliszek.

Kiedy Geniowi wspomniałem o wizycie poweselnej – Genio zdecydowanie zaprzeczył, że nic takiego nie pamięta.

ŚLASK

kolekcja jubileuszowa

Redakcja miesięcznika „Śląsk” wkraczając w 20. rok istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



Foto. Z. Sawicz

Antoni Cygan

Profesor sztuk plastycznych, rektor Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach (w kadencji 2012-2016).

Urodzony w 1964 roku w Zabrze. Studia na katowickim Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Dyplom w 1988 r. w pracowni Projektowania Graficznego prof. Tomasza Jury oraz w pracowni Malarstwa prof. Andrzeja S. Kowalskiego. Od 1992 r. pracuje w macierzystej uczelni, obecnie prowadząc pracownię Rysunku.

Autor kilkunastu wystaw indywidualnych w kraju i zagranicą, m.in. w Zabrzu, Katowicach, Gliwicach, Lyonie, Helsinkach, Londynie, Opawie. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą.

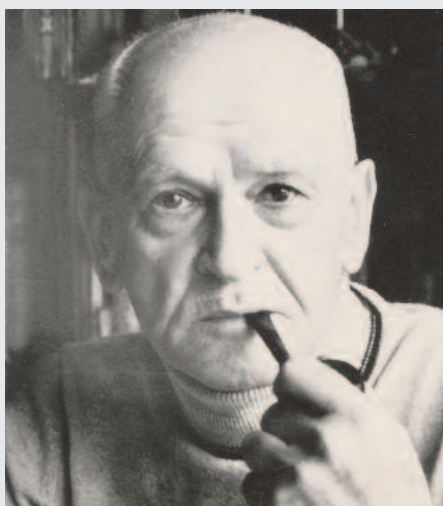
Stworzył trzy cykle Drogi Krzyżowej (kościół p. w. św. Krzyża w Gliwicach, kościół pw. św. Pawła Apostoła w Zabrzu-Pawłowie oraz Bazylika NMP w Lichenu). Zajmuje się również projektowaniem wnętrza kościołów.



Antoni Cygan, *Maria z Dzieciątkiem*, olej, 120x55, 2010



Gabinet Alfreda Szklaarskiego w Domu Oświatowym Biblioteki Śląskiej



GABINET ALFREDA SZKLARSKIEGO można zwiedzać w Domu Oświatowym Biblioteki Śląskiej przy ulicy Francuskiej w Katowicach. To nie lada gratka móc usiąść przy biurku, przy którym powstawały przygody Tomka Wilmowskiego, czy usiąść na tym samym krześle, na którym przez wiele lat siadywał, albo dotknąć trofeów zdobytych podczas podróży. Autor niezwykle popularnych książek, w których rozczytywały się pokolenia, urodził się w 1912 roku w Chicago, od czasów powojennych mieszkał w Katowicach, gdzie zmarł w 1992 roku. W gabinecie pojawiły się wszystkie meble, dywany, nawet kolekcja fajek pisarza, a także pierwodruki, które ukazywały się na całym świecie, a które znalazły się w kolekcji pisarza.

